ODWET NIEMIEC

F. E. SOLF
B. MAJOR

ODWET NIEMIEC
CZYLI WOJNA ROKU 1934

OPOWIEŚĆ
Z PRZEDMOWĄ PUŁKOWNIKA BAUERA

PRZETŁUMACZYŁ I SŁOWEM WSTĘPNEM
ZAOPATRZYŁ MACIEJ R. WIERZBIŃSKI

NAKŁADEM TŁUMACZA
1922

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA

SŁOWO WSTĘPNE.

Cel książki tej jest jasny.

Nosi ona wyraźne cechy propagandy odwetowej. Wzywa Niemców do zrzeszania się w tajne związki wojenne, do wytrwałych wysiłków nad nowemi wynalazkami militarnemi, roztacza przed nimi tęczę nadziei, woła wielkim głosem: »Es kommt der Tag!!«, chcąc zamienić naród w to czem był przed wojną i w duszy swej pozostał: w jedną wielką a utajoną przed światem armatę, obsługiwaną sfornie przez mrówczy i kreci, zachłanny i zaczepny naród.

»Opowieść« ta, ogromną w Niemczech i daleko za ich granicami wywołująca sensację, wyszła z pod pióra nie beletrysty za tanim goniącego rozgłosem, lecz znakomitego artylerzysty saskiego, kuzyna b. ministra kolonij, eksperta, który przed wojną oddawał się próbom eksplozywów i przyłożył rękę do konstrukcji słynnych 42-centymetrowych, ciężkich dział. Wyłoniła się zaś z pewnością z umysłu bardzo licznego grona wojskowych

a ukazała pobłogosławiona przedmową zaufanego sztabowca generała Ludendorffa — pułkownika Bauera, który w marcu 1920 r. brał udział w berlińskim »Putsch'u« monarchistycznym Kappa, następnie wypracował plan kampanji dla powstańców w Burgenlandzie i należy do owego monachijskiego ogniska, z którego wyradzają się Orgesch'e i bucha zarzewie wojownicze.

Głos autora czy też autorów tej opowieści nie jest głosem wołającego na puszczy. Przeciwnie, jest odzewem panującego w kraju nastroju, rozlega się wśród rzesz, które niczego nie zapomniały i niczego się nie nauczyły, które utworzyły o ostatniej wojnie sui generis legendę i wierzą że Niemcy nietylko nie wywołały wojny lecz — nie zostały pobite. Rozlega się po kraju głuchym na apostolskie upomnienie profesora Foerstera, wołającego do narodu sprowadzonego przez Bismarków na manowce: Umlernen! — po pozornie republikańskiem »Państwie«, będącem poprostu monarchją bez monarchy.

* * *

Dlaczego uważamy za pożyteczne i wskazane antyniemiecką tę książkę opublikować w polskim przekładzie?

Po pierwsze dlatego, że jest ona wiernem zwierciadłem zbiorowej duszy niemieckiej w dzisiejszym stanie, a zatem zawiera bardzo cenną oświatę dla tych, zawsze jeszcze nader licznych zastępów polskich, które nie znają charakteru narodowego swych sąsiadów zachodnich, nie odczuwają bezmiaru ich plemiennej nienawiści, nie zdają sobie sprawy z ich potencjalności i zamierzeń w zakamarkach duszy pieszczonych.

A Polska pierwsza winna otworzyć na to oczy i wyciągnąć naukę z tej książki, z tych prądów, pragnień, prac i wysiłków niemieckich, gdyż ona pierwsza byłaby, albo raczej **będzie** *bez najmniejszej wątpliwości wystawiona na atak odwetowców z pod krzyżackiego znaku. Winna o wojnie przyszłości, której ostrze zwróci się najpierw przeciwko niej, myśleć tyle co ów krzyżak, który czasu najazdu bolszewickiego czyhał już z bronią przy boku na »swoją godzinę« odebrania Polakom »praniemieckich i zrabowanych mu przez nas kresów wschodnich« a przed plebiscytem górnośląskim, lubo »rozbrojony«, zdołał wystawić na pograniczu Staropolski doskonały, 40-tysięczny korpus wojska — tuż przed oczyma koalicji.*

Po drugie dlatego, że autor-artylerzysta, kładąc nacisk na nowe wynalazki wojenne, zdradza wszy-

stkim a zwłaszcza naszym sferom wojskowym tory, po jakich idą prace i zabiegi sił wojskowych i naukowych w Niemczech pod hasłem odwetu i podboju świata.

Wprawdzie przedmówca zapewnia, że autor książki nie »zdradza w niej tajemnic«, lecz oczywiście przyjmujemy to cum grano salis, z pewnym uśmiechem. Bo nie może on mówić inaczej. Nie uznaje głośno: »to wynaleźliśmy«; wszelako, przyznając, że »fikcyjne« te wynalazki mają cechę prawdopodobieństwa, szepce czytelnikowi: »to usiłujemy wynaleźć«.

A mamy wszelki powód przypuszczać, że na drodze takich wynalazków, które zapewniłyby im znakomitą wyższość nad plejadą nieprzyjaciół, Niemcy posunęły się już bardzo daleko do celu marzeń. Między innemi przypuszczenie to opieramy na tem, że największy atut, o jakim mowa w tej książce, a mianowicie owe epokowe »promienie elektryczne« nie są wytworem bujnej fantazji ani z palca wyssaną fikcją dla wywiedzenia czytelnika w pole. Albowiem po wojnie chodziły po Włoszech i Francji pogłoski o możliwości wytworzenia takiego rodzaju promieni, o t. z. »rayons violets«, które posiadałyby właściwość przebijania nawet na odległość 40 kilometrów ścian najsilniejszego pancernika.

Po trzecie, wszystko to jest wyraźną wskazówką, jaki charakter będzie posiadała wogóle wojna przyszłości, i każe się domyślać, że będzie ona jeszcze daleko więcej zabójczą niż ostatnia. Nawet ludność cywilna w spokojnych miastach, w ustronnych siołach, w sennych zakątkach wystawiona będzie na ogromne niebezpieczeństwo ze strony eskadr lotniczych, przeróżnych pocisków trujących, tak iż wojną przyszłości ma szczególniejszy powód zajmować się każdy człowiek.

Po czwarte, opowieść ta odsłania rąbek na ducha konspiracyjnego, przenikającego dzisiejsze Niemcy, i na chytre zabiegi w celu ukrycia swych przygotowań przed oczyma koalicji. Wszystko bowiem, czego dowiadujemy się w rozdziale trzecim opowieści o »Klubie Niewiniątek«, posiada sprawdzian swój w rzeczywistości, i całe niemal Niemcy są dzisiaj obozem »Niewiniątek«, ostrzących sztylety.

Jeżeli potrzeba na to dowodu, przytaczam tu jeden tylko fakt z bogatych w ciekawe odkrycia dziejów rozbrojenia Niemiec. Otóż międzysojusznicza »Komisja Kontrolująca«, dość niedołężnie śledząca postępy owego rozbrojenia, w listopadzie b. r. dowiedziała się, że w fabryce armat w Heidenau (w Saksonji) ukrywano nie mniej jak 600

haubic, t. j. siedem razy tyle ile wogóle Traktat Wersalski pozwala mieć dzisiejszej armji niemieckiej. Jeżeli zaś w jednej z tysiącznych fabryk udawało się aż tyle ukrywać ciężkich dział, ile przeróżnej broni i amunicji mogą Niemcy zachowywać we wszystkich fabrykach i poza niemi? Haubice te przechowywano tam z wiedzą i wolą rządu — tego rządu demokratycznego, który chce uchodzić i uchodzi rzeczywiście za ugodowy, za powolny życzeniom koalicji i nakazom Traktatu Wersalskiego.

Ale odkrycie w Heidenau miało arcycharakterystyczny epilog. Na skutek tego oficerowie Komisji Kontrolującej przedsięwzięli rewizję w wielkim arsenale w Szpandawie, gdzie odnaleziono dwa ustronne pokoje od góry do dołu zapełnione jakiemiś dokumentami. Były to papiery urzędu wojskowego wykazy inwentarza i stanu posiadania we wszystkich niemieckich zakładach wojskowych, jakich wydania domagała się Komisja Kontrolująca od czasu zawieszenia broni. Domagała się daremnie, gdyż władze wojskowe, ministerjum wojny i rząd odpowiadały, że listy te.. zaginęły.

Wreszcie po latach znalazła się »zguba« — w gmachu rządowym. Oficerowie kontrolujący nakazali przeto postawić odwach przy drzwiach

tych dwu pokojów, chcąc nazajutrz przywieźć do Szpandawy innych członków Komisji Kontrolującej dla sprawdzenia tego odkrycia. Atoli na rozkaz niemieckiej władzy wojskowej wywieziono nocą stosy dokumentów, i Komisja Kontrolująca znalazła puste ściany...

Tak przedstawia się rozbrojenie Niemiec, które powszechną przymusową służbę wojskową zastępują powszechną przymusową gimnastyką w uczelniach, zachowują kadry dawnej armji, a stotysięczną reichswehrę mogą bez trudu powiększyć do 800 tysięcy i przeobrazić wnet w wielomiljonową armję.

* * *

Czytając tę opowieść, Polak niejednokrotnie przyjmie wykrzyknikiem zdumienia przebłyski niemieckiej autoadoracji i junkierskiego zaślepienia i może niejedno zrazu opatrzy znakiem zapytania. Jednakże całą tę »wojnę r. 1934« poczyta zaprawdę za ogromnie pouczającą książkę, której kwintesencja da się zamknąć w następującym aksjomacie:

»Wojna spadnie na nas jak piorun wtedy, skoro tylko Niemcy zdobędą jaki środek wojenny, odpowiadający doniosłością swą »promieniom elektrycznym«.

Wyłania się to z kart tej opowieści. Wyziera z niej i urąga nam w oczy nieposkromione, żywe i groźne »niebezpieczeństwo niemieckie«, tak iż wynosimy pewność, że czeka Polskę walna rozprawa z wrażym i wieczystym prawrogiem na śmierć i życie — rozprawa, w której Polska krwią i najwyższem poświęceniem, mocą ramienia i ducha będzie musiała zdobyć sobie ostateczne prawo do posiadania tego, co posiada dzisiaj, prawo do pełnego, świetnego życia narodowego i mocarstwowego.

»Es kommt der Tag!« — nucą sobie dla podniesienia ducha Niemcy, a nad Wartą, Wisłą i Niemnem odbija się to echem: »Wybije dla ciebie, narodzie polski, wielka godzina próby ogniowej...«

Słowem z książki tej idzie ku nam surowa przestroga i dźwięczy głosem Zygmunta potężny zew, który powinny powtarzać »dębom dęby, bukom buki« i ojcowie dzieciom. Grzmi poważne, kapłańskie: Memento!...

Warszawa, w grudniu 1921.

Maciej R. Wierzbiński.

PRZEDMOWA.

Kto upatruje w dziejach świata rękę Opatrzności lub kto widzi w nich jedynie przyczyny i skutki czy też prawo rozwoju, mógłby zaiste stracić wszelką wiarę wobec rewolucji niemieckiej z dnia 9 listopada 1918. Tak była ona bezsensowną, tak niestosowną, zwłaszcza w tym momencie. Bo w chwili, gdy należało zespolić wszystkie materjalne i moralne siły w celu odparcia zewnętrznego wroga, rozbiła ona te siły i wydała Niemcy na niełaskę nieprzyjaciół w »pokoju« wersalskim. Było to grzechem przeciwko świętemu duchowi niemczyzny, i to, zważywszy ideę przenikającą jej przewódców, grzechem świadomym i nie ostatnim! A z tego zbrodniczego czynu powstała klątwa, powstał moralny, ekonomiczny i polityczny upadek, w którym ugrzęźliśmy bez widoków ratunku.

Mocarstwa zachodnie w służbie kapitału światowego wyzyskały, jak zwykle, zręcznie tę wdzięczną sposobność. Nie można nawet poczytywać im tego

za złe, gdyż niepodobna oczekiwać od wilka, aby zbłąkane owieczki przywodził znów do stada. Jednakże pasterz w tym razie zabija wilka, daleki od tego, by w dodatku oddawać mu jeszcze potem całe stado na pastwę samowolnie. A tak stoją rzeczy dzisiaj! Jest to haniebne, ale niemniej prawdziwe, że istnieją Niemcy, którzy własnemi rękoma pełnią usługi katowskie przeciw swemu własnemu narodowi!

A brak szerokim kołom narodu przedewszystkiem poczucia niewysłowionej hańby. Cóż to je obchodzi, że odebrano narodowi najświętsze prawo i najwyższy obowiązek Germanina noszenia broni na obronę ojczyzny? Mają one wyłącznie zrozumienie dla nauk kapitału jedynie, zapewniającego zbawienie — nauk, które, jaskrawo osłonięte gałgankami fałszywej demokracji i fałszywego socjalizmu, przenikają mieszczanina zarówno jak robotnika. Jednakowoż budzi się w zakamarkach duszy zbiorowej wątpliwość, budzi się lęk wobec kwestji: co nas czeka? Odpowiedź prosta: z posiewu zła powstaje straszna klęska. Zamykać na to oczy byłoby głupotą i nikczemnością. Bo czyż Niemcy mają runąć w otchłań zagłady?... Jeśli tak być musi, to w taki sposób: w walce!

Jaki cel może mieć wobec tego książka taka jak ta, którą przedkładamy narodowi — książka, mogąca chyba tylko dolać oliwy do ognia nienawiści naszych wrogów? — spytają ludzie o sercach zajęczych.

Otóż najpierw zaleca się, by, miasto w formie teoretycznych spostrzeżeń odmalować w sposób plastyczny, jak to z wyżyn siły i obowiązkowego wyładowywania energji spadliśmy i spadamy coraz niżej, jak to zamiast »uszczęśliwienia życia ludzkiego wogóle« — jeśli mam użyć wyrażenia głównego rewolucjonisty — idą na nas bieda, niedostatek, nikczemna pojęciowość niewolników i żądza używania.

O! gdyby za przykładem pani Irmgard z tej powieści miljony kobiet niemieckich zechciało z pogardą spozierać na każdego mężczyznę nieskłonnego do walki za kraj — walki najpierw bronią duchową a potem, gdy wybije godzina, bagnetem, sztyletem i — cepami!

Powtóre zaleca się wypowiedzieć śmiało, że wszystko co dzisiaj wyprodukowujemy i zdobywamy drogą wynalazków, trzeba wziąć pod uwagę pod kątem pożytku, jaki dałoby się z tego wyciągnąć w opałach, w jakich jesteśmy. I ten wskaźnik trzeba

obwieścić ogółowi, że każdy, posiadający środki i zdolności odpowiednie, ma obowiązek wyszukiwania takich dróg i środków, albo też pomagania tym, którzy nastręczają takie środki. A kto obecnie przeszachrowywa zagranicy dla zysku wynalazki, które mogą nam oddać usługi, jak to niestety zdarzyło się już niejednokrotnie, ten jest łajdakiem, tak samo, jakby zdradzał koalicji ukryte składy broni. Grzechów przeciw świętemu duchowi narodu nie przebacza się nigdy!

Jeżeli zaś ludzie małego, trwożliwego ducha mówią: »nie można śnić o zemście, gdy jesteśmy bezsilni«, to mylą się. Francja i tak będzie nas uciskać, jak tylko może; uległość z naszej strony nie wpłynie na zmianę pod tym względem. Jesteśmy wprawdzie w tych czasach rozprzężeni wewnętrznie, niezgodni i do podjęcia zemsty niezdolni, jednakowoż trzeba nam utrzymywać naród w czujności, aby nie zapadł się w beznadziejność.

Przecież w r. 1806, gdy Napoleon gnębił Niemcy, — chociaż ani w przybliżeniu tak jak t. z. »zwycięzcy« (?) z 1918 r. — w epoce, gdy nikt jeszcze nie myślał o odwecie, poeta niemiecki wołał:

»Bij! Zabij!... Bez troski
O sąd ludzki i boski.«

Autor niniejszej książki bardzo zgrabnie wprowadził tu nowe środki wojenne, które posiadają wszelkie pozory prawdopodobieństwa, a jednak są całkiem fikcyjne. Nie zdradza on tajemnic! Wszelako jest rzeczą całkiem możliwą a nawet prawdopodobną, że prędzej czy później dadzą się wynaleźć nowe środki wojenne, które zapewnią przewagę tej stronie, jaka najpierw potrafi je zastosować. I o to tylko chodzi. A chociaż kiedyś nie będziemy mieli może na nasze usługi akurat promieni elektrycznych, to jednak służą nam dzisiaj jak zawsze równie skuteczne i niewidzialne promienie, strzelające z głębi mężnych duchów i zapalające duchy do jedności niemieckiej i niemieckiej wolności!

Złączcie się zatem, jak Szwajcarzy ongi na Rütli, do przysięgi: »Chcemy być jednem ciałem braci!« a będzie to wstępem do wyzwolenia się z jarzma, z hańby i opresji.

Zemsta nie jest naszem hasłem; chodzi nam poprostu o broń ratunkową w zabójczym ucisku. Jeśli obali się ów śmierć niosący nam pokój, który nie jest wcale pokojem, jeśli odzyskamy nasz honor, naszą samodzielność i owoce naszej pracy, gotowi jesteśmy chętnie żyć w spokoju.

Nie my, lecz koalicja a zwłaszcza Francja rzuca świeży posiew krwi.

Nam zaś chodzi jedynie o to, czy damy się jak jagnięta zarżnąć, czy też przytem zdobędziemy się przynajmniej na podniesienie broni.

Bauer

ostatnio król. pruski pułkownik.

I.

NA WSI.

Berlin, dn. 20. 3. 1934.

Mein lieber Fritz!

Czy jesteś zawsze jeszcze tym samym co dawniej? Wiem, że tak jest, nawet bez odpowiedzi. Piszę zatem krótko i węzłowato: potrzebujemy Cię. Oczekuję Cię dnia 25 b. m. najpóźniej o 5-tej po południu w swem mieszkaniu. Im prędzej przybędziesz, tem lepiej. Zamieszkasz u mnie.

Znając mnie, wiesz, że nie nadaremnie wzywam Cię do tej podróży. Przygotuj się na kilkomiesięczną nieobecność w domu. Wszystko inne — ustnie.

A więc — dowidzenia. Pozdrowienie i uścisk dłoni

Twój

Werner.

Z gestem nieukontentowania cisnął Fritz von Seelow list na stół.

Przeczytał go bodaj kilkanaście razy i teraz, podniósłszy się w całej swej długości

ze starego fotela, w którym dotąd chuda jego figura ginęła niemal zupełnie, przeciągnął się tak, iż wysłużony żakiet myśliwski o mało nie rozpękł się w szwach, i przeszył palcami przerzedzone i nieco siwiejące włosy.

Utopiwszy ręce w kieszeniach rajtuzów, począł, jak miał we zwyczaju, przechadzać się po pokoju, od okna, w narożniku pomiędzy stołem a kominkiem, do drzwi i z drugiej strony, obok sędziwej otomany skórzanej i napowrót. Nikt nie zliczy, ile razy Fritz v. Seelow odbywał taką przechadzkę, bo wszystkie kwestje na dobie rozbierał i rozwiązywał, chodząc po pokoju.

W ostatnich czasach jednak zagadnienia te nie były zbyt zawiłej lub podniecającej natury. Czy starą kobyłę należy sprzedać, czy też rok jeszcze trzymać przy dyszlu, dla ilu prosiąt stanie strawy i ilu z nich trzeba się pozbyć — były to bodaj najtrudniejsze do rozwiązania kwestje. Dawniej bywało inaczej; w pierwszych latach po wojnie i rewolucji przystępowały doń inne zagadnienia. Wówczas młody, pozasłużbowy rotmistrz von Seelow biegał co wieczór jak opętany po pokoju swej starej siedziby w niewielkim pomorskim majątku Woltersdorf.

Nie mogło mu się to poprostu pomieścić w głowie! Największem złem nie była przegrana wojna, bo przemocy ulec może naj-

silniejszy, ale ów niepojęty upadek prawie całego narodu, to rozmiękczenie kości, ten zanik wszelakiego poczucia honoru i przyzwoitości — to było najstraszniejsze. Wszystko co dobre, silne, szlachetne pierzchło, jakby nigdy nie było istniało. I to po czterech latach najwyższego heroizmu, najwyższego poświęcenia.

Raz wraz stawał mu przed oczyma czerwony krwawy plakat, jaki ujrzał po powrocie z pola bitew w Berlinie. Obok tysiącznych innych Rad miała być wybrana »Rada urlopników i dezerterów.« Rada uciekinierów! Czyż to podobno! Przecież dezerter, osobnik opuszczający towarzyszów broni w obliczu nieprzyjaciela, uchodził oddawna i przed całym światem za stworzenie nikczemne i pogardy godne. A teraz chlubiono się swą własną hańbą.

Zaraz po rozwiązaniu swego pułku Seelow, pełen wstrętu do Berlina, opuścił go i pośpieszył w swe sielskie ustronie. Tam znał on ludzi, każdego we wsi, tam musiał przecież wiać inny wiatr aniżeli wśród wielkomiejskiego motłochu, bogatego i ubogiego.

Czekało go może najboleśniejsze rozczarowanie. Jednym z pierwszych, którego spotkał, był marynarz. Jeszcze przed rokiem był widział go na urlopie. Wówczas

opowiadał mu marynarz z błyszczącemi oczyma o bitwie morskiej pod Skagerakiem, jak to flota miażdżyła pociskami łodzie angielskie. Ze słów jego bił szczery, nadzwyczajny zapał. Rozstali się wtedy z serdecznym uściskiem dłoni.

A teraz wlókł się on niedbale i leniwie a, zagadnięty, opowiadał, jak na pokładzie »Turyngji« przyszło do rokoszu. Gdyby do tego marynarze nie byli się posunęli, spoczywaliby wszyscy na dnie morza Północnego. I z jakiej przyczyny? Z uśmiechem urągliwym majtek mówił, że »dla honoru«.

Rotmistrzowi żyły nabrzmiały na czole, lecz opanował się i rzekł:

– Ach, i ty, Jürgenie, kiedyś jeszcze zrozumiesz, co to istotnie znaczy honor dla jednostki i narodu.

Nastały czasy nieustannej wewnętrznej zawieruchy, niechęci do pracy i ogólnej chciwości. Płace i ceny szły naprzemian w górę do obłędnych wyżyn. W Berlinie maszyny wyrabiające banknoty pracowały dzień i noc i zalewały kraj pozorami bogactwa Z drugiej strony szruby podatkowe napięto do niemożliwych granic, aby zaspokoić swe własne potrzeby i bezmierne żądania wrogów. Wszystkie zaś rzeczywiste walory wędrowały zagranicę, aż wreszcie żaden Niemiec nie był właścicielem ani cegły swego domu, ani pię-

dzi swej roli. Pozostała jedynie powódź papierowych pieniędzy i — nieprzeliczone miljardy długów.

Długo zamykała na to oczy większość ogółu i zdumiewająco długo bronił się przemysł niemiecki przeciwko nieuniknionemu bankructwu. Aż wreszcie załamało się wszystko i w następstwie przyszło bezrobocie miljonów, głód i wojna domowa, nędza i niedola wszelakiego rodzaju.

Czasy nadeszły spokojniejsze, bo miljony ludzi wymarły, zmarnowały się, a miljony opuściły ten kraj nędzy. Kto pozostał, pracował za marne wynagrodzenie i skąpy kawałek chleba od rana do nocy. O postępie nie było można myśleć. Niesłychane podatki i daniny różnorodne pożerały wszelki, nawet skromny nadmiar. Płynął on w kieszenie Brytów i Francuzów oraz tych, co z ich polecenia ssali kraj.

Na najpotrzebniejsze rzeczy nie stało pieniędzy. Młody nauczyciel wiejski, który w czasie rewolucji marzył o uniwersytecie i wygłaszał szumne mowy o swobodnym przystępie do karjery dla uzdolnionych ludzi, o braterstwie ludów i związku narodów, który piorunował przeciwko polityce silnej pięści i tajnej dyplomacji, przeciwko militaryzmowi i nacjonalizmowi — zacichł oddawna. Zamiast 40 uczniów miał teraz w szkole 80. A przez

dach izby szkolnej ciekł deszcz, i ani gmina ani rząd nie miały środków na zaradzenie temu.

Również majtek Jürgen zaniemówił. Najpierw spędził pewien czas w Berlinie. Co tam robił, o tem nie było można się dowiedzieć. Dość, że pewnego dnia zjawił się znów we wsi z rzadką miną, ale zadowolony, że może objąć w posiadanie domek i kilka hektarów ziemi od starego ojca. O swych bohaterstwach rewolucyjnych nie wspominał więcej.

P. Seelow z mozołem przebijał się przez życie. Zrazu próbował wsączać w ludzi rozsądek, lecz słowa jego były zgóry skazane na bezpłodność Był przecież właścicielem majątku, oficerem i w dodatku szlachcicem. Panowie dziennikarze w mieście okręgowem wiedzieli wszystko wiele lepiej i — inaczej. Jako prawdziwi przyjaciele ludu mieli ogólny posłuch, a nie dziedzic. Więc wreszcie i on zacichł, pozostawiał ludzi ich myślom. Okrom starej gospodyni, co pielęgnowała go jeszcze jako dziecko, i swego ordynansa, który przez cały czas wojny był przy jego boku a potem służył u niego jako foryś i kamerdyner, nie miał nikogo, z kim mógłby zamienić kilka słów.

Przez pewien czas stosunki z sąsiedztwem wprowadziły trochę urozmaicenia w jego życie. Właściciela Bornhagen poznał bliżej

na wojnie, po której powrócił on do domu ciężko chory. Żona, młoda osoba, pielęgnowała go z poświęceniem, a Fritz pomagał jej o tyle, że bawił chorego rozmową i rozweselał go jak mógł. Po śmierci jego p. Seelow służył młodej wdowie radą i pomocą w gospodarstwie. Przedtem pełen podziwu dla jej poświęcenia przy boku chorego męża, teraz obserwował z uznaniem jej energję, z jaką zabrała się do kierowania sprawami majątku. Gdy opanowała sytuację, Seelow stał się zbędnym, lecz ona stała się dlań niemal niezbędną, i pewnego dnia oświadczył się o jej rękę.

Pani Irmgard wysłuchała słów jego poważnie, zaczem spojrzała mu w oczy.

— Zobowiązał mnie pan wielce i pragnęłabym spełnić dług wdzięczności, lecz prośby pańskiej spełnić nie mogę — rzekła. — Nie mogę. My kobiety niemieckie nie rozumiałyśmy wielu rzeczy w epoce upadku i przewrotu. Pytałyśmy się, gdzie byli nasi mężowie, gdzie byli prawdziwi mężowie niemieccy, gdy wszystko w państwie zachwiało się i runęło? Gdzież podziały się przysięgi, wierność, duma, męskość? Być może, żądamy za wiele, lecz dość, że kolec pozostał w mej piersi i wielu innych kobiet. Nie mogę tego uczucia w sobie pokonać i ślubowałam, że nie oddam ręki już nikomu, dopóki Niemcy leżą

powalone w prochu. Dopiero gdy zmyjemy z siebie niewysłowioną hańbę. gdy nasi mężowie znów będą mogli podnieść głowę z dumą i poczuciem wolności... dopiero wówczas mogłabym oddać się komuś na własność i to jedynie komuś, co przyłożył rękę do dzieła zmartwychwstania. A jeśli dnia tego nie doczekam... to będę musiała się tego wyrzec, chociaż to niełatwo, panie Seelow.

On pożegnał ją krótko i pocwałował do domu, jakby z goryczą na języku.

Czegoż żądała odeń ta kobieta? Jakżeż miał on naraz wyzwolić Niemcy z pętów? Obłęd, chimera kobieca.

Wtedy przechadzki jego po pokoju dworu w Woltersdorfie trwały dłużej niż zwykle, a ruchy jego zdradzały, że miota nim burza. A nie doprowadziły do niczego i kończyły się zwykle jednem z całem przekonaniem wyrzuconem słowem: głupstwo!

Pewnego dnia wszakże rotmistrz siadł do biurka i skreślił list do dawnego przyjaciela z akademji wojskowej Wernera Sollinga, który jako pozasłużbowy major sztabu generalnego mieszkał w Berlinie i był w stosunkach ze wszystkiemi wielkomiejskiemi kołami. Zapytał go, co tam ludzie w tem wielkiem środowisku myślą i robią, i czy na horyzoncie nie pojawia się zawsze jeszcze ani blask jutrzenki odrodzenia.

Odpowiedź nie brzmiała zbyt radośnie, nie budziła nadziei. Ot, ludzie pracowali w różnych kierunkach, robili co mogli, lecz tymczasem nie było widać żadnej możności polepszenia doli. Gdyby wszakże potrzeba było pomocy, p. Werner Solling obiecywał nie zapomnieć o przyjacielu.

Upłynął od tego czasu bodaj rok. Pani Irmgard widywała Fritza tylko rzadko i przelotnie. Wyrzekł się on nadziei, aby miała zmienić swe postanowienie.

Aż raptem spadł nań ten list! Cóż mogło nagle zajść tak ważnego? Czytając gazety wiedział, że w położeniu politycznem nie zaszła żadna, nawet najmniejsza zmiana. Nonsensem wydawało się spodziewać jakiejkolwiek poprawy w sytuacji Niemiec. A miał zapomnieć o zasiewach wiosennych i wyjeżdżać do Berlina — na kilka miesięcy.

Jednakże Werner nie był przecież fantastą pisząc do niego tak stanowczo, miał do tego ważny powód. Nie pozostawało przeto nic innego jak jechać i to zaraz pojutrze, jeśli przy wadliwej komunikacji miał przybyć nad Sprewę wczas.

Przypomniał sobie ów dawny list, w którym Werner pisał, że nie zapomni o nim, jeśli będzie można uczynić cośkolwiek dla dobra ojczyzny. Czyżby miał dla niego jakąś misję? Tak trzeba było przypuszczać. A więc

musiał jechać, a przedtem pożegnać się z panią Irmgard.

Na tem stanęło, gdy późno po północy skończył swą przechadzkę po pokoju.

II.

KLUB NIEWINIĄTEK.

Już następnego wieczora Fritz von Seelow był w wagonie. Targany niecierpliwością, nie zwlekał z wyjazdem. A była to od lat wielu pierwsza jego podróż, więc przyglądał się porządkom na kolei z pewną ciekawością. Istniały znów w pociągu przedziały drugiej klasy, szyby były niezbite i poduszki dość czyste, ale z pośledniego materjału. Storów nie było i można było rozpoznać jasną plamę, którą dawniej pokrywało zwierciadło. Stary wagon skrzypiał ze wszystkich boków.

Obrazki stacyj kolejowych przedstawiały się podobnie. Panowały tam pewna względna czystość i porządek, ale na każdym kroku bił w oczy ostatni niedostatek. Wagony były nieogrzewane mimo jeszcze zimową aurę. Więc rotmistrz, drżąc z zimna, otulił się w płaszcz i, wcisnąwszy się w kąt, puścił bieg myślom.

Tego rana udał się z krótką wizytą do Bornhagen do pani Irmgard. Nie zmieniła

się w niczem, wysłuchała więc jego sprawozdania z przyjaznemi uczuciami. Wprawdzie przedsięwziął sobie zachować się chłodno i nie wzmiankować nic o celu, jaki podróż jego mieć mogła, ale był tak przejęty, podniecony, a tak mało z natury dyplomatą, że dość nieświadomie wyrwał się ze swemi oczekiwaniami.

Na to pani Irmgard uśmiechnęła się i, ściskając jego rękę, rzekła:

— Niech pan jedzie z Bogiem i przywiezie wkrótce dobre wieści.

Przyrzekła mu czuwać nad gospodarką w Woltersdorfie, i to uspokoiło go bardzo, znała się bowiem na rzeczy. Jadąc konno dnia tego przez pola, uświadomił to sobie, a nie miał zresztą nikogo, ktoby go mógł zastąpić. Nie miał też na to funduszów.

Podróż miała trwać całą noc i następny ranek, czekały go kilkakrotne przesiadania i postoje. Napół zmarznięty przybył dopiero po południu na berliński dworzec Szczeciński. Ponieważ nie uprzedził przyjaciela, nikt go na dworcu nie oczekiwał. Zjadłszy coś przy bufecie, pojechał na Lützowstrasse, gdzie mieszkał Werner Solling. Stare konisko dorożkarskie potrzebowało godzinę czasu niemal, by zawieźć go na miejsce Deszcz i śnieg padał naprzemian, tak iż Seelow w drodze mało co widział z miasta.

Majora Sollinga nie zastał u siebie, lecz żona była uprzedzona o wizycie rotmistrza i, lubo nie znając go, powitała go bardzo serdecznie. Wskazała mu pokój gościnny. Męża oczekiwała dopiero na kolację, więc Fritz musiał uzbroić się jeszcze w cierpliwość na kilka godzin. Zużytkował ten czas na rozpakowanie się, umycie i uczesanie.

Wreszcie zjawił się Solling. Dwaj dawni przyjaciele uściskali się serdecznie. Nie widzieli się prawie przez lat szesnaście i stwierdzili, że zmienili się w wyglądzie pod niejednym względem. Fritz próbował skrócić przejawy radości i obserwacje, aby wystąpić z pytaniem dotyczącem celu jego podróży, ale Solling zamknął mu usta. Wpierw zamówił wieczerzę, poczem dopiero, w cztery oczy z przyjacielem, chciał mu opowiedzieć wszystko. Trzeba się było przeto jeszcze okazać cierpliwym.

Przy stole nastrój panował miły, lecz nieco sztywny. Myśli Seelowa odbiegały daleko od toku rozmowy. A że major zauważył to, więc bawił się tem w duszy, widząc, że udało mu się zaintrygować kolegę. Nie śpieszył się wcale z wyjaśnieniami i odgrzebywał jeszcze dawne wspomnienia z akademji wojskowej i z czasów wojny. Pani Solling nie miała wiele do dorzucenia, i Fritz poczynał się niecierpliwić i zżymać. Nareszcie podniesiono

się od stołu, pani Solling pożegnała ich, a oni przeszli do gabinetu majora.

Fritz miał nareszcie pofolgować sobie lecz Solling nie dopuścił go do słowa:

— Już wiem, co chcesz powiedzieć! Jestem ostatnim szelmą, każąc ci czekać tak długo. Ale nic to nie szkodzi; doprowadziłem cię do należytego nastroju. A więc teraz siadaj, tu masz cygaro, a dla uczczenia dnia twego przybycia zjawi się tu nawet butelka czerwieńca. Bierz to co mówię dosłownie, bo, pominąwszy dni świąteczne, nie stać nas w Berlinie na wino nawet w domach zamożnych.

— U djabła! — wybuchnął Seelow — nic mnie nie obchodzą wasze stosunki w Berlinie. Pragnę nareszcie dowiedzieć się, co zaszło i co tu mam robić. Poczytując cię dotąd za dość rozsądnego człowieka, przybyłem natychmiast na twe zawołanie. A teraz godzinami wytrzymujesz mnie bez objaśnienia, jakby dudka.

Major pochwycił go za rękę.

— Uspokój się, mój drogi, nie mam cię za dudka i nie przyzwałem cię nadaremno. Przebacz pewną moją zarozumiałość; wypływa ona bowiem z tak nadzwyczajnej radości, takiego błogiego usposobienia po tylu długich bezsłonecznych latach, że nie umiem ci tego wcale opisać. Słuchaj! Jesteśmy u celu!...

— Wernerze, czyż podobno, że wypływamy na powierzchnię?! Przez całą drogę do Berlina nie opuszczała mnie ta myśl. List twój nie mógł mieć innego znaczenia. Jakoż wybrałem się, o ile możności tak, jakby na wojnę. Nawet zabrałem swoje stare browningi.

— Te browningi mogłeś był pozostawić w domu — odparł Solling z uśmiechem — takie rzeczy służą już tylko do zabawy. Mówię serjo — dorzucił z naciskiem w odpowiedzi na zdumione spojrzenie przyjaciela. — Teraz wypijmy kieliszek wina na przyszłość Niemiec i — słuchaj!

Szkła zadźwięczały, major usiadł naprzeciwko rotmistrza, w zamyśleniu wyrzucił kilka chmurek dymu, zaczem począł:

— Było to dnia tego, w którym postanowiono podpisać warunki pokojowe. Wówczas byłem jeszcze w służbie, wykomenderowano mnie do ochrony Zebrania Narodowego w Wajmarze. Wieczorem siedzieliśmy społem w ubocznym pokoiku oberży, gdzie nas ulokowano. Było nas pięciu, wszystko dawni przyjaciele i towarzysze broni. Znasz bodaj Brüninga i Oltenslebena, innych może także. Brüning odczytał nam główne warunki, a my słuchaliśmy go ze łzami oburzenia i wściekłością w źrenicach. A potem siedzieliśmy długo bez słowa. Nie wiem, czy

przypominasz sobie ten dzień tak dobrze i wszystko co zaszło, dość, że mogę cię zapewnić, że nikt z nas pięciu nie miał uśmiechu i kamień legł nam na sercu.

Jeden z nas ozwał się: »Trzeba się wyrzec wszelkiej nadziei, po przyjęciu tych warunków idziemy na dno bez ratunku. Wszelka możność nabrania nowych sił jest z wyrafinowaną dokładnością wykluczona«.

Ktoś inny dodał: »Armja ze stu tysięcy ludzi, bez ciężkiej artylerji, bez wyszkolenia młodzieży... Jak przy tem moglibyśmy znów kiedykolwiek nabrać sił? Będziemy narodem niewolników, bez najmniejszych widoków rozerwania kajdan«.

»A przecież są Niemcy, którzy to podpisują...« — dorzucił jeden z nas i potem siedzieliśmy długo, długo, a żaden nie miał słowa pociechy.

Wreszcie podniósł się sążnisty Oltensleben i uderzył pięścią w stół. — »A jednak, przyjaciele — wyrzucił — bronić się nie możemy wprawdzie przeciwko Anglikom, Francuzom i owemu staremu lisowi, Wilsonowi, ale musimy się bronić przeciwko jednemu: beznadziejności. Nasz stary Pan Bóg, tam na wysokości nie może i nie opuści na zawsze swego niemieckiego narodu. Pokarał nas, zasłużyliśmy na to mniej lub więcej wszyscy. Sami opuściliśmy siebie; więc opuścił nas Ten

w górze. Teraz wszakże jest hasłem: pomóż sobie, a Bóg ci pomoże. Pięściami nie damy sobie rady, bo skrępowano je nam na długie czasy, wszelako serca nasze są wolne i nauczą nas, jak z opresji i nędzy wykrzesać znów czystą, bezinteresowną miłość ojczyzny. I myśli nasze są wolne; te muszą dzień i noc wytężać się i szukać środków i dróg, aby uwolnić nasze pięści z pętów. I bądźcie pewni: znajdziemy takie drogi...«

Otóż te słowa stały się kamieniem węgielnym gmachu, teraz niemal już wzniesionego. Szczegóły muszę tu pominąć; mogę ci tylko w ogólnych zarysach naszkicować, jak rozwijały się rzeczy dalej. My pięciu utworzyliśmy ścisły związek i wypracowaliśmy plan roboty. Było nam jasne, iż jedno tylko pozostało nam Niemcom: głowy nasze. Ale w nich tkwił nieograniczony kapitał. To co wytworzyć mogły niemiecka nauka i technika, niemiecka zdolność wynalazcza, należało oddać na usługi ojczyzny. Jednakże nie można było pozostawić tego jednostce; należało rozpocząć planową robotę we wszystkich dziedzinach, którą kierowanoby i nad którą czuwanoby z jednego punktu. Na czoło musieliśmy wysunąć wybitną osobistość. Kogo — nie ulegało ani chwili wątpliwości, i zbytecznem jest, abym wymieniał ci jego nazwisko. W naszem kole nie nazywamy go

nigdy inaczej jak tylko »generał«. Zobaczysz go jutro wieczorem. Zabrał się on natychmiast do dzieła z niesłychanym zapałem i od pierwszej chwili stał się duszą całego związku.

Następnie trzeba było zabrać się do wynalezienia współpracowników i to z największą ostrożnością. Li tylko całkiem zaufania godnych ludzi mogliśmy przyciągać do siebie. A wszyscy musieli przechodzić długi okres próbny. Urządzaliśmy na nich umyślnie pułapki i zasadzki, aby wierność ich dla sprawy i charakter poddać próbie. Ale stopniowo organizacja nasza przybrała jednak wielkie rozmiary. W każdej gałęzi nauki i techniki pracowały dziesiątki ludzi, poszukując środków wojennych, jakie moglibyśmy zużytkować w naszem położeniu. A każdy wydział miał swego osobnego kierownika, który dawał inicjatywę, rozporządzenia i dzielił się doświadczeniami.

Również z uniwersytetów i politechnik werbowaliśmy szczególnie uzdolnionych młodzieńców i zachęcaliśmy ich do studjów w specjalnych dziedzinach, w których brakło nam dostatecznych sił lub z których obiecywaliśmy sobie szczególniejsze korzyści.

Wszystkie nici skupiały się w Berlinie, gdzie utworzyliśmy coś w rodzaju sztabu generalnego. To co wytwarzały wydziały naukowe, ich doświadczenia i projekty pod-

dawano tam egzaminowi z punktu widzenia użyteczności wojskowej. Aparat nasz rozrastał się coraz więcej, i okazała się potrzeba funduszów. Należało wziąć do pomocy fabrykantów w różnych gałęziach przemysłu, aby przedsięwziąć u nich eksperymenty. Potrzeba było wielkich obszarników i właścicieli lasów, na których terenach można było próby te i eksperymenty wykonywać. Ostatecznie wszakże znalazło się wszystko, lubo z trudem i mozołem. Ile to wymagało cierpliwości i ostrożności, trudno dać ci o tem wyobrażenie.

Bo wszystko musiało być otoczone jak najgłębszą tajemnicą, zwłasza że władze nie spuszczały nas z oka. Ajentów rządowych spotykało się wszędzie i roiło się od francuskiej tajnej policji. Wiadomo ci mniej lub więcej, jak ukształtowały się stosunki. Różne rozruchy wzburzonej ludności przed poselstwem francuskiem oraz pod błahym pretekstem podjęta aneksja okręgu Saary, który w plebiscycie oświadczył się przeciwko przyłączeniu do Francji, stały się pożądaną przyczyną wysłania do Berlina oddziału wojska dla ochrony ambasady. Oddział ten zczasem powiększono do rozmiarów ruchomej dywizji, panującej tutaj niepodzielnie. Wobec niej reichswehra nie jest niczem innem jak ulepszoną policją. Jej ostre naboje są pod

kluczem Francuzów, o czem wszakże nie wolno ani wzmiankować w prasie.

Parlament nasz stał się oddawna nawskroś nacjonalistycznym, aż do najskrajniejszej lewicy. Wprawdzie stronnictwa zachowały swe dawne nazwy, ale zanikły niemal całkiem sprzeczności, zwłaszcza w dziedzinie polityki zagranicznej. Wyleczono się radykalnie z ideałów ogólnoludzkich i snów o braterstwie ludów. Lecz to nie ma dla nas znaczenia. Nazewnątrz istnieje parlamentaryzm, i stosownie do tego musimy mieć także rząd narodowy. Ale w rzeczywistości prezydent państwa jest zniewolony — odkąd Francuzi siedzą mu na karku — skład ministerjów przystosować do życzeń francuskich. Parlament tak czy owak pogodził się z tym stanem rzeczy, tak iż w sferze rządowej mamy do czynienia z kreaturami Francji.

W pierwszych latach po upadku wiele trudności sprawiały nam także wewnętrzne zamęty i walki, jednakże nie daliśmy się przez to wywieść w pole. Kroczyliśmy dalej swoją drogą. Nie pytając się o to, czy rząd jest prawicowym czy lewicowym, czy bolszewickim czy dyktatorskim, mogliśmy pomóc narodowi niemieckiemu jedynie przez dostarczenie mu znów środków wojennych, gdyż bez siły nie można mieć na świecie tym żadnego prawa. Inne narody zdawały

sobie z tego sprawę oddawna i my kiedyś również, lecz wyperswadowano nam to umyślnie przez tych w kraju czy za jego granicami, którzy chcieli wyciągnąć korzyść z pracy niewolników niemieckich.

Cała działalność nasza musiała być otulona jak najściślej płaszczykiem niewinności. Jakoż założyliśmy klub gry w karty, nazywając go według znanych wzorów »Klubem Nieszkodliwych« czy »Niewiniątek«. Wciągnęliśmy też do niego istotnie »niewinnych« ludzi, których nikt nie posądzał o nic złego i którzy rzeczywiście do tej chwili nie mają najmniejszego wyobrażenia, co kryje się za tym »klubem«. Kilkakrotnie nawet pozwoliliśmy się przyłapać przy grze. Dzięki temu jednak mieliśmy ubikacje, gdzie o pewnych oznaczonych godzinach mogliśmy schodzić się na narady całkiem bezpiecznie. Urządziliśmy także biuro patentowe, gdzie akty nasze techniczne spoczywały spokojnie jako podania projektów do opatentowania pomiędzy innemi, rzeczywistemi projektami oczekującemi patentu.

Nadzwyczajnie rozległe i ważne pole działania miał wydział osobisty, w którym ja grałem wielką rolę. Jednem z jego zadań było wynaleźć jak najwięcej ludzi, którzy, lubo zrazu niewtajemniczeni ani do współpracy nie wzięci, dawali nam dzięki swemu charak-

terowi i narodowym przekonaniom rękojmię, że, powołani w danym momencie, będą mogli spełnić pewne poruczenia. W każdej większej miejscowości i niemal w każdym okręgu posiadaliśmy naszych mężów zaufania, którzy mieli na oku swe otoczenie i stale zdawali nam sprawę. Z tego możesz domyślić się, że w ciągu tylu lat otrzymaliśmy nie ulegające kwestji opinje o wszystkich interesujących nas osobistościach.

Oczywiście przedewszystkiem poddaliśmy obserwacji wszystkich dawniejszych oficerów. Podczas okresu rewolucyjnego nastąpił szybko rozłam i podział oficerów na kategorje. I tak niemal wszyscy, których na listach zanotowaliśmy jako zaufania godnych, okazali się do dziś takimi, chociaż niekiedy jednak z boleścią przychodziło nam stwierdzać, jak powoli ten i ów odpadał, i to czasami nawet generał, mąż, na którym, zdawało się, można budować jakby na skale.

Niejednego wszakże mogliśmy z radością zapisać znów z biegiem czasu na naszą listę. Należeli oni do kategorji uczciwych, a więc zawsze uleczalnych iluzjonistów, którym otworzyły się oczy, skoro wreszcie przysły wszelkie nadzieje. Wierzyli oni najpierw w możliwość pokoju ugodowego, potem w Wilsona i jego 14 punktów, potem w błogosławioną działalność Ligi Narodów, następnie w pomoc

zagranicy przy pracy nad naszą odbudową, z obawy, by Europa w przeciwnym razie nie ucierpiała, następnie w korzystną dla nas rewizję traktatu pokojowego i możność zadowolenia wrogów przez skrupulatne spełnienie zobowiązań. Na każdym kroku ta sama niemiecka łatwowierność, nie przypuszczająca w żadnym razie, by ludzie mieli być tak złymi, i na każdym kroku ten zasadniczy błąd w mniemaniu, jakoby Anglja miała być tak głupią i najpierw rozbijać garnek, by potem go zlepiać z mozołem. Dopiero gdy wreszcie wyjaśniło się, że znikąd niema pomocy, a środki pieniężne z zagranicy starczą tylko nato, by Niemcy nie utonęły zupełnie, lecz trwały w stanie pracującego niewolnictwa, przewidzieli ludzie, iż tak dalej iść nie może.

Na wszystkie warstwy ludności rozciągały się nasze tajne wywiady i obserwacje, nawet na koła robotnicze. W tę sferę wglądali głównie dawni ordynansi oficerscy. Po między tymi ludźmi, którzy nieraz w ciągu lat wojny i pokoju zrośli się ze swymi panami spotykaliśmy niejednokrotnie wręcz zdumiewające przykłady przywiązania i wierności. A czasami wykazywali oni nawet znakomitą znajomość ludzi.

Niemniej ważną rzeczą było obserwować reichswehrę i jej sztab oficerski. Wiesz do-

brze, że rząd usunął stopniowo wszystkich narodowo myślących, o ile tylko się dało. Jakoż wkrótce mogliśmy tylko niewielki procent oficerów uważać za odpowiednich do naszych celów. Na miejsce wszystkich innych przewidzieliśmy zastępców i wkrótce wypracowywaliśmy, jak dawniej w czasie pokoju, prawidłowe listy mobilizacyjne, przyczem oczywiście osobniki w listy te wpisane nic o tem nie wiedziały.

I otóż teraz nareszcie doszliśmy tak daleko, że możemy dać hasło do powstania i w kilku tygodniach wygnamy za ostatnią granicę wszystką ową obcą hołotę...

— Ależ to myśl, która sprowadzić może zawrót głowy! — zawołał rotmistrz. — Powiedz mi jednak, na czem polegają wasze środki ratunkowe?

— Powiem ci to, naturalnie — rzekł Solling — i poinformuję cię, o ile sam wiem. Bo każdy z nas dowiaduje się tylko tego, co jego szczególnie obchodzi. Otóż, już przed kilku laty przedłożył nam pewien stary profesor fizyki swój wynalazek, dotyczący czegoś w rodzaju promieni, które nawet na wielką odległość przeszywają prawie wszystkie ciała i wywołują rozkład taki, że zapalają się wszystkie materjały eksplozywne.

— To brzmi zaiste bajkowo! — zauważył Seelow.

— Dlaczego? — odparł Solling. — Zastanów się, czy ktokolwiek byłby dawniej uwierzył, że nadejdzie czas, gdy da się odfotografować kości i serce w ciele ludzkiem, gdy bez drutu będzie można dookoła całej ziemi pisać i mówić, lub gdy zapomocą promieni będzie można w ciele ludzkiem podejmować zarówno niszczenie jak leczenie. Bajkowem nie jest dzisiaj nic w gruncie rzeczy. Pomimo wszelkich naszych wynalazków i całego postępu wiedzy, istnieją bez wątpienia zawsze jeszcze tysiące rzeczy między niebem a ziemią, o których nie śniło się filozofom. Nie stanęliśmy jeszcze wcale u kresu i zapewne nigdy tam nie dojdziemy.

Przypomnij sobie tylko owe słynne dalekonośne działa, z których w ostatniej wojnie raptem poczęliśmy ostrzeliwać Paryż z odległości 120 kilometrów. Jeszcze dnia poprzedniego każdy wyszkolony artylerzysta, znający prawa grawitacji, lub fabrykant armat byłby ci naukowy przeprowadził dowód, że jest to rzeczą absolutnie niemożliwą. A przecież okazało się raptem, że to możliwe, że to się stało.

Promienie te są w naszym ręku niezmiernie cenną bronią. Niema bowiem wątpliwości, że istotnie wysadzają w powietrze każdy materjał eksplozywny. Ale teraz należało skierować ten wynalazek na drogę

praktyczną, a więc przemienić w broń! A potrzeba znacznej ilości energji elektrycznej, by promienie te wytworzyć, i to tem większej, im intensywniej i na dalszą metę mają odnosić skutek. Udało nam się to wszakże krok po kroku.

I tak posiadamy obecnie trzy rodzaje aparatów, odpowiadające niejako dotychczasowym rodzajom broni palnej. Największy z tych aparatów, odpowiadający artylerji, zrobiłby na ciebie wrażenie wielkiego, ruchomego reflektora z ostatniej wojny. Przeznaczony jest przeciwko artylerji nieprzyjacielskiej i działa aż na 40 kilometrów. Aż tak daleko możemy wysadzić nim w powietrze każdy nieprzyjacielski obóz z amunicją, każde nabite działo, niemniej jak lotnika mającego przy sobie amunicję.

Drugi aparat działa na odległość strzału karabinowego, a więc na 4 do 5 klm. Wystarczają tu zbiorniki. Zamyka się cały ten cudowny wynalazek w skrzynkę, wyglądającą zewnętrznie jak mała walizka podróżna lub torba ręczna. Za naciśnięciem na guzik powyżej zamka maszyna poczyna działać i promienie padają przez mały, przysłonięty otwór w wąskiej ścianie aparatu. Nikt z otoczenia nie przeczuwałby, że mała walizka sprawia to, iż nagle wszystkie nabite karabiny dają ognia, i torby z nabojami eksplodują.

Ten aparat spełnia rolę piechoty i zapewne doniosłą odegra rolę w walkach ulicznych, jakich należy oczekiwać w pierwszych chwilach naszej akcji. Wreszcie trzeci aparat przypomina zewnętrznie kieszonkową latarkę elektryczną; zastępuje on rewolwer. Działa na odległość około stu kroków.

— Nadzwyczajne... — wtrącił Seelow i spytał: — A czyż aparaty te nie zawodzą?

— Bądź pewnym, że wszystko to wypróbowaliśmy z niemiecką dokładnością. A czy przypominasz sobie, jak to dwa lata temu eksplodował w porcie w Wilhelmshafen krążownik angielski? Było to naszą próbą generalną. Sam byłem przy tem. Byliśmy w lasku, oddaleni o 25 kilometrów. Wyobraź sobie napięcie naszych nerwów, gdy skierowaliśmy aparat do akcji. Niemal w tym samym momencie tam, gdzie stał okręt, ukazała się tylko chmura dymu. Łzy radości popłynęły nam z oczu. W porcie były jeszcze trzy inne łodzie angielskie. Zaprawdę kosztowało nas wiele, aby zwalczyć w sobie pokusę i pozostawić je w spokoju, lecz nie wolno nam przed czasem budzić ludzkiej podejrzliwości. Więc trzeba było aparat usunąć szybko. Jakoż Anglicy nie wiedzą do tej pory, co zaszło takiego, że krążownik raptem poszedł w powietrze. Nie pozostało im nic innego jak

uwierzyć, że prochy zapaliły się same. Ale kiedyś — wkrótce otworzą im się oczy!

Ubiegłe dwa lata zużytkowaliśmy na to, by skonstruować dostateczną ilość aparatów. Ukrywają się one pod nazwą aparatów kinematograficznych, spoczywają rozłożone w pewnej fabryce, której właściciel jest jednym z naszych najgorliwszych współpracowników. W ostatniej chwili złoży się części tych aparatów w jedną całość.

Od momentu, gdy sukces był zapewniony, nie mieliśmy już kłopotu o fundusze. Mogliśmy bowiem zaciągać pożyczki ile nam się podobało.

Wiesz tedy, mój drogi, to co najważniejsze. Bądź jak bądź dosyć na dzisiaj. Już późna godzina, a jutro czeka nas dzień nużący. Więc idźmy spać.

— I tak nie usnę z pewnością długo — rzekł Seelow. — Zdaje mi się, że mam w głowie koło młyńskie. Nie mogę tak zaraz wniknąć umysłem we wszystko; mam wrażenie, jak gdyby dało się jeszcze znaleźć w waszym rachunku pewne braki.

— Istotnie są braki — odrzucił Solling — ale w mym dzisiejszym raporcie, a nie w naszym rachunku. Jutro dowiesz się więcej. Tymczasem niech cię uspokoi moja pewność. A zatem — dobrej nocy!

Rozeszli się. Seelow, położywszy się, chciał zastanawiać się nad nową taktyką bez broni palnej, ale rzecz dziwna, zawsze krzyżowało pasmo jego myśli pytanie czy wypada mu nazajutrz wysłać pocztówkę do Bornhagen. I tak zasnął.

III.

W BERLINIE.

Następnego rana major miał do załatwienia na mieście kilka drobnych spraw. Towarzyszył mu Seelow, ciekawie rozglądając się po zdawna znanych ulicach Berlina, którego nie widział od lat piętnastu. Nie dostrzegał wielkich zmian; plac Lützowa, Nollendorfa, Massenstrasse miały swą dawną fizjognomję. Skoro jednak zapuścili się dalej do Schönebergu i w uboczne ulice, okazało się, że bieda i niedostatki wyzierały z każdego domu. Wśród dzieci bawiących się na ulicy bywały okazy krańcowej nędzy, dorośli zaś zdawali się przepracowani i bezmyślni. Obrazu dopełniały pustka i brudy.

Seelow dał wyraz swemu przerażeniu, lecz Solling zauważył:

— Nie jest to jeszcze najwstrętniejszy obraz; gdybyś ujrzał dzielnicę północną lub wschodnią, przekonałbyś się o tem. Wogóle nie powinieneś wyobrażać sobie Berlina już

jako pogodne, wygodne miasto, jakiem był dawniej, kiedy to nawet uliczka na skraju przedmieścia przedstawiała się schludnie i przyjemnie i latem na każdym balkonie widniały rabaty kwiatów.

Czy przypominasz sobie owe wielkie miasta na Wschodzie, jakie poznaliśmy czasu wojny? Wydawały się nam napół orjentalnemi, bo obok wyrafinowanego zbytku biła w oczy ostatnia nędza. Tak mniej więcej jest teraz u nas. Na głównych ulicach przepych a poza nim zgroza. Tam prawie wyłącznie obce żywioły, żyjące w dostatku, a tu rzeczywisty Niemiec bez ratunku, na drodze do zagłady. Naturalnie zbrodnia szerzy się przerażająco. Niemało trzeba będzie nad tem pracować, by dźwignąć znów fizycznie i moralnie tę ludność. Niekiedy wpadają w oczy obrazki przeszywające duszę bólem.

Raz jeden tylko doznałem pewnego rodzaju zadowolenia, choć brzmi to szpetnie. Zetknąłem się wypadkiem z całkiem zubożałym i znikczemniałym człowiekiem, w którym rozpoznałem stróża domu, gdzie mieszkaliśmy przez ostatnie lata wojny. Należał on wtedy do największych krzykaczy. Wobec mnie wprawdzie nie odważał się na popisy swej swady, ale opowiadała mi to żona. Było mu całkiem obojętnem, czy rządzili Francuzi czy Anglicy, byle panował pokój i było

co jeść. Wojna była dla bogatych. Zwykła, wstrętna gadanina tylu a tylu półgłówków. A przecież właśnie on miał większy dochód ode mnie i wolne mieszkanie.

Nie mogłem teraz odmówić sobie tej satysfakcji, aby go nie zapytać

»No, jakże podobają się panu rządy francuskie?«

Począł na to lamentować, lecz przerwałem mu:

»Dobrze się panu tak stało. Nie mam dla pana najmniejszej litości. Nie chcieliście słuchać, teraz odczuwacie na własnej skórze.«

Rzucił mi wściekłe spojrzenie, sięgnął po butelkę z wódką i poszedł dalej. Lecz — powiedz mi, jak przedstawiają się stosunki u was na wsi?

— Bądź jak bądź mniejszej uległy zmianie — odparł Seelow. — I my musieliśmy się wyzbyć niejednego człowieka zbędnego przy misie i pracujemy ciężko, ale wogóle żywioł wiejski trzyma się silnie i zdrowo.

— Tak opowiadano mi to z innej strony — zauważył Solling. — Okazuje się, że pod tym względem przez te 15 smutnych lat nauczyliśmy się także czegoś dobrego, a mianowicie przyniosło to nam poprawę rasy. Przez upadek przemysłu ucierpiała naturalnie głównie ludność wielkomiejska i znacznie zmniejszyła się liczebnie. Nieustanne zamieszki re-

wolucyjne, pociągające ubytek ludzi, głód z jego następstwami, z wielką śmiertelnością zwłaszcza wśród dzieci, wreszcie wychodźtwo wywarły swój skutek. Tymczasem ludność wiejska pozostała prawie tą samą, w niektórych okolicach nawet wzrosła znacznie dzięki drobnemu osadnictwu i t. d. W następstwie tego skład ludności całej poprawił się znacznie pod względem rasowym. Gdyby rząd był miał pewne zrozumienie dla takich spraw i był popierał rozwój, można było osiągnąć jeszcze wiele więcej. Da Bóg, że nasz przyszły rząd nie popadnie znów w ten błąd, by upatrywać postęp w każdym dymiącym kominie i każdem powstającem mieście. Dla osobnika z pnia germańskiego życie wielkomiejskie jest mniej stosowne niż dla innego; degeneruje on szybciej, skoro straci styczność z rolą. Postaramy się o to, aby zdobyć dosyć ziemi dla wszystkich Niemców.

— Czyż macie pod tym względem także swe plany? — zagadnął Seelow.

— Ależ naturalnie, wszystko jest gotowe. Posłyszysz o tem więcej dziś wieczorem i to z ust samego generała. Będzie on mówił o szóstej na wielkiem zebraniu w klubie.

Muszę wszakże nadmienić jeszcze jedno. Wzmiankowałem, że ostatnie lat 15 przyniosły nam to i owo dobrego, zwiększe-

nie ludności wiejskiej czysto germańskiej rasy przy jednoczesnym ubytku mieszanej ludności w miastach. Ale jeszcze coś niezbędnie koniecznego zawdzięczamy tej smutnej epoce. Bez kwestji nabyliśmy więcej tężyzny, zarówno naród w swym całokształcie jak poszczególny osobnik, i to w stosunku do siebie i do innych. W ostatniej wojnie ujawniliśmy pewną miękkość natury i życie ludzkie ceniliśmy zbyt wysoko, w czem leży jedna z głównych przyczyn, że nie zdobyliśmy się na wytrwałość.

— Przepraszam cię — przerwał rotmistrz — nie możesz utrzymywać, że nasi żołnierze nie wystawiali dostatecznie swego życia na niebezpieczeństwo. Nie brak przecież mnóstwa przykładów wręcz wspaniałego bohaterstwa. Przypominam ci tylko Ypern.

— Znam to wszystko — odparł Solling. — Nie brakło nam osobistej waleczności, ale waleczność sama nie wystarcza. Mimo wszystko byliśmy miękkiego serca. Wyjaśnię ci to na kilku przykładach, jakie mi się nasuwają na myśl.

Było to po bitwie w Lotaryngji, zaraz dnia 14 września. Wieczorem przybyło pośpiesznie na plac boju kilku cywilnych lekarzy z Metzu. W pewnej wsi zastali lazaret polny w pełnym ruchu. Niemieccy lekarze mieli mnóstwo do roboty około rannych niemieckich. Fran-

cuskich rannych pozostawiono zrazu z pojmanymi lekarzami francuskimi, którzy nie uważali bynajmniej za potrzebne ruszyć palcem. Stali zgrupowani i rozmawiali, paląc papierosy. A na zapytanie, dlaczego nic nie robią, odparli, że brak im stołu operacyjnego, brak tego lub owego. Tymczasem lekarze z Metzu postarali się w jak najkrótszym czasie o wszystko, czego było potrzeba, i zabrali się do francuskich rannych. Panowie Francuzi stali przy tem i przyglądali się. Ani im się śniło pomagać. Jeden z rannych był widocznie bliskim śmierci; nie można było go uratować. Więc lekarze niemieccy pozostawili go w spokoju. Straszną było rzeczą patrzeć na tego człowieka, jak raz wraz usiłował coś powiedzieć. Wezwano tedy lekarzy francuskich, aby przynajmniej tym zaopiekowali się człowiekiem i dowiedzieli się, co on chce powiedzieć. Cóż na to odrzekli? »Bah, laissez le crever«, co znaczy: »niech zdycha«. Że to jest faktem, mogę ci osobiście zaręczyć. A teraz powiedz mi, czy coś podobnego byłoby u nas wogóle możliwem?

Inny przykład. Było to w czasie po zajęc u Lotaryngji. Do żony leśniczego, urodzonej tam, której mąż jako Niemiec dawno był wydalony, przybył francuski oficer, mający zająć rewir, i żąda opuszczenia leśniczówki. Kobieta wzbrania się, mając w domu

śmiertelnie chorego syna, którego niepodobno przenieść. Na przedstawienia ze swej strony kobieta usłyszała: »Laissez le crever, ce boche là«. Pomyśl, do rodzonej matki i w czasie pokoju.

Z własnego doświadczenia wiadomo ci, jak to często rankiem słyszeliśmy z francuskich rowów strzeleckich grzmiące: »un, deux trois«, poczem wielkim łukiem padały przez palisady trupy poległych w nocy i tam spoczywały. Pocóż je grzebać? byli zabici, więc przecież tylko marną bryłą ścierwa.

Jeńcy nasi po powrocie swym z Francji opowiadali podobną, charakterystyczną historję. Granat padł w maszerującą kolumnę francuską i położył trupem kilku ludzi. Pozostawiono ich poprostu na ziemi leżących; wozy, armaty, samochody szły po nich przez cały dzień, tak iż pozostało z nich tylko kilka bezkształtnych kawałów. Nikomu się nie przyśniło, by usunąć ich na bok. Ostatecznie pochowali ich pojmani Niemcy.

Tego rodzaju przykłady możnaby wyliczać w nieskończoność. Wskazują one na taką pogardę cudzego życia, taką brutalność, jaka u nas byłaby czemś zgoła nieposłyszanem [1])

[1]) Nawiązując do tego, tłumacz tej książki pozwala sobie przytoczyć fakt następujący: W pierwszych miesiącach wojny stanął na dworcu poznańskim pociąg transportujący wojsko

A jak postępowali Francuzi z rokoszanami w swych szeregach? Nie bawili się z nimi. Zastrzelono również we Francji kilka kobiet, oczywiście pochodzenia niemieckiego, z powodu szpiegostwa. Nikt nie oburzał się skutkiem tego; uznawano, że wszystko było w porządku. A u nas ileż to było gadaniny

---

w przejeździe z Prus Wschodnich na zachód. Żołnierzom nie wolno było oddalać się na miasto. Z jednym z nich wdałem się w gawędę. Był to szeregowiec z Turyngji, prostak, który o istnieniu Polaków nie wiedział bodaj wiele i mówił do mnie z całą szczerością absolutnie bezkrytycznego niewolnika. Opowiadał mi o potyczce pod Gąbinem, po której Moskale cofnęli się z placu boju. Zapytany o rannych mówił, że gdy zabrano się do spoczywających na ziemi Rosjan, pułkownik zawołał dosłownie:

— Was sollen wir mit dem Zeug?! (Cóż mielibyśmy począć z tem!?)

Poczytano to za rozkaz dobijania rannych rosyjskich zastosowano się do tego, tem więcej, że generał polecenie to zatwierdził.

Opowiadano podówczas powszechnie, że po bitwie pod Longvy Kronprinz, wierny swej dewizie: »immer feste druf«, wydał rozkaz, by bez chwili zwłoki ruszyć za nieprzyjacielem Tu i owdzie rzucono deski na ciała rannych, obficie pokrywające teren walki, i armaty przejeżdżały po nich, rozgniatając je na miazgę.

Zresztą niechaj czytelnik wyda sąd o tem, czy nacja, która pierwsza stosowała miotacze ognia, obrzucała jakieś mieściny angielskie bombami li tylko z upodobania do niszczenia i mordowania i która ma na sumieniu »Lusitanję«, może mieć powód do zarzucania sobie braku okrucieństwa, brutalności i pogardy cudzego życia. (Przypisek tłumacza)

z powodu jednej osoby, owej całkiem słusznie rozstrzelanej Miss Cavell!

Daleki jestem od tego, by podziwiać te rysy charakteru francuskiego albo życzyć sobie, byśmy ich naśladowali. Nie ulega wszakże wątpliwości, że naród, w którym tkwi taka twarda natura, taka pogarda życia bliźniego i własnego rodaka, ma w wojnie przewagę nad narodem miękkim. Twierdzę przeto bez wahania, że w podobnych warunkach nigdy nie bylibyśmy tak długo wytrzymali jak Francuzi. Gdybyśmy byli przegrali tyle bitew, gdybyśmy byli mieli wroga tak głęboko w kraju i takie ponieśli ogromne straty, bylibyśmy załamali się o wiele wcześniej...

Ileż to czyniono wyrzutów naszemu dowództwu? Przez kilka lat można było czytać we wszystkich lewicowych gazetach wyrażenia jak: masowi mordercy, rzeźnicy ludzi i t. p. Nic podobnego we Francji pomimo stosunkowo wiele znaczniejszych strat, co tłumaczyć można tylko złem dowództwem i bezwzględnem poświęcaniem życia ludzkiego.

Otóż widziałeś, że ta sama miękkość objawiła się u nas w czasie rewolucji i sprawiła, że była ona tak łatwą i bezkrwawą. Długie toczono wówczas spory o to, czy należy wydać zakaz strzelania, czy nie. Co się tyczy biegu wypadków, było to według mego zdania obojętnem. Zapewniam cię, nawet

na najostrzejszy rozkaz strzelania nie byłoby znalazło się we wszystkich bataljonach rezerwowych, jakie wówczas były w kraju, stu ludzi, którzy byliby dali ognia do towarzyszów broni. Bo towarzysz broni był bratem, którego nie wolno ranić.

A jak szybko zmieniło się to wszystko jak wnet przejrzano, że istnieje różnica między kamratem jednym a drugim, że nawet pod mundurem siedzieć może łajdak. Jak to wówczas strzelano do siebie wzajemnie, jak, mało znaczyło życie ludzkie! Wszyscy, u góry i u dołu stali bez serca i nieczuli na widok głodu i wszelakiej niedoli. Aby miało to szersze zatoczyć koła i wytworzyć u ogółu szpetną i brutalną naturę, niema obawy przy naszym charakterze narodowym, chociaż oczywiście i my mamy wśród siebie brutalne indywidua i widywaliśmy okropności w walkach domowych. Jedynie znikła przesadna miękkość ludu, i to, według mego zdania, jest dobrem i niezbędnem w narodzie, który chce żyć i podnieść głowę.

— Wszystko to jest bez kwestji prawdą — odparł Seelow. — Pod tym względem zresztą górowali nad nami od wieków wszyscy inni nasi nieprzyjaciele. Przypomnijmy sobie tylko okrucieństwa Anglików w ich wojnach kolonjalnych, kobiety burskie, Madhistów i t. d. Żaden Anglik nie oburza się z tego powodu.

I w Ameryce nikomu nie śniło się o naszej babskiej czułości; w takim razie bowiem nie zachodziłyby tam tak często wypadki linczowania z publicznem paleniem na stosie i różnemi torturami. Z jaką to obojętnością przyjmują tam ludzie tak częste, wielkie katastrofy kolejowe lub kopalniane, pożary i t. d. Poczytują je tam poprostu jako dopust siły wyższej, nieunikniony od czasu do czasu. Kogo to dotyka, ten miał nieszczęście, i koniec; inni idą dalej swoją drogą.

A u nas przy każdym najdrobniejszym wypadku prasa podnosiła krzyk ogromny. Wtedy nietylko trzeba było wyszukać przynajmniej jednego urzędnika i jako kozła ofiarnego ukarać, ale prowadzono drobiazgowe śledztwo, czy stało się zadość wszystkim przepisom.

— Tak było u nas istotnie — potwierdził Solling. — I jakie pociągnęło to skutki? Każdy urząd, każde przedsiębiorstwo otaczało się i zabezpieczało przepisami i zakazami, tak że wkońcu wszystko było zakazane. A potem znów wieszano psy na »państwo policyjne«, które sam ogół wytworzył przez swą wygórowaną dociekłość.

W ten sposób dwie zabijano muchy naraz i wytwarzano podwójne niezadowolenie z państwa. I, jeśli sobie to rozważysz, okaże się, że wychodziło to ze strony tych

samych ludzi, którzy mieli interes w tem, by państwo nasze rozbić. —

Przyjaciele wstąpili do winiarni i zjedli tam obiad, bardzo skromny, a ogromnie drogi. Niewielu snać mogło sobie na to pozwolić, bo Solling i Seelow byli niemal jedynymi gośćmi restauracji. Mogli przeto rozmawiać swobodnie.

Rotmistrz powrócił wkrótce do tematu ich wczorajszej rozmowy.

— Powiedzno, jak wyobrażacie sobie właściwie przyszłe boje, bez jakich naturalnie się nie obejdzie. Skoro wszelki materjał palny wychodzi z użycia, pozostanie tylko biała broń, walka jednego z drugim. Przez to liczba walczących będzie miała większy jeszcze niż przedtem wpływ na wynik. A liczebnie mając teraz 55 miljonów ludności, jesteśmy stanowczo w mniejszości. Nawet gdyby Ameryka i Włochy nie miały wziąć udziału, będziemy mieli do czynienia z Anglikami, Francuzami, Belgijczykami, Polakami i Czechami, a więc z siłą dwa razy tak wielką jak nasza.

— Masz poniekąd słuszność; — rzekł Solling — pozostaje tylko biała broń. Nasza metoda walki zaprowadziła nas zpowrotem do średniowiecza. Berthold Schwarz poszedł raz na zawsze na odstawkę Gdybyśmy posiadali kilka tysięcy starych zbroi, dałoby się

utworzyć świetną jazdę. Będzie można teraz użyć jako broni wszystkiego, kosy cepy, siekiery i młotu tak dobrze jak bagnetu i lancy. W tem leży właśnie korzyść nasza, bo odrazu będziemy tak dobrze uzbrojeni jak nieprzyjaciel.

Wszystko co u nas wznosi się nad powierzchnią ziemi, dotknięte będzie w wielkim stopniu skutkiem nieoczekiwanych eksplozyj i pod wrażeniem pierwszego przerażenia ludzie będą się poddawali szybko, dopóki nie zrozumieją, co się stało. Zaczem ruszą w większych grupach naprzód, i tak będziemy znów panami we własnym kraju i to jednocześnie całkiem zmobilizowanymi.

Być może jednak, że, zanim to nastąpi, przyjdzie do większych potyczek, zapewne w Nadrenji i na granicy polskiej, ale w tym wypadku ufam całkiem naszym dzielnym niemieckim pięściom. Akurat w walce pierś o pierś górujemy zawsze jeszcze nad wszystkimi. A muszę nadmienić, że uważam to za korzystne, aby przyszło do poważnych bojów. Bo wolność nie powinna spadać narodowi na łono jako dar nieoczekiwany. Trzeba ją sobie wywalczyć i opłacić ofiarami. Tylko dzięki temu tłum odzyska znów poczucie swego ja i poszanowanie siebie.

— Być to może — zauważył rotmistrz — wszelako spotykamy niestety tyle bezmyślnej obojętności, i nikt nie ma wyobrażenia o po-

sługiwaniu się bronią, bo nawet niewinne ćwiczenia gimnastyczne są zabronione; więc jakże z takim materjałem w ludziach potrafimy stawić czoło podwójnej przemocy?

— Co się tyczy obojętności — odparł major — to nie lękam się jej, bo spoczywa tylko na powierzchni i jest wypływem beznadziejności. A pod tą powłoką tkwi głęboko nienawiść, i to wszędzie. Pokaż tylko ludziom możność wyzwolenia i pomsty, a przekonasz się, jak szybko zerwą się do czynu. Będzie to jeszcze inaczej aniżeli w roku 13-ym.

Oczywiście, co się tyczy przewagi nieprzyjaciela pod względem liczby i wyćwiczenia, próbowaliśmy to wyrównać. W tym celu stworzyliśmy wiatrówki (Pressluftgewehr), i to bardzo praktyczny model, tak iż biją one niemal na tę samą odległość co dzisiejsze karabiny piechoty. Karabin taki istnieje w handlu jako sztucer do strzelania do celu, lecz puszczono go w obieg bez stosownego przepisu użycia i bez specyficznego, małego przyrządu do zamykania. Skutkiem tego karabiny są całkiem nieszkodliwe i niosą zaledwie na 100 metrów, a dzięki temu uniknęły konfiskaty i mogliśmy rozprzestrzenić po kraju około 10 tysięcy sztuk tej broni bez kosztów. Zysk z tego źródła obróciliśmy na wyrób dalszych trzech tysięcy karabinów oraz na owe przyrządy do zamykania dla rozprzedanych 10

tysięcy. I tak możemy każdy pułk wyposażyć w pewnego rodzaju broń palną, która może być nadzwyczajnie skuteczną, jeśli kto umie się nią posługiwać. Naturalnie w chwili mobilizacji rozpocznie się fabrykacja hurtowna tej broni.

— Istotnie przekonywasz mnie stopniowo — rzekł Seelow i zawołał: Mój Boże, zawsze jeszcze nie może mi się pomieścić w głowie, że cała ta niedola dobiega kresu! Wy, szczęśliwi, jesteście oddawna już świadkami, jak zbliżają się wielkie wypadki. Mogliście oddawać się nadziejom, cieszyć się i przykładać do tego rękę... Ale nie wolno mi skarżyć się, bo i ja doznaję tej radości o kilka dni wcześniej od wielu innych. A więc nareszcie będziemy znów prawdziwymi ludźmi w całem tego słowa znaczeniu, równouprawnionymi ze wszystkimi ludźmi na świecie!

— Nie, mój drogi, wyrośniemy na coś jeszcze większego! — zawołał Solling. — Nie ukończyłem jeszcze opowieści o mych tajemnicach. Ale chodźmy; dokończę na dworze. Muszę jeszcze wstąpić tu i owdzie. Możesz mi towarzyszyć do placu Poczdamskiego.

— A więc mamy jeszcze trzeci wynalazek... — ciągnął Solling, gdy znaleźli się na ulicy. — Szczegółów jego sam nie znam. Wiem tylko, że leży w dziedzinie chemiczno-medycznej. Jest to jednak podobno w skutkach

tak okropny środek, że tylko w najgorszym razie zamierzamy się nim posługiwać, a więc wówczas, gdyby ludzie nie zechcieli sami przyjść do rozsądku.[1])

Skoro otrzymamy w kraju rząd narodowy i będziemy panami u siebie, zawezwiemy wszystkie nieprzyjacielskie nacje, aby wysłały do nas poselstwa, którym przedstawimy nasze środki wojenne, oczywiście ich skutki, a nie sposób ich produkowania.[2]) Poczem sta-

---

[1]) Niepodobna nie podkreślić tego tajemniczo brzmiącego zdania majora Sollinga albo raczej autora. Daje ono do myślenia i w gruncie rzeczy znaczy tyle, że »jeśli świat nie przyjdzie do rozsądku« czyli nie da Niemcom »równouprawnienia« w świecie czyli miejsca na słońcu, hegemonji nad światem, to Niemcy, lubo »miękkiego serca«, będą musieli wszystkich zawadzających im czyli »nierozsądnych« wytruć jak szczury.
(Przyp. tłumacza.)

[2]) Co się tyczy owych różnych środków wojennych, nad których wynalezieniem i zastosowaniem mozolą się obecnie w Niemczech artylerzyści z pomocą sił naukowych, to w arkana tych usiłowań pozwala nam wejrzeć poniżej podana wiadomość, z której okazuje się, iż cośniecoś z tych wynalazków ma już swe zastosowanie.

Dzienniki madryckie donoszą, że policjanci w stolicy Hiszpanji są uzbrojeni obecnie, oprócz szabli i zwykłego rewolweru, także w pistolet dużego kalibru, którego nabój przy wystrzale wydziela chmurę gazu odurzającego. Gaz ten pozbawia natychmiast przytomności na kilkanaście minut tego w którego był wymierzony, ułatwiając policji hiszpańskiej obezwładnianie przestępców.

Ciekawe jest przytem to, że owe pistolety odurzające fabrykowane są — w Niemczech. (Przyp. tłumacza.)

wimy je przed alternatywą: albo bezwzględnie poddadzą się naszym warunkom, albo nastąpi rozprzężenie naszych mocy. Dla upewnienia się będą musieli zrobić do oznaczonego dnia to i to. Wszystko to jest w szczegółach postanowione Nie może to pozostać bez skutku, i tak, mój drogi... urządzimy świat na naszą modłę, jak nam się będzie podobało.

Tymczasem przetrawiaj to co słyszałeś ode mnie, a ja muszę pójść dalej. Dowidzenia w domu. O piątej pójdziemy razem do klubu. —

Jakby oszołomiony rotmistrz stanął na miejscu. Myśli goniły się w jego głowie, aż raptem zbudziły go z rojeń dźwięki trąb. Przez ulicę Koeniggrätzu posuwała się kolumna żołnierzy i ktoś obok niego bąknął objaśniająco:

— Zmiana odwachu dla francuskiej ambasady.

Nagle ujrzał, jak wszyscy zdejmowali kapelusze, bo trzeba było oddać hołd chorągwi, temu przeklętemu łachmanowi.

»Przenigdy!« pomyślał Seelow i wielkiemi krokami wpadł do sklepu z cygarami, gdzie przekupień wyzierał na ulicę z przerażeniem w źrenicach.

— Niechaj się pan cieszy, że nikt go nie spostrzegł. Nie wolno się uchylać od pokłonów. Francuscy tajni ajenci niejednego już wywlekli z tego sklepu.

— No, niedługo się to skończy! — rzucił Seelow i poklepał kupca po ramieniu tak rozpromieniony, że ten spojrzał nań ze zdumieniem.

Powrócił powoli do domu. Przedtem wstąpił do biura pocztowego i wysłał pocztówkę do Bornhagen, na której napisał tylko te słowa: »Wszystko przedstawia się jeszcze o wiele, wiele ładniej«.

IV.

CELE I NAKAZY.

Zbliżała się szósta, gdy dwaj przyjaciele wchodzili do klubu. U wejścia do sali poddać się musieli ścisłej kontroli ze strony kilku członków stowarzyszenia, którzy posiadali listę zaproszonych i dawali znaczek każdemu, kto się wylegitymował. Na znaczku, jaki otrzymał rotmistrz, widniało: B. 25.

— Jest to tymczasowe twe nazwisko — objaśnił go major — i zarazem wskazówka, do jakiej należysz grupy mobilizacyjnej.

W wielkim salonie zastali już liczne zgromadzenie. Niejeden nosił jeszcze wyraźne cechy oficerskie. Seelow spotkał tu kilku dawnych znajomych i serdecznie uścisnął im dłoń.

Sala zapełniała się coraz więcej. Napięcie nerwów wzmagało się, rozmowa toczyła się

w tonie przytłumionym. Nagle uciszyło się, bo przez boczne drzwi wszedł generał.

Wkroczył z lekkim dla zebranych pokłonem i stanął u końca długiego stołu Seelow ciekawie ogarnął okiem wysoką tę postać, znaną mu oddawna dobrze.[1]) Włos jego zbielał, twarz nieco wychudła, rysy zaostrzyły się. Ruchy starca wszakże były energiczne i zdrową muskulaturę zdradzające, a ogień młodzieńczy strzelał z oczu, gdy wzrok jego przesunął się po spiskowcach. Oparłszy ręce na stole, przez chwilę patrzał przed siebie, poczem ozwał się:

»Panowie! Nadeszła wielka chwila, na jaką was zwołałem. I zebraliśmy się pod wielkiem hasłem. A hasło to brzmi: »Odrodzenie Niemiec!« Piętnaście lat hańby i niewoli pozostało za nami, a zarazem piętnaście lat nieustannej pracy, niezmordowanych mozołów w celu wynalezienia wyjścia z niedoli.

---

[1]) Przypuszczać można, że autor ma tu na myśli generała Ludendorffa, który nie postradał nic ze swych wpływów. Wszelako pewne wątpliwości mógłby nasunąć fakt, że przedmówca tej książki, a sztabowiec tego generała, w roku 1918 przybył do głównej kwatery niemieckiej i żądał odwołania Ludendorffa ze stanowiska niemal generalissimusa jako niestosownego. Niejeden generał stracił wiarę w jego zdolności. Historyk Hans Delbrück zaś w pracy poświęconej Ludendorffowi nazywa go »zwarjowanym kadetem«.

(Przyp. tłumacza.)

»Otóż teraz widzimy tę drogę przed sobą. Przyszłość przed nami stoi jasna i wielka...

»Wy, moi panowie, jesteście do tego powołani, by narodowi jutro to otworzyć. Trzykrotnie poddawano każdego z was próbie i wyszliście z tej próby zaszczytnie. Macie być przewódcami narodu i jako pierwsi oddać swe życie za wolność. Na jakim posterunku każdy z was stanie — dowiecie się o tem od bezpośrednich swych przełożonych.

»Ja zaś wskażę wam nasze cele.

»Musicie bowiem być poinformowani o tem, za co walczyć macie, i objaśnić to ludowi. Od pierwszej chwili musicie oddać się na usługi wielkiego zadania, jakie teraz przychodzi nam spełnić, jeśli nie mamy przeoczyć i zmarnować korzyści, którą los nam dał w tej może bezpowrotnej godzinie, jeżeli słabość i połowiczność nie mają uczynić ujmy wielkiemu dziełu, jak to bywało już w dziejach Niemiec.

»Pierwszem i najpiękniejszem zadaniem naszem jest oczyszczenie ojczyzny od wszystkich obcokrajowców. Mamy odpowiednie środki i siły. A nadto posiadamy potęgę, która pozwoli nam przeforsować naszą wolę, o ile będzie nam się podobało.

»Moi panowie, jest to myśl niepodobna prawie do ogarnięcia! Myśl, która jedynie

w głowach niemieckich mężów nie zamienia się w zbrodnię. Wyobraźmy sobie bowiem Brytyjczyka lub Francuza w posiadaniu takiej nieograniczonej potencjalności. Własny nasz los dzisiejszy daje nam wyobrażenie o tem, co stałoby się z narodów tej ziemi.

»Nam suma tej potęgi ma służyć przedewszystkiem do wskrzeszenia naszego dawnego państwa i do stworzenia wygodnego domu dla wszystkich, co noszą imię Niemca. Już nikt nie przeszkodzi nam w połączeniu się z braćmi, oddawna już wzdychającymi do nas, i potem będzie to bodaj tylko kwestją czasu, a przyłączą się do tego zjednoczonego, potężnego państwa z własnej woli wszyscy ludzie niemieckiego języka. Przymusu nie będziemy wywierali na nikogo. Prócz tego mamy tylko obowiązek wobec samych siebie. Trzeba będzie przeto zapewnić sobie granice z natury militarnie silne. Na chwilę wprawdzie mamy nieograniczoną przewagę, ale któż wie, na jak długo. Każdego dnia inny naród może wejść w posiadanie wynalazku, który pozwoli mu wziąć górę. Są to ewentualności, z jakiemi w tych czasach coraz pośpieszniejszego postępu na wszystkich polach nauki i techniki liczyć się musimy. Można nawet przypuścić, że jeden osobnik posiędzie środki wyposażające go w potęgę nieprzeczuwaną, jak ongi pierścień Nibelungów. Jest przeto

nakazem instynktu samozachowawczego zabezpieczyć się o ile możności przeciwko wszelakim możliwym przewrotom. A dzisiaj nie zabraknie nam już jak dawniej zrozumienia tego głosu instynktu.

»Nadto wzgląd na własne bezpieczeństwo nakazuje nam dążyć do tego, by w granicach naszego państwa mieszkał wyłącznie jednolity lud z pnia niemieckiego, gdyż mieszana narodowościowo ludność na pograniczu była zawsze kością niezgody między narodami. Nie potrzeba chyba już dzisiaj przeprowadzać dowodu, że tam, gdzie zamieszkują pomieszane różne narodowości, fakt ten nie przyczynia się do wzajemnego zrozumienia i zażegnania przeciwieństw. Przeciwnie, podsyca te przeciwieństwa tak, że każda narodowość rości sobie pretensje do ziemi ich zamieszkania, i prowadzi to prędzej czy później do rozprawy orężnej. Przyjazny stosunek z sąsiadami, wymiana dóbr duchowych i materjalnych, ale nie współżycie na jednem terytorjum — to będzie naszą zasadą wytyczną.

»Dalsze przeobrażenia, jakie zajdą w politycznem ukształtowaniu świata, wymagać nie będą naszego czynnego wystąpienia, bo nastąpią one same przez się. Skoro wytrącimy naszym głównym wrogom broń z ręki, z której pomocą trzymają pół świata w zależności i lennictwie, wówczas nastanie

dopiero rzeczywista wolność ludów. We wszy
stkich częściach świata kolonje i państwa, po
protektoratem będące, zamienią się w woln
kraje. My zaś, moi panowie, będziemy mieli t
wzniosłą świadomość, że jest to naszem dziełem.

»Powrót Niemiec w grono rady narodów
potęga Niemiec — znaczy tyle co kres wszela
kiego ucisku i wyzysku.«[1])

Pod koniec przemówienia generał pod
niósł głos z wzrastającem przejęciem.

Po krótkiej pauzie ciągnął:

»W najbliższych dniach zajdą decydując
zdarzenia. Wiadomo panom, że Francja i An
glja bynajmniej nie zabierają się do ewaku
acji Nadrenji, aczkolwiek przewidziane Trak
tatem Wersalskim lat piętnaście minęło już
Nasz rząd nareszcie zerwał się do czynu i za
żądał niedwuznacznej deklaracji w tej spra
wie. Odpowiedź może nadejść lada dzień
a jaką będzie — niema wątpliwości. Ow

[1]) Słowa te owego »generała« są charakterystycznym wyrazem dawnej a snać niewykorzenionej utopji, z megalomanj i samoadoracji niemieckiej, wypływającej, a skrystalizowane w znanem zdaniu: »Am deutschen Wesen wird die Wel genesen« (pod wpływem niemczyzny uzdrowieje świat). Dotą zawsze potęga Niemiec niosła ucisk i wyzysk. Niem żadnego argumentu, który przemawiałby za tem, że p odwecie Niemiec byłoby inaczej. Przeciwnie, wszystko c »generał« mówi wyżej, dowodzi, że Niemcy trzymałyby świa w żelaznych kleszczach zawisłości i niewoli, pod grozą »nowych promieni i nowych gazów trujących. (Przyp. tłumacza.)

pionierzy sprawiedliwości mają zawsze pretekst pod ręką. Z powodu nowego pogwałcenia raz jeszcze rozgorzeje oburzenie we wszystkich sercach niemieckich, i to wykrzystamy. Oburzenie to będzie bodźcem w czekających nas bojach.

»Moi panowie, dziękuję wam za waszą współpracę nad wielkiem dziełem. Otrzymacie, panowie, teraz specjalne poruczenia. A gdy wybije godzina walki, idźcie z Bogiem »fuer Kaiser und fuer's Reich«.

Jak gdyby oczekując na te słowa, wszyscy nagle wybuchli po chwili zupełnego milczenia radosnemi okrzykami i oklaskami. A po zwykle kamiennych rysach generała przesunął się lekki uśmiech.

Nakazał milczenie ruchem ręki i raz jeszcze począł:

»Tak jest, panowie, także »fuer Kaiser«... Nie chciałbym wszakże być źle zrozumianym. Od lat 15-tu mamy demokrację, samookreślenie ludu. Według mego zdania nigdy już nie wyzbędziemy się tego. Stało się na wieczyste czasy niemożliwością, aby w Niemczech mógł utrzymać się dłuższy czas rząd, który nie opierałby się na wyraźnej woli większości. Odpychamy przeto myśl narzucenia ludowi monarchicznej formy rządu, i upraszam panów, abyście pod tym względem zaniechali wszelkiej propagandy.

»Atoli mam to przekonanie, że lud sam z własnego popędu zażąda cesarza, a w tym razie my chyba nie będziemy należeli do tych, coby się temu sprzeciwiali. Gdyby kto z panów miał pod tym względem wątpliwości, to.. trudno. Dawne pokolenie zeszło do grobu. Młodzi zaś wyrośli i dojrzeli w twardej szkole, którą przeszedł każdy Niemiec. Możecie przeto patrzeć w przyszłość z ufnością. Ale długo jeszcze będzie naród niemiecki mówił o »bezcesarskich, strasznych czasach«.

To rzekłszy generał się skłonił z podziękowaniem. Powitał jeszcze kilku starych znajomych, których ujrzał w pobliżu, i potem szybko znikł w ubocznych drzwiach, przez które wchodził. Obecność jego w klubie powinna była trwać jak najkrócej.

Zaczem zawezwano obecnych, stosownie do otrzymanych numerów i liter, do różnych pokojów, gdzie członkowie ścisłego sztabu uwiadomili ich, jakie mają pełnić funkcje.

Gdy rotmistrz wyszedł, zastał już czekającego nań Sollinga w przedpokoju.

W milczeniu ruszyli ku domowi przez Tiergarten, obleczony w kiry nocy.

V.

BŁYSKAWICE.

Następnego wieczora dwaj przyjaciele byli w kawiarni Bauera pod Lipami.

Siedzieli tam przy stoliku już od kilku godzin, jakby oczekując na coś czy na kogoś, i nie zabierali się do odejścia, chociaż było już późno, a ostatnie dni upłynęły im wśród gorliwych i mozolnych zajęć.

Zrazu zaciekawiał ich nastrój gości kawiarnianych. Powszechnym tematem rozmów była francusko-angielska odpowiedź, opublikowana w gazetach porannych, która oczywiście oznajmiała, że Nadrenja pozostanie nadal pod okupacją. Jako przyczynę tego podawano niewykonanie pewnych zobowiązań pieniężnych ze strony Niemiec, oraz życzenia ludności. Dowodów na to nastręczyło kilka przekupionych gazet i kilka również przekupionych osobistości.

Wogóle wśród gości kawiarni panowało przygnębienie. Ten i ów odzywał się z oburzeniem, inni odpowiadali obojętnością i wzruszeniem ramion. Bo każdy mógł był tego się spodziewać, i przyzwyczajono się już do takiego postępowania względem Niemiec.

— Zdaje mi się — zauważył rotmistrz — że ludzie mogliby sobie więcej to brać do serca.

— Poczekaj! — odparł Solling. — Przeobrażenie będzie tem większe.

Obadwaj zatopili się znów w gazetach, lecz Seelow wkrótce odłożył dziennik.

— Od wczoraj zaledwie słów kilka mogłem z tobą zamienić. A nasunęło mi się jeszcze

kilka kwestyj z powodu wywodów generała. Mówił on, że należy dążyć do tego, by posiadać w granicach państwa jednolitą, czysto niemiecką ludność. Byłoby to bez wątpienia rzeczą bardzo piękną, ale zważywszy stan rzeczy w naszych prowincjach pogranicznych, nie pojmuję, jak dałoby się to uskutecznić bez stosowania bardzo gwałtownych środków przymusowych.

— To oczywiście nie da się uskutecznić na krótkiem toporzysku. Ale celowe ustawodawstwo, dotyczące obcokrajowców, wiele w ciągulat albo dziesiątków lat w tej sprawie zrobić zdoła. W pierwszym rzędzie trzeba bezwzględnego zakazu osadniczego dla cudzoziemców krwi nieniemieckiej, następnie ułatwienia emigracji żywiołów nieniemieckich i imigracji Niemców. Nie uważam także za rzecz niemożliwą zawarcia z różnymi naszymi sąsiadami układów, dotyczących wymiany ludności. Naprzykład w prowincjach nadbałtyckich, w Rosji i w Polsce mieszka wielu Niemców, którzy równie dobrze mogliby tutaj pracować zawodowo i niczego lepszego sobie nie życzą, i naodwrót. Dlaczego zatem nie mielibyśmy doprowadzić poniekąd do wymiany ludności przez zobopólne biura stręczeń i tym podobne środki.

Zresztą pozbędziemy się niepożądanych żywiołów bez wielkich wyrzutów su-

mienia. Jeżeli sobie uprzytomnisz, ile nacierpiała się niemiecka ludność w naszych prowincjach pogranicznych, to okaże się to prostym nakazem sprawiedliwości. Ostatecznie i pod tym względem skorzystaliśmy od naszych drugich sąsiadów i nie pójdziemy śladami naszej dobrotliwości i głupoty z roku 1870. Wówczas nikomu w Alzacji i Lotaryngji nie spadł włos z głowy; każdy mógł zostać Niemcem lub pozostać Francuzem, mógł wyemigrować lub też nie opuszczać kraju, jak sobie życzył, nie ponosił zaś szwanku pod względem majątkowym. Natomiast panowie Francuzi wyrzucili wszystkich sobie niedogodnych po wojnie światowej bez ceremonji, bez względu na to, czy byli to ludzie zdawna osiadli czy imigranci, i obkładali sekwestrem wszystko, niekiedy nawet sprzęty domowe. Posiadam z tych czasów jeszcze kilka francuskich pocztówek, obrazujących sceny wydalenia z napisem: »Chacun chez soi.« No, pięknie — chacun chez soi — tego będziemy się teraz także trzymali. Dlaczego mielibyśmy być lepszymi od innych? Wyrzekliśmy się tej ambicji, przekazanej nam przez dawniejsze czasy. Nawiasem mówiąc, ambicji, w której tkwi jeden z głównych powodów naszej powszechnej niepopularności. Mimo to zawsze jeszcze jesteśmy trochę lepsi. Naturalnie ru-

chomą swą własność może każdy ze sobą zabrać. W tej małostkowej zaciętości nie będziemy Francuzów naśladowali.

Solling nie skończył jeszcze mówić, gdy z ulicy doleciały ich zbliżające się wzburzone głosy. Wkrótce zalecano przechodzącym specjalne wydanie »Lokal Anzeiger'a« i można było rozróżnić takie okrzyki jak: »Nieszczęście w Kilonji«, »zatopienie angielskich pancerników«.

Przyjaciele spojrzeli na siebie znacząco. Wszyscy w kawiarni zwrócili uwagę na owe głosy i oczekiwali w napięciu. Kilka osób wybiegło, inni weszli do kawiarni, rozprawiając i gestykulując w uniesieniu. Tylko ci, co stali z przodu, rozumieli o co chodzi. Wreszcie wpadł ktoś, wywijając w powietrzu dodatkiem gazety. Z różnych stron krzyknięto: »odczytać!«, a on wskoczył na stół i począł:

»Kilonja d. 27 marca 6-ta godzina wieczorem. Dzisiaj po południu o godz. 3 m. 30 wielkie eksplozje w porcie. W krótkich odstępach wyleciały kolejno wszystkie na kotwicy leżące angielskie i francuskie okręty wojenne, nadto dwa torpedowce: polski i niemiecki. Trzy eskadry angielskie i jedna francuska są zniszczone: na to niema dotąd żadnego wytłumaczenia.«

Powszechne zdumienie, jakie ogarnęło w tej chwili wszystkich, ustąpiło wnet nad-

zwyczajnemu podnieceniu. Wszyscy poczęli mówić i śmiać się jednocześnie i wymieniali przypuszczenia, a na obliczach ich malowała się nadzwyczajna radość.

Solling i Seelow, zapłaciwszy pośpiesznie, przecisnęli się przez ciżbę i doszli do wyjścia. Wychodząc, spostrzegli jeszcze, jak mężczyzna jakiś wskoczył na stół i począł mówić. Ścigały ich jeszcze na ulicę gromkie okrzyki, jakie słowa jego wywoływały. Major ścisną rękę przyjaciela.

— Bogu dzięki, początek dobry. Wszystko poszło dobrze. Czy jesteś zadowolony z nastroju?

— Z pewnością — odparł Seelow — a patrzno na te wszystkie promieniejące oblicza na ulicy. Zdaje mi się nawet, że tam dalej dwie osoby tańczą z radości.

— Tak jest rzeczywiście, a przytem ludzie nie wiedzą jeszcze wcale, o co właściwie chodzi. Ale właśnie to podniecenie jest odpowiedniem przygotowaniem ludzi na jutro. Całe Niemcy rozbudzono z uśpienia. Teraz potrzeba tylko rzucić w nie hasło.

— Cudownie — rzekł Seelow. — Cieszę się jak dziecko na to, że będę mógł widzieć na własne oczy, jak z tego tłumu przygnębionych lub obojętnych osobników powstaną znów ludzie pełni radości i nadziei w oczach i w sercach. A może najwięcej cieszę się

z tego, że nasz stary feldmarszałek tego doczekał. Ale, słuchajno — dorzucił — przecież także jeden z naszych torpedowców poszedł na dno. Byłaby to wielka szkoda. Czy to nie fałszywa wiadomość.

— Nie, może tak się stało w istocie — odpowiedział Solling. — Z takiemi stratami musimy ewentualnie liczyć się w pierwszych chwilach, gdyż promienie nie robią różnicy między naszemi a nieprzyjacielskiemi materjałami wybuchowemi. Zapewne nasza łódź torpedowa znalazła się w obrębie, gdzie działała wiązka promieni. Mam wszakże przekonanie, że tylko niewielu ludzi było na pokładzie, albo nikt. Bo prawie na każdym statku mamy ludzi zaufanych, którzy niezawodnie czuwali. Skoro tylko będziemy mogli podnieść przyłbicę, znikną u nas wszelkie materjały wybuchowe i wraz z tem niebezpieczeństwo nowej katastrofy. W tej chwili było to niemożliwością. I tak jeszcze jutro spodziewać się trzeba takich nieszczęść.

— Jak wogóle rozwijać się będą sprawy na morzu? O tem nie mówiliśmy jeszcze — ozwał się Seelow.

— O wojnie na morzu jestem poinformowany tylko powierzchownie — odparł Solling. — Wszystkie własne nasze porty możemy z lądu naturalnie oczyścić bez trudu. Skoro potem będziemy mogli rozporządzać

kilku naszemi staremi łodziami, zaopatrzymy je w wielkie aparaty z promieniami i wyślemy. Zwłaszcza torpedowce. Będzie to dla nich bagatelą rozbić każdy pancernik nieprzyjacielski, jaki napotkają, i tak oczyścić morze. Niezawodnie będziemy następnie starali się także o wysadzenie w powietrze nieprzyjacielskich fortów pobrzeżnych, o zaatakowanie marynarki nieprzyjacielskiej w jej własnych portach i o zniszczenie jej.

Jednakowoż nie jest wykluczonem, że wrogowie nasi nie dopuszczą, aby rzeczy doszły tak daleko. Jeżeli szybko się zorjentują, usuną jak najpośpieszniej wszelką amunicję z okrętów i będą starali się, dzięki swej przewadze liczebnej, wielkości i szybkości swych statków, zatopić nasze łodzie z pomocą kafarów. Ale przytem bodaj przerachują się, gdyż na morzu położenie nasze będzie korzystniejsze aniżeli na lądzie. Jak już mówiłem, w wojnie lądowej muszą i u nas zniknąć wszelkie materjały wybuchowe natychmiast. Zważywszy na to, że teren nie da się ogarnąć okiem i przedmioty, do których celujemy, zmieniają się, nie możnaby uniknąć tego, by niekiedy oddziały nasze nie dostawały się w promienie i nie ponosiły szwanku. Na morzu zaś rzeczy przedstawiają się inaczej. Moglibyśmy wprawdzie pozostawić działa i amunicję na naszych okrętach, ale tylko o ile

będą one tak umieszczone, że nie dosięgną ich promienie naszych aparatów. Trzeba także przypuszczać, że tyle wykażemy uwagi i ostrożności, by nie oświetlać promieniami sąsiednich okrętów. Będziemy przeto mogli zawsze jeszcze strzelać na morzu, a tymczasem nieprzyjaciel nie będzie mógł. A gdyby wreszcie wszystko to nie miało wystarczać, pozostanie nam zawsze jeszcze nasz »trzeci środek«, który podobno nadaje się doskonale do użytku z latawców przeciwko wielkim miastom i t. p. Nie zachodzą zatem żadne obawy co się tyczy wojny morskiej.

— Rozumiem — rzekł rotmistrz — ale mam jeszcze jedno pytanie w kwestji, jakiej nie poruszyliśmy dotąd. Jak mają się sprawy ułożyć w naszej polityce wewnętrznej?

— O tem mogę cię poinformować także tylko ogólnikowo — odparł Solling — bo leży to za daleko od mej sfery pracy. Ale spotkałem się niedawno z pewnym członkiem naszego oddziału urzędniczego i dowiedziałem się o kilku ważnych punktach wytycznych.

Demokracja i parlamentaryzm pozostaną zapewne w formie umiarkowanej nadal w sile. Bo pomimo niewątpliwych stron ujemnych nie wynaleziono jeszcze nic lepszego, co zapewniałoby trwałe istnienie państwowości. Zresztą wadliwości takiego ustroju mniej dadzą się odczuwać przy większej jed-

nolitości narodu. O ile możności jak najprędzej rozpiszemy nowe wybory, w których podwyższymy znacznie wiek, upoważniający do prawa głosowania. O tem bowiem, jak ma w państwie wyglądać, powinni stanowić ludzie rozważni i dojrzali. Nie może sobie też żadne stronnictwo wystawić większego świadectwa ubóstwa, jak przez dążność do obniżenia wieku, nadającego prawo do głosowania. Nie jest to niczem innem jak przyznaniem, że dorośli, rozważni ludzie nie piszą się na jego politykę, więc potrzebuje ono niedorostków i niedoświadczonych.

Co potem nastąpi, tego nie można przepowiedzieć szczegółowo; zależeć to będzie od nowego parlamentu, a głównie od kwestji: monarchja czy republika. W tej sprawie trzeba będzie zapewne przedsięwziąć głosowanie ludowe. Jeżeli naród wypowie się za monarchją, o czem nie wątpię, to monarchja ta będzie tak demokratyczną jak republika. Bądź jak bądź monarchja będzie miała formy demokratyczne, zapewne podobnie jak w Anglji.

Wówczas rząd uczyni wszystko możliwe, by wdrożyć całe nasze ustawodawstwo jeszcze mocniej na szlak, jakim szło ono samo przez się ostatniemi czasy. Coraz dalej wcielające się w życie liberalne zasady wielkiej rewolucji francuskiej dopro-

wadziły do tego, że całe państwo przystosowało swą organizcję do zapewnienia opieki i dobrobytu poślednim jednostkom w społeczeństwie, poślednim pod względem fizycznym, duchowym, moralnym i wszelakim innym. I tak nasz kodeks karny stał się ostatecznie prawie tylko zespołem praw ochronnych dla panów przestępców i wszelakich nicponiów. Uczciwy, pracowity Niemiec, okradany i oszukiwany, musiał sam sobie radzić. Humanitarni wobec słabych i chorych osobników nie zorjentowali się wcale, jak niehumanitarnie postępowano przy tem przeciwko zdrowym i dzielnym i jak pozostawiano ich bez ochrony.

Jacy to ludzie pchnęli nasze ustawodawstwo z całą świadomością na te tory, nie potrzebuję ci tego mówić. Osobnik szczególnie uzdolniony wszędzie zresztą pokonywa przeciwności, ale szerokie masy narodu składają się ostatecznie tylko z prostaczych, uczciwych, pracowitych jednostek, które w tych warunkach cierpiały i ponosiły ciężary, utrudniające im istnienie na rzecz tych innych. Z tego oczywiście wyłaniało się ogólne niezadowolenie z państwa, chociaż większość nie znała przyczyn zła. A zatem główną troską i zadaniem będzie w tej t. z. humanitarności znaleźć właściwą miarę i postarać się o to, aby przeciętny, normalny członek społeczeństwa miał znośne warunki bytowania.

Ale otóż zbliżamy się do domu. Zapewne pójdziemy wkrótce na spoczynek, bo jutro czeka nas zaprawdę niemało do roboty. A więc dobranoc. Jutro — na złamanie karku!

— Tak jest — bąknął rotmistrz. — Dobranoc.

VI.

BURZA SIĘ ZRYWA.

Nazajutrz, gdy Seelow wczesnym rankiem wyszedł na ulicę, na wszystkich narożnikach widniały wielkie plakaty, wzywające na wiece protestacyjne z powodu tego, że mocarstwa nie chciały znieść okupacji Nadrenji. Największe zebrania miały się odbyć w cyrku Buscha i hali wystawowej ogrodu Zoologicznego. W niejasnych zwrotach zapowiadano jakieś wielkie wypadki i łącznie z tem wskazywano na zatopienie nieprzyjacielskich okrętów w Kilonji. Pomimo że godzina była wczesna, już mnóstwo ludzi stało przed plakatami i dyskutowało żywo.

W pobliżu dworca przy ulicy Fryderykowskiej rotmistrz spotkał kilku panów, którzy snać dopiero co przybyli, jak wnosić było można z tego, że każdy z nich miał w ręku torbę podróżną. Powitawszy się lakonicznie, skierowali się na »Schlütersteg«. Kilku innych poprzedziło ich już, zwróciwszy się na most Weidendamm.

Tymczasem Seelow miał stanąć na czele »komendy Karlstrasse«, a zadaniem jego było unieszkodliwić bataljon francuskiej straży przy ambasadzie, który zajmował koszary dawnego drugiego pułku piechoty gwardyjskiej.

Poszczególne role były już rozdzielone.

Otoczenie koszar i wyjścia z Karlstrasse na ulice Luizy i Albrechta były obsadzone posterunkami z promieniami. Umieszczono je w pokojach na ten cel wynajętych, w oknach piwnic oraz w poszczególnych sklepach, których właściciele byli wtajemniczeni. Ustawiono tam owe torby ręczne w ten sposób, że można było z nich rozsiewać promienie na całą ulicę jak najdalej.

Rotmistrz odwiedził wszystkie swe posterunki, wydał ostatnie rozporządzenia i następnie udał się na swój punkt obserwacyjny i bojowy, do pokoju położonego na drugiem piętrze kamienicy, naprzeciwko wejścia do koszar.

Można było stamtąd doskonale ogarnąć wzrokiem dziedziniec koszarowy i gmach, a mianowicie ubikacje, gdzie znajdowały się naboje załogi. Przyboczny sztab rotmistrza składał się z dwóch ludzi, mających torby ręczne, i dwóch innych, na kurjerów wyznaczonych.

Zrazu w koszarach nie było można dostrzec nic nadzwyczajnego. Ponieważ wiece

w zamkniętych lokalach były dozwolone, Francuzi nie mieli tymczasowo żadnego powodu do wystąpienia na ulice, czego można było oczekiwać dopiero wtedy, gdy rzesze wiecujących wyjdą na miasto. Mogło to zaś nastąpić dopiero około jedenastej z południa do tej chwili przeto trzeba było uzbroić się w cierpliwość.

Seelow raz jeszcze uprzytomnił sobie wypadki dnia poprzedniego i frunął myślami do domu, do Woltersdorfu i Bornhagen. Wysłał był już przedtem depeszę po swego wierzchowca i ordynansa, bo był wyznaczony na dowódcę pułku jazdy berlińskiej reichswehry i cieszył się na spotkanie z nieprzyjacielem.

Według zapewnień Sollinga szeregowcy, podoficerowie i większość młodych oficerów byli owiani duchem narodowym i z pewnością przyłączą się entuzjastycznie do ruchu powstańczego. Jedynie na wyższych stanowiskach były wszędzie figury rządu t. j. zagranicy. Dopiero po usunięciu tychże można było liczyć na pomoc pułku.

Następnie Seelow uprzytomnił sobie panią Irmgard i list, jaki od niej otrzymał dnia poprzedniego. Zapowiadała w nim swój przyjazd do Berlina, pisząc, że musi dowiedzieć się, co się dzieje, bo w niepewności na ustroniu wyżyć nie może. Już dnia tego mogła przybyć.

Posłaniec na rowerze przeciął pasmo myśli rotmistrza, siedzącego przy oknie. Na widok jego spojrzał szybko na zegarek. Wskazywał $10^1/_2$. Wszystko poszło prędko.

Posłaniec wszedł do pokoju i począł opowiadać o przebiegu zebrania w cyrku Buscha gdzie mówca wiecowy wzywał do powstania i zrzucenia jarzma. Gdy zapewnił słuchaczów, że wynaleziono środki odpowiednie do tego i drogi, podziałało to jak prąd galwaniczny, i powstał entuzjazm nie do opisania. Wzniesiono ramiona do przysięgi na wierność ojczyźnie.

Na to oficer reichswehry, nadzorujący wiec, chciał wkroczyć, lecz natychmiast otoczyło go kilku panów, którzy wyjaśnili mu położenie i zachęcali do współdziałania. Wahając się, zaniechał dalszych kroków; wobec zwartej woli zebrania byłby zresztą bezsilny.

Tylko 10 minut trwała mowa i zakończyła się wezwaniem do gremjalnego pochodu przed pomnik Bismarka. Z mówcą na czele pochód ruszył wkrótce do Lustgartenu, a z prawej i lewej jego strony towarzyszyli mu nieznacznie panowie z torbami ręcznemi, którzy, zdawać się mogło, przybyli dopiero co z dworca »Giełda«. Bezczynnie przyglądali się temu policjanci i posterunki reichswehry, i jakby ogarnięci ogólnem

podniesieniem ducha, zapomnieli o przepisach odnoszących się do publicznych pochodów.

Inaczej wszakże zachował się główny, przez Francuzów stale obsadzony odwach. Snać otrzymał on przez tajnych ajentów wiadomość o tem co zaszło, gdyż w chwili gdy pochód wkraczał na plac Zamkowy, ujrzano już na moście Zamkowym łańcuch francuskich posterunków z wymierzonemi karabinami.

Na czele idący ludzie zachwiali się, lecz przewódca wezwał ich, by spokojnie szli dalej, a jednocześnie dał znak na uboczu idącym w sposób niepodpadający. »Podróżni« chwycili za swe »torby« — i raptem nastąpiła na moście żywa strzelanina karabinów.

Część żołnierzy francuskich padła ugodzona, reszta w przerażeniu wypuściła broń i dymiące ładownice, i odbiegła, rany swe dłońmi zakrywając.

Odpowiedzią na to było grzmiące »hurra!«, i pochód coraz tłumniejszy walił się naprzód bez przerwy.

Do tego momentu obserwował wypadki posłaniec, zaczem szybko odjechał, by poinformować o tem rotmistrza.

Wtem dał się słyszeć sygnał trąbki z koszar i powołał rotmistrza do okna.

Naprzeciwko zaalarmowano koszary. Załoga pośpiesznie pobiegła do izb, by przygotować się do marszu, i wnet pojawiły się na dziedzińcu pierwsze zastępy. Potem cztery kompanje stanęły w szyku jedna za drugą i wysłały ludzi po ostre naboje. A jeden po drugim schodzili się też oficerowie z miasta.

Skoro pierwsze dwie kompanje były gotowe, wyruszyły z dziedzińca, i czołowe szeregi zwróciły się w stronę ulicy Luizy.

— Tak jest — bąknął do siebie Seelow — idą do Tiergartenu.

Tymczasem wśród trzeciej kompanji poczynano właśnie rozdzielać naboje, a czwarta kompanja była jeszcze przy skrzyniach z nabojami.

— Stacja 1-a kieruje promienie na kompanję trzecią, stacja 2-a najpierw na skrzynie z nabojami, następnie na odwach. Gotów! — zarządził Seelow i śledził bacznie wzrokiem dwie oddalające się kompanje. A gdy czołowe ich szeregi były jeszcze około 100 metrów oddalone od ulicy Luizy, zakomenderował: »Ognia!!«

Podniosły się przysłony u obu przedtem dobrze ustawionych torb ręcznych, i w tej samej chwili powstał z drugiej strony ulicy ogłuszający, szybki grzmot strzałów, poczem nastąpiło kilka silnych wybuchów, a jakby

echo ozwała się od ulicy Luizy szybka strzelanina. Dziedziniec koszarowy i ulica zamieniły się w pobojowisko i powstał obraz niepodobnego do opisania zamętu. Więcej niż połowa Francuzów rannych spoczywała na ziemi. Szczególnie strasznym był skutek promieni w pobliżu eksplodującego składu nabojów. Najszczęśliwiej wyszła część czwartej kompanji, która trzymała się na uboczu, ale i tam większość odniosła lekkie rany.

Bez ducha i bez rady spozierali na siebie ci, co stali jeszcze na nogach. Dopiero po chwili przyszli do zmysłów i poczęli zajmować się rannymi. Kilku uciekło z ulicy do koszar, inni zbierali swe w strachu porzucone karabiny. A nowy postrach rzuciły nagłe eksplozje w izbie odwachu.

— A teraz trzeba systematycznie obrzucić promieniami całe koszary — rozkazał Seelow i dodał: — Ja muszę biec na dół.

Gdy wyszedł na ulicę, słychać było już hałas bojowy od strony ulicy Luizy, gdyż tam kilku ludzi zawezwało szybko gromadzący się tłum do odebrania poległym Francuzom broni oraz do zaatakowania reszty i wzięcia ich do niewoli.

W pierwszej chwili Francuzi, przeważnie ranni, nie stawiali oporu, ale wkrótce wystąpili do boju, i rozpoczęła się regularna walka

na bagnety. A że tłum zwiększał się, więc powoli odpierano Francuzów.

Nadbiegło wielu ludzi z ulicy Albrechta i garść demonstrantów, około 50-ciu, z cyrku Buscha. Objaśnieni przez kilku w spisek wtajemniczonych przybiegli tutaj, po drodze uzbroiwszy się w drągi i nahajki i co tylko wpadło im w ręce.

Seelow objął nad nimi dowództwo.

Trzeba było odciąć drogę powrotną do koszar tym Francuzom, którzy znajdowali się na ulicy, oraz zaprzeć wyjście tym, którzy zostali byli w koszarach. Ale to już się nie udało. Ukazała się bowiem w wyjściu załoga koszar z bagnetami.

Seelow wydał rozkaz do ataku, i wkrótce wywiązała się wściekła walka. Z dzikim zapałem rzucili się berlińczycy na Francuzów, którzy jednak lepiej byli uzbrojeni i lepiej wyćwiczeni w walce na bagnety. Zresztą czuli, iż nie mogą oczekiwać litości od tak długo z pogardą traktowanej i udręczonej ludności. Powoli odpierali napastników.

Rotmistrz utworzył sobie wnet z pośród najlepiej uzbrojonych coś w rodzaju oddziału bojowego i czyhał na pomyślną sposobność do ataku. Aż ujrzał, jak pewien francuski podoficer tłumaczył coś komenderującemu oficerowi, przyczem wskazywał ręką w górę, w kierunku okien, gdzie stały aparaty z pro-

mieniami. Oficer kiwnął na to głową, i wnet skoczyła garść Francuzów z podoficerem na czele ku drzwiom przeciwległej kamienicy. Temu trzeba było przeszkodzić za wszelką cenę.

— Za mną! — krzyknął Seelow do swych ludzi i wielkiemi skokami rzucił się przeciwko Francuzom.

Odbił swą ciężką laską najbliższy bagnet i uderzył dowodzącego podoficera przez głowę. A towarzysze jego natarli mężnie z jednej i drugiej strony.

Odparto Francuzów ostatecznie od ulicy Luizy.

Ale rotmistrz spoczywał na ziemi, wielkiem uderzeniem bagnetu w pierś powalony — leżał bez zmysłów.

VII.

SPEŁNIENIE.

Gdy rotmistrz po raz pierwszy otworzył oczy, zrozumiał, że spoczywa w łóżku w całkiem nieznanem otoczeniu. Wzrok jego ślizgał się powoli dookoła, z jednego przedmiotu na drugi. Widocznie był w lazarecie, ale jakim sposobem? Chciał unieść się, lecz uczuł dojmujący ból w piersi i padł na poduszkę z cichym jękiem.

Na to zjawiła się przy jego boku pielęgniarka.

— Nic nie trzeba mówić, rotmistrzu! — rzekła. — Bezwarunkowo milczeć! Spoczywać bez ruchu, jak najspokojniej i, jeśli można, usnąć.

Zamknął oczy posłusznie. Próbował uprzytomnić sobie co zaszło, ale nie udawało mu się to. Miał wrażenie, jakby w mózgu była pustka, i rzeczywiście wkrótce zasnął.

Gdy znów się ocknął, ujrzał się w tem samem otoczeniu i, poruszywszy się, zwabił do siebie przez to siostrę pielęgnującą rannych.

— Oh! Już rozbudzony! — ozwała się do niego. — Zachowywał się pan rotmistrz dobrze, bo spał przez całe 24 godzin prawie. I miewa się pan lepiej. Ale mówić i ruszać się nie wolno jeszcze wcale. Jedynie wolno słuchać, co panu opowiadają, i to nie dłużej niż pół godzinki. Przyślę panu kogoś, co pragnąłby go zabawiać — pewną panią, dobrą przyjaciółkę. Lecz nie wolno się wcale radować z tego, gdy się ona pokaże. To mogłoby zaszkodzić.

»Przyjaciółka? — myślał sobie Seelow. — Nie może to być nikt inny jak tylko pani Irmgard.«

Istotnie nie upłynęło więcej niż kilka minut, a już stała ona przy jego łożu, i ściskając lekko jego dłoń, spozierała z przyjaznym uśmiechem w jego oczy.

— Cóż to za historja?! Przybywam do Berlina, chcąc zobaczyć, co się dzieje,

a pan każe mi zamieniać się w pielęgniarkę! Lecz... mówiąc serjo, cieszę się niezmiernie, że przyjechałam w odpowiednim momencie, aby panu trochę pomóc. Dostało się panu okropne pchnięcie bagnetem przy ulicy Karola. Czy pan pamięta, co się tam zdarzyło?

On kiwnął głową słabo.

— Przez dwa dni prawie spoczywał pan bez przytomności, straciwszy wiele krwi. Ale może pan bez troski patrzeć w jutro; przychodzi pan już do siebie. A teraz pragnie pan dowiedzieć się, co tam się stało? Mamże opowiadać?

Seelow znów dał znak potwierdzający, a ona poczęła:

— Dobrze, wszystko dobrze. Pańscy Francuzi z ulicy Karola wnet się poddali, widząc, jak bezskutecznym jest ich opór przeciwko coraz więcej wzmagającym się tłumom. Podobnie zaś miały się rzeczy przy wszystkich innych koszarach.

W tym czasie zgromadziły się wielotysięczne masy dookoła pomnika Bismarka. Z pochodem od strony cyrku Buscha połączył się tłum z ogrodu Zoologicznego i jeszcze inne zastępy. Więc wypędzono zewsząd francuskie posterunki i patrole tak jak z mostu Zamkowego, chociaż reichswehra trwała w stanowisku wyczekującem.

Nagle pojawił się przed pomnikiem generał i wygłosił przemówienie natchnione, utwierdzając ludzi w mniemaniu, że wszystko było przygotowane i wybiła godzina odwetu i wyzwolenia. Żądał ustąpienia rządu i powszechnego powstania ludu, i usunął wszelkie wątpliwości, wskazując na dokonany już pogrom francuskiej załogi w Berlinie. Skończywszy, ruszył na czele tłumów do parlamentu.

Nie przybył tam niespodzianie. Posłowie, w spisek wtajemniczeni, objaśnili natychmiast innych, i prezydjum parlamentu oczekiwało generała na schodach, by wprowadzić go w triumfie do sali posiedzeń. Odbyło się tam krótkie a podniosłe posiedzenie, a fala uczuć patrjotycznych spiętrzyła się jeszcze wyżej aniżeli naonczas, dnia 4 sierpnia 1914. Na posiedzeniu tem prezydent złożył urząd, i wśród jednomyślnych okrzyków obrano w jego miejsce generała, wyposażając go nieograniczoną władzą i upoważniając do podjęcia wszystkich środków koniecznych do oswobodzenia ojczyzny. Członkowie dotychczasowego rządu znikli gdzieś chyłkiem.

Czy pan rotmistrz zadowolony z takiego przebiegu wypadków? — spytała wreszcie pani Irmgard i dorzuciła: — Na dziś jeszcze dodam, że ogólne powstanie i mobilizacja

odbywają się wśród ogromnego entuzjazmu w całym kraju i postępują naprzód bardzo szybko.

A teraz musi pan znów poddać się przepisom lekarskim i spoczywać spokojnie, a nie oddawać się medytacjom ani radości. Powrócę jutro i przyniosę dalszy ciąg opowieści. Dowidzenia, rotmistrzu! —

Musnęła dłonią jego czoło, rzuciła mu uśmiech, i rotmitrz pozostał znów sam.

Tym razem nie usnął tak szybko; ilustrował wszystko, co słyszał, myślami i uwiązł niemi przy swym pułku jazdy, który zapewne był już w drodze nad Ren, a którym on nie mógł dowodzić.

Gdy nazajutrz pani Irmgard weszła do pokoju chorego, zauważyła, że poczynił znaczne postępy na drodze do zdrowia. Siedział już w łóżku oparty o poduszkę i powitał ją z uśmiechem, w oczekiwaniu dalszych wiadomości.

— Ah, jak dobrze, że pan tak już przyszedł do siebie! — rzekła pani Irmgard na wstępie. — Mam dzisiaj tak cudowne dla pana wiadomości, że w przeciwnym razie lękałabym się wyjawić je, by nie zrobiły na pana zbyt silnego wrażenia. Od dzisiaj bowiem poczynamy znów odbierać raporty codzienne z frontu. Odczytam panu zaraz pierwszy z nich:

»Wielka Kwatera. Kassel, dn. 1 kwietnia 1934.

»Od wczorajszego wieczoru Kolonja jest znów w naszym ręku. Wczoraj w południe oddziały, wysłane tam potajemnie przed kilku dniami, wysadziły w powietrze wszystkie składy amunicji w fortach i koszarach. Ludność, która w wielkim popłochu wybiegła na ulicę, objaśniliśmy natychmiast; przyłączyła się entuzjastycznie do przewódców, poczem wkrótce pokonała resztki załogi nieprzyjacielskiej.

»Jednocześnie ruszyły wojska reichs wehry i pospolite ruszenie z Nadrenji i Westfalji przeciwko kolońskiemu przyczółkowi mostowemu, gdzie po wysadzeniu w powietrze amunicji wkrótce pobito nieprzyjaciela i wzięto po większej części do niewoli.

»W ten sam sposób pierwsze oddziały zmobilizowane zajęły Kehl i strasburski przyczółek mostowy. A przyczółki mostowe w Moguncji i Koblencji nieprzyjaciel sam opuścił dzisiaj rano dobrowolnie.

»Naszej flotyli torpedowców, wysłanej w Kanał, udało się wczoraj zatopić dwa angielskie i trzy francuskie krążowniki, tak iż, jak nam donoszą, Kanał wolny jest od nieprzyjaciela i przystępny dla wielkich statków.

»Mobilizacja postępuje dalej według planu.

»Polacy i Czesi wzmacniają swe wojska pograniczne, lecz dotyczas nie przedsięwzięli żadnych kroków. Wysunęliśmy już przeciwko nim wystarczająco silne wojska, aby odeprzeć ewentualne ataki.

Pierwszy Generalny Kwatermistrz.«

— Więc jest pan chyba ze mnie zadowolony! — rzekła pani Irmgard po przeczytaniu komunikatu i dorzuciła, widząc na twarzy rotmistrza bolesny wyraz: — Albo jeszcze nie? Może niedość szybkiem tempem idą wypadki? Ale nie może pan przecież niecierpliwić się tak bardzo. Wszystko dotychczas szło gładko, jak z płatka.

A gdyby pan widział te tłumy na ulicach! — mówiła po chwili. — Te tłumy rozpromienionych ludzi! Zatarły się wszelkie różnice, nikt nie stroni od nikogo, wszyscy wymieniają najświeższe wiadomości. Dożyliśmy wspaniałego momentu! Zewsząd śmieją się do nas znów nasze dawne, drogie chorągwie i barwy czarno-biało-czerwone. Nie potrzeba było nato nakazu z góry lub uchwały parlamentu. Rozumiało się to samo przez się. Cóż to będzie, jak pan znów u siebie wciągać będzie na drzewce w Woltersdorfie i w Bornhagenie wiernie przechowywane tam stare chorągwie! —

Rotmistrz kiwnął zlekka głową i uścisnął jej rękę z podziękowaniem, wszelako

pani Irmgard była nieco zdumiona, że nie przyjął wiadomości z większą radością. Odeszła do domu w zamyśleniu.

W najbliższych dniach niewiele miała do opowiadania rannemu, bo raporty przyniosły jedynie tę doniosłą wiadomość, że mobilizacja i odmarsz na granice odbywają się prawidłowo. Zresztą donoszono, że pancernik angielski zatonął, i odtąd wody morskie są oczyszczone z nieprzyjacielskich okrętów.

Wszystkie państwa nieprzyjacielskie otrzymały zawezwanie, by wysłały delegacje do Berlina, ale nie było można orzec, czy zastosują się do tego.

Stan zdrowia rotmistrza polepszał się widocznie, ale nawet wówczas, gdy pani Irmgard zakomunikowała mu, że będzie mu wolno wkrótce mówić, lubo szeptem tylko, nie ujawniał wewnętrznego zadowolenia, jak można się było tego spodziewać. I z troską zauważyła, jak wszelkie jej usiłowania w celu rozweselenia go tylko chwilowy odnosiły skutek. Ucieszyła się przeto niezmiernie, gdy wreszcie znów mogła przynieść mu ważną wiadomość.

Weszła do pokoju rozpromieniona i, wywijając gazetą, zawołała:

— Panie rotmistrzu! Dzisiaj mam coś szczególnie radosnego! Proszę posłuchać!

»Wielka Główna Kwatera, Kolonja, 5.4.34.

»Jak oczekiwaliśmy, Francuzi i Belgijczycy zrobili próbę z formacjami, szybko ściągniętemi ze strony Akwizgranu, aby przeszkodzić naszej mobilizacji na lewym brzegu Renu i odzyskać Kolonję oraz całą linję Renu. Ale wystąpiliśmy przeciwko nim na wschód od Dueren.

»Zgodnie z dotychczasowemi doświadczeniami uzbroili swą piechotę tylko w białą broń, lecz próbowali zużytkować dalekonośną artylerję. W bardzo krótkim czasie wszakże zniszczyliśmy ją i rzucili niepokój w szeregi nieprzyjacielskie, poczem, lubo liczebnie słabsi, zaatakowaliśmy wroga na całej linji frontu.

»Wojsko reichswehry i nowo utworzone pułki natarły na niego z nieporównanem męstwem, przyczem doskonale pomagały im zgrabnie kierowane zastępy strzelców. I po krótkiej ale nader krwawej walce pierś o pierś odparliśmy nieprzyjaciela na całej linji, biorąc licznych jeńców. Jazda nasza w pościgu dotarła do granicy belgijskiej. W Nadrenji niema już ani jednego nieprzyjaciela.

Pierwszy Generalny Kwatermistrz.«

Bez słowa spozierał rotmistrz przed siebie A pani Irmgard przyglądała się mu z wzrastającem zdumieniem.

— Ależ, rotmistrzu! — zawołała. — Czyż niema powodu do radości? Proszę słuchać:

kraj wolny od wroga! Mam takie wrażenie, jakby teraz dopiero można było oddychać. A pamięta pan — dodała stłumionym głosem — co mówiłam wówczas? Teraz nasi mężowie mogą znowu nosić głowy wysoko, i my wszyscy.

— Tak, wszyscy prócz mnie — szepnął rotmistrz z bolesnym uśmiechem na ustach. — Moja jazda potykała się w bitwie beze mnie i beze mnie wkracza w kraj nieprzyjacielski...

Na to poświata padła na twarz pani Irmgard. Pochyliwszy się nad nim, rzekła zcicha:

— Rotmistrzu, przelewałeś krew za ojczyznę. Więcej nie może nikt uczynić, tutaj czy tam. Mnie to wystarcza...

Spojrzeniem i uściskiem ręki podziękował jej, a ona złożyła pocałunek na jego czole.

SŁOWO KOŃCOWE.

Bezsilni i bezbronni wydani jesteśmy na pastwę naszych wrogów.

Co to znaczy, nie zdają sobie z tego jeszcze sprawy znaczne masy naszego narodu, a jakie będzie to jeszcze miało następstwa, przeczuwa niewielu. Bo czekają nas jak najgorsze czasy.

Kto kocha swój naród, nie może zajmować się niczem innem jak wyszukiwaniem środków i dróg, by wyprowadzić go z pognębienia.

Istnieją może różne drogi; jedną z nich wskazuje ta książka. Która z nich ostatecznie doprowadzi do celu, nikt nie wie, ale trzeba nam wejść na wszystkie te drogi, gdzie uśmiecha się do nas nadzieja. Bezcelowym byłby przeto spór, czy akurat te przypuszczalne wynalazki leżą w granicach możliwości i pożytku. Jeżeli nie, równie dobrze mogą przyjść nam z pomocą inne wynalazki.

Bądź jak bądź wszakże, należy szukać i pracować, i to nietylko każdy zosobna, lecz wszyscy zespolonemi siłami.

Sierpień, 1921.

KONIEC.

TREŚĆ:

Str.

Słowo wstępne do wydania polskiego 1
Przedmowa pułkownika Bauera 9
I. Na wsi 15
II. Klub Niewiniątek 24
III. W Berlinie 42
IV. Cele i nakazy 59
V. Błyskawice 66
VI. Burza się zrywa 77
VII. Spełnienie 85
Słowo końcowe 94

325

OBRONA

ŚWIĘTEJ CZĘSTOCHOWY,

HISTORJA CUDOWNA, A PRAWDZIWA,

O JACKU BRZUCHAŃSKIM,

Organiście częstochowskim,

na cześć i chwałę Boską, a dobrym ludziom na pocieszenie opowiedziana przez

JÓZEFA SZUJSKIEGO.

WARSZAWA.
Spółka Nakładowa Tanich Wydawnictw.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 Іюля 1898 года.

1.

Pan Jacenty Brzuchański, mieszczan w Częstochowie,
W siedemnastego wieku żył drugiej połowie,
Podczas najazdu Szwedów. Był to człowiek stary,
Poczciwy organista od świętej Barbary,
Kościoła, co pod Jasną zbudowan był Górą.
Ale, jak wielu ludzi poczciwych na świecie,
Którzy na chwałę Panu kolędy śpiewali,
Byłby zginął, osłonion niepamięci chmurą,
Gdyby nie ksiądz Kordecki. Jeśliście czytali
Jego Gigantomachją*), łatwo tam znajdziecie
Nazwisko, które autor odgrzebuje ninie
Dla tych, co nie są biegli w dziejach i łacinie,
Czując niemały honor, że im rzecz przełoży,
Którą zostawił w spadku wielki ten mąż Boży.

2.

Owóż Jacek Brzuchański był mieszczanem z rodu,
Na usługach klasztornych wychowan od młodu,
W bojaźni Bożej, w cześci dla niebios Panienki.
Muzyk z dziada, pradziada klasztornej kapeli:
Sześćdziesiątka mu szronem skroń poważną bieli,
Ale krzepki i zdrowy, choć chudy i cienki,
(Jak to często sprzeczności są w rodowych mianach!)
Nikt lepiej w okolicy nie grał na organach,
Nie śpiewał i nie władał każdym instrumentem,
Czy to rzniętym, czy dętym, czy dętym, czy rzniętym.
A gdy w odpust klasztornym przewodził muzykom,
Niby hetman rycerskim dowodzący szykom,
Gdy z chóru na organu uroczyste głosy
Nizał pieśni pobożne: to się pod niebiosy,

Przez kościelne sklepienia głos dobywał wdzięczny
I grzmiał, jakby się z piersi rozchodził tysięcznej,
Że aż człeka myśl w niebo wlatywała śmielej,
Bo wznosiły ją tony, jak rajscy Anieli.
A wymowy miał wiele i bez preparacji
Zawsze gotów był Jacek do każdej oracji,
Na kolędę, mięsopust, czy na alleluja:
A kiedy się w koncepcie i swadzie rozbuja,
To już drugiego w żadnej nie wynaleźć stronie,
Na Rusi, czy na Żmudzi, w Litwie lub Koronie.
Po łacinie, mawiano, umiał z używania
Długiego i kościelne rad wzmacniał śpiewania
Swym głosem, a pobożni łatwo rozpoznali,
Że śpiewał expedyte, jak księża śpiewali.
Wielkie też zachowanie miał Jacek u świata:
Ksiądz przeor go szanował i kochał, jak brata,
Chociaż go wola Boża w niskim stanie trzyma.
Kochali zakonnicy i bracia mieszczanie,
A gdy czas kolędowy przynosiła zima,
A Jacek w okolicę puścił się z opłatkiem:
To szlachta wdzięcznem sercem przyjmie winszowanie,
Ze czcią podejmie starca, hojnym darzy datkiem,
I przychylnemi słowy poufnie odprawi,
A on każdemu progu z serca błogosławi.
A że i Panu Bogu dobrze Jacek służy,
Toć ma i dom zasobny, i dobytek duży,
I ze żoną poczciwą cieszy się w wiek późny.
Już i dziateczki wszystkie opatrzył na świecie:
Jednego w służbę przyjął koronny Obożny,
Drugi już organistą w cudownym klasztorze,
Wyręcza ojca, trzeci na posługi Boże,
Na proboszcza wiejskiego się wydostał przecie;
Tylko córeczka jedna, ulubione dziecię,
Jeszcze kwitnie przy starcu i lata mu słodzi,
I około rodziców opiekunką chodzi.

3.

Aleć kto jeszcze żyje, ten nie wolen troski,
Zadekretował zdawna tak Majestat Boski:

Nie z domu i nie z dzieci, lecz z publicznej sprawy:
Pan Bóg podniósł nad Polskę miecz zniszczenia krwawy
I ziemia w krzyż upadła przed Panem mścicielem,
A każda dusza polska zdarła mir z weselem.
Niedarmo nad stolicą niebieskiej Panienki
Widma straszne, ogniste miotły i szablice
Wznosiły się; niedarmo w wichrów nieba wrzeniu
Dwa wojska napowietrzne toczyły bój dziki:
Za niemi, jako piorun po błyskawic lśnieniu,
Północnego narodu zjawiły się szyki.
Szwedzi! Szwedzi! głos straszny spłynął polskim łanem,
I odtąd groza kary jakoś na świat siadła,
Że nie było wesela we wschodzie różanym,
Na zachodzie się krwawo szyba słońca kładła;
Strach Boży szumiał nocą w dzikim wichrów świście,
Jękiem bólu kwiliły po dąbrowach liście,
Wyły psy, a na piersiach ludzi ciężar siadał,
Że się żaden już więcej spokojnie nie kładał,
Jeno zrywał się ze snu, i oczy zlęknione
Otwarłszy, szeptał cicho: „Pod Twoją obronę“.

4.

Szwedzi! Szwedzi! Głos straszny coraz bliżej leci,
O częstochowskie wieże bije w dźwięk miedziany:
Szlachta z okolic, niby do macierzy dzieci,
Ciągnie w klasztor, pod pieczę Przenajświętszej Panny.
Jadą ładowne wozy, z familją, z dobytkiem,
A z nimi coraz nowe, coraz krwawsze wieści,
Że się klasztor stał wkrótce skarbnicą boleści:
Jako to, że wódz szwedzki z swem rycerstwem brzydkiem
Przyjęt od Wielkopolan i uznan za króla,
Z szlachtą olbrzymim krokiem przez kraj biedny sunie,
A król prawy mu wszędzie ustępuje z pola...
Wężem czerwonym łuna wije się po łunie,
Coraz dalej w głąb kraju, jak żmija, się wżera:
Wzięta Warszawa, Wieluń, Kraków oblężony,
I król podobno ziemie opuścił Korony.
Niema obrońcy: starcem już dzielny Rewera*),
Wojsko odbiegło znaków i łączy się z wrogiem:
Tylko Czarniecki jeszcze bram Krakowa broni,
Ale nie walczyć jemu z zagniewanym Bogiem.

Padł wyrok: Lanckoroński z rozpacznem obliczem
Szwedzkiej uległ potędze w bitwie pod Wojniczem.
A na schyłku już Kraków, stolica Poloni...

5.

W Częstochowskim klasztorze słychać szlachty lament:
Dzień i noc przed obrazem cudownym Maryi
Widać szlachtę w opończach i panów w delii.
Jak się modlą. Pokuty przyjmują Sakrament.
Krzyżem leżą i coraz w obliczu żółcieją.
Ale pośródku poznasz i czoła z nadzieją.
I na kordach oparte dłonie wojownicze:
Pan Zamojski miał oto weselsze oblicze.
Pan Czarniecki i Górski, a Kordecki w chórze,
Wpośród przelękłych mnichów ma pogodne czoło.
Podobne śnieżnej górze, co nad chmury wkoło
Wystercza i nad dolin unosi się cienie.
Jasna, widna, patrząca snać w słońca promienie.
Pan Jacek przy organach, zżółkły, chudy, blady,
Mocno ciśnie klawisze, głos dobywa gromki.
Grozę w czole, a w oku wrzących łez ma ślady:
A gdy zaintonuje jaką pieśń z koronki,
To jakby serca polał słonecznym promieniem.
Tak każda jego nuta kwili pocieszeniem.
A jak wieczorną dobą przy modlitwie nocnej
Zahuczy: „Święty Boże, nieśmiertelny, mocny"!
To się zatrzęsie kościół z odwiecznej posady,
I zda się, że wrastają wysokie arkady
Gdzieś w niebo, pieśnią straszną przebite jak klinem.
Że jawi się Panienka z Ukochanym Synem
I dzierży Go na krzyżu olbrzymich ramionach.
Aż ryk płaczu Mu czoło blade z snu obudzi,
I z krzyża wzniesie ramię, błogosławiąc ludzi.
Co w chwili kary w takich ozwali się tonach.

6.

I coraz jakoś cieśniej i duszniej w klasztorze:
Widać, że się zbliżają wielkie sądy Boże;
Lampa, co przed Obrazem cudownym migoce,
Nieustanna, sycona całe dnie i noce.
Jak chrześcjańska modlitwa, wieczna błagalnica,

Tylko kiedy się w nocy wszyscy spać pokładą,
Znużeni trudem: przeor przed Obrazem klęka,
A twarz ma nieruchomą, ni smutną, ni bladą.
W Obraz topi się oko, z ręką schodzi ręka,
Pierś mu nieznaną jakąś siłą przestrzenieje,
A choć chwilę w krzyż padnie, łzami twarz zaleje,
Choć go, snać, wagą całą krzyż pański przyciśnie,
Choć mu boleść się w duszy, jak ptaszę rozkwili:
To duch Boży go wzniesie i przez łzy zabłyśnie,
I widać, jakąś wielką pewnością posili,
Że prawice dziękczynne, synowskie, natchnione,
W górę wzniesie, gdzie Matka i niebios Królowa
W mgle nocnej Swoje lice opiekuńcze chowa,
I pewnym idzie krokiem gotować obronę.
Tak ci powitał przeor dzień szturmu. Północą
Szedł z kościoła ku celi, Bożą krzepiąc mocą.
Patrzy: aż się ku niemu ktoś cieniem pomyka:
Pan Jacenty Brzuchański wita zakonnika
Pocałowaniem w rękę, dzieńdobrym... „To Wasze“?..
„Ja przewielebny ojcze... Tak się tu modliłem
W kącie i Przenajświętszej Panienki radziłem,
Czy mam opuścić moje miastowe poddasze,
Przenieść się do klasztoru, czy pozostać w mieście“.
— „A jużcić do klasztoru przenieś się nareszcie,
Bo nie bardzo tam pono na mieście bezpieczno.
Szwedzi za lada chwilę staną pod klasztorem,
Nie myślę, aby byli dla miasta z faworem“.
— „Tak ci jest. Lecz mieć w pieczy trzeba duszę wieczną,
Boskiej jeno, nie ludzkiej, obawiać się kary“.
— „Cóż znowu“?
— „Organistą u świętej Barbary
Jestem od lat czterdziestu, a sumienie każe,
Abym wytrwał do końca przy świętej Barbarze.
Chociaż kościół zamknięty i milczą organy,
Ale wypadek może być nieprzewidziany.
Kwarta*) u Szwedów, toć to katolicy sami:
Gdzie pójdą do kościoła? A między Szwedami
Może się jaki znajdzie, co jest naszej wiary,—
Więc im trzeba usłużyć u świętej Barbary.

---

*) Wojska polskie, utrzymywane z czwartej części docho-

Albo kto, proszę, pójdzie z kolędą na święta:
Jeszczeby bez opłatka byli niebożęta!
A lud biedny, chudzina rozpierzchnięta w strachu,
Toćby nie miał mieć nawet kościelnego dachu?
Albo na cóż ja tutaj, — ja staruch usłużę?
A zdam się klasztorowi przy klasztornym murze.
I Matka Boska w duszy cicho mnie przyrzeka,
Że rada mieć za murem przychylnego człeka".
— „Aha! tutaj Waść mierzysz! Otóż nie pozwolę!
Stary jesteś i Szwedów ci nie wywieść w pole.
Siwej głowy nie trzeba na szwank ryzykować.
Weź żonę i z dobytkiem się na Górę sprowadź!.."
Ale pan Jacek księdza ujął za kolana,
Mówiąc z płaczem: „Jamć myślał, że ksiądz przeor lepiej
O mnie myśli i jeszcze w duchu mnie pokrzepi.
Modliłem się tu w kącie, a Najświętsza Panna,
Co księdzu przeorowi bronić się kazała,
W tej samej chwili Jacka do miasta wysłała.
Widziałemć, jak promienie świętej łaski Bożej
Padły na twe oblicze, wielebny przeorze,
Aleć i maleńkiego mnie wtedy dosięgły
I wielkiego z maluczkim razem z sobą sprzęgły,
Aby z ofiarą możnych dar maluczkich razem
Przed Przeświętej Panienki był złożon obrazem...
Padłem wkrzyż i w pokorze modliłem się długo,
Czy mnie nie mami szatan kościelną usługą:
Aleć zwątpienie z łzami z duszy się wylało,
I wiem, że, co mam zrobić, będzie z Pańską chwałą."
Tu pana Jacka lice dziwna jakaś łóna
Obłysła — do przeora podniósł swe ramiona
Błagalne, i łez wielkich strumień uroczysty
Spłynął marszczkami chudej twarzy organisty;
A ksiądz przeor się modlił jeszcze czas niejaki,
Spojrzał w twarz organiście, poznał Boże znaki
I wzruszony zawołał:—„Idź panie Jacenty!
Widać to taka wola Panienki Przeświętej.
Idź i służ razem ze mną dobrej naszej sprawie,
A oto ja ci w drogę, starcze, błogosławię"!
Wtedy oknem kościelnem wszedł pierwszy świt rana,
I z dłoni przeorowej i oczu błyszczących
Padł pęk promieni jasnych i błogosławiących,

Na głowę starca, czołem schyloną ku ziemi.
Hejnał ozwał się z wieży i dzwonów się szklana
Nuta zmieszała z tony hejnału drżącemi,
A razem odgłos trąby nadleciał wojskowy,
Groźny... Lecz nie zadrżały obu mężów głowy,
Tylko szepnęli: „Szwedzi“! i na dwie się strony
Rozeszli: przeor środki obmyślać obrony,
A szybkim krokiem, choć był schylony i stary,
Pan Jacek do kościoła u świętej Barbary.

7.

Odkąd cudowny klasztor Szwedzi otoczyli,
Pan Jacek już spokojnej nie miał w życiu chwili.
A chociaż dzięki kwarcie, co w miasteczku stała,
I dom jego w całości, i chudoba cała,
Nie usiedzieć mu więcej, ni oka nie zmrużyć:
Na nowym posterunku chciał Marji usłużyć.
Jako czajka, co z gniazda od dziatek spędzona,
Unosi się nad niemi kwiląca, strapiona,
Tak pan Jacek oblata z wyciągniętą szyją
Klasztor, choć nawałnice dział z obu stron biją.
Chociaż trzęsie się ziemia, a w bojowym dymie
Nikną kształty klasztoru wysokie, olbrzymie,
Widać go, jak przy wale, pochylony bokiem,
Klęcząc — bieg szturmu śledzi niespokojnem okiem,
Modli się i pocichu wtórzy pieśniom w górze,
Co z wieżycy kościelnej, gdzieś w dymowej chmurze,
Lecą nakształt anielskich zastępów błyszczących,
Błogosławiąc poległych i krzepiąc walczących,
A Szwedów dziwną jakąś napełniając trwogą.
Lecz kiedy szturm przycichnie, wróg odstąpi blady,
To pan Jacenty nocą wylata na zwiady:
Jaka tam strata wrogów? czy stracili kogo
Ze znacznych, czemu dalej do szturmu nie gonią?
Czy wysłali trębacza i robią układy?...
Czy się zakonni ojce do poddania kłonią?
Aż nazbierawszy wieści, wraca do dom zcicha
I do przelękłej żony tylko się uśmiecha,
Wesół, ruchawy; papier i inkaust bierze
I tajemnicze słowa pisze na papierze.
A potem znowu idzie do klasztoru drogą:
Żona modli się za nim, bo go złapać mogą,

Ale on wraca zawsze spokojnie i cało,
I wtedy snu użyje, aby skrzepić ciało.
On to, kiedy pan Miller bombardy z Krakowa
Sprowadził, by tem prędzej legła Częstochowa,
Doniósł ojcom, spotkawszy je pierwej, niż Szwedzi.
On wpierw, nim szturm rozpoczną, zakonnych uprzedzi,
Wypuszczając gołębia z domu, co w klasztorze
Ułaskawion, z przeora ręki jadał zboże.
On, gdy siostrzan Millera zabit był w namiocie,
Doniósł o karze Bożej, co kacerzy miocie.
On przeprowadził fosą raz pana miecznika,
Gdy poszedł na wycieczkę z tłumem ochotnika,
A z rycerstwem dobranem i sam człowiek tęgi,
Zmącił obóz, pamiętne wyliczył im cięgi.
On doniósł, że król Kaźmierz wyjechał z Opawy,
I Marji Pannie, jako był katolik prawy,
Oddał w opiekę Polskę solennymi śluby,
Aby Swoją koronę chroniła od zguby.

8.

Dwa miesiące Szwed klasztor już oblężon trzyma,
I strach do murów patrzy blademi oczyma,
Męztwo upada o ziem: zakonnicy sami
Smutnie patrzą w pogodne przeora oblicze,
Sprzykrzyły się spokojnym harce wojownicze.
„A nuż Szwed niecny rzezią święte miejsce splami,
Nuż zburzy piękny kościół i skarb, który dziady
Pokoleniami Marji składały w ofierze,
Na niecnych swoich rozpust podsytę zabierze?
Trzeba było odrazu przyjmować układy“.
A chociaż Marja liczne cuda codzień działa,
Biedni ludzie tak słabe przecie mają ciała,
Że im ręką żelazną bojaźń i cud zetrze,
Choćby zastępy niebios nadleciały w wietrze.
Dwóch jeno ludzi zawsze spokojnie i śmiele
Idą na służbę Marji, jakby na wesele:
Snać więcej im odsłonił Pan jaśni niebiańskiej:
Był to przeor Kordecki i Jacek Brzuchański.

9.

Zima — śniegi zaległy równiny dokoła,
Dzwon z wieży głuchym dźwiękiem na Mszę wiernych
[wzy-

Nie widać słońca: zamieć kryje go grudniowa.
W białej szacie stanęła Jasna Częstochowa
I patrzy, jak po równiach szlakami czarnemi
Szwedzi zajęli pole widnokręgu ziemi.
Trzy dni nie wypuścili ni jednego strzału,
Tylko się śniegiem kopią ostrożnie, pomału,
Osłonięci zawieją, okryci tumany,
Podsadzają bombardy, stawiają tarany,
I norami, jak lisy, kopią się pod wały.
Złe duchy na obronę w mglisko ich odziały,
Lecz i tak nocą ogni nie śmieją zapalić,
Aby się przed przeorem z pracą nie pochwalić.
Ale w złowrogiej ciszy bezecne stworzenia
Szturm gotują na sam dzień Bożego Wcielenia.

10.

Wilija—dzień prześliczny, sławny w zbożnym kraju,
Wilija, obchodzona po dawnym zwyczaju
Miłośnie i wesoło. Pan Jezus się rodzi,
Zbawienie świata puka do każdego proga,
Wszyscy ludzie zrównani w obliczności Boga!
Więc gospodarz po swoich domownikach chodzi,
Od żony aż do swego najlichszego sługi:
„Szczęście wszystkim i zdrowie, a i żywot długi".
Dziatki igrają głośno przy ciepłym kominie,
Wieczerza zastawiona o gwieździe na sianie,
Garnie do siebie wszystkich, kogo w domu stanie:
Anioł błogosławieństwa na cały dom płynie
I na rok cały dawa spokoju i ciszy:
Boć nawet i zwierzęta, jako lud to słyszy,
I belki, które wiążą dach chaty słomiany,
I sprzęty, i świadome dziejów domu ściany,
Wtedy rozhowór cichy ze sobą zawodzą.
A na polu pod śniegiem kiełki oziminy
Szepczą ludziom, czy plonu im wiele urodzą.
Do dwunastej jak wszystko wyczeka godziny
W weselu, aże dzwonek na Mszę zadziendzieli,
A „chwała Panu w niebie, spokój dobrej woli
Ludziom" — z dzwonkiem na wieży zanucą anieli:
Wtedy drogą od dworu i miedzami roli
Lud Boży do kościoła sunie uroczyście.
W kościele jasno, cicho; przez cmentarza liście

Wiatr szumi, jakby duszki, pod śniegiem grzebione,
Pacierz za żyjącemi szeptały stęsknione.
Ksiądz wyszedł — tu się spisać panu organiście:
Hucznąkolędą Pana powitać nad Pany,
Jak zawitał w Betlejem, w stajence słomianej,
I w żłobku się z rączkami podniósł otwartemi,
Aby przygarnąć wielkich i małych tej ziemi.

11.

Ale w roku sześćsetnym pięćdziesiątym piątym
Smutna wilija była w strapionej Polonii:
Głowa żadna domasznym nie cieszy się kątem,
Ani na Mszę pasterską dziad kościelny dzwoni,
Ani ludzie nie idą do kościoła miedzą,
Ani w dworach igrają dziecięta przy stole,
Ani plonu nadzieją nie poszepta pole.
W ukryciu gdzieś po lasach biedne chłopki siedzą,
Przy ognisku zmarznięte ogrzewają członki,
Głodne dziecięta tulą się w rańtuchy matek.
Rzadki dwór niespalony, gdzieby dym gościnny
Pod niebem się w bieluchne układał koronki.
Wilija cicha, smutna, nie igra rój dziatek;
Pan, z czeladzią się łamiąc z wilgłemi oczyma,
Opłatek w drżącej ręce jakoś dłużej trzyma
I łzą tajemnych życzeń pokropi pobożnie.
Wszystkich publiczne zbliża nieszczęście do siebie:
Córki około matki, co chora obłożnie,
Klęcząc, modlitwą Ojca błagają na niebie;
Syn milcząco spogląda na zbroje po ścianie
I duma, rychło w szyku gdzie pancernym stanie.
Siwy dziad schylił głowę nad węgrzyna czarą
I zadumał się wielce, aż źrenicą starą
Dwie łzy mu wypłynęły, mieszając się z winem.
A gdy północ wybiły z turkawką zegary,
A spustoszony kościół na Mszę nie zawzywa:
Poklękniono dokoła—ojciec, syn i córy,
A nad niemi się wzniosła głowa starca siwa.
Aż weselsi powstali i zza ciemnej chmury
Oknem dworu się błękit pokazał gwieździsty,
Niby Maryi Panny rąbek przezroczysty,
I dzwon się ozwał zdala — wesoły, godowy.
A dziad szepnął:—To na Mszę dzwonią w Częstochowy.

Wilja—w domu Jacka Jackowa się krząta,
Ochędożnie ociera proch z każdego kąta,
Stół zastawia, obrazy święte pooświeca:
Na jednym z nich Maryja, Przeczysta Dziewica,
Kopija Częstochowskiej, brunatnego lica.
A dziwnie tajemnicza, boska, macierzysta—
Widać, że ją malował sam Ewangelista:
Tak ufność budzi wielką i świętą nadzieję,
Jak się człeku przy żadnym obrazie nie dzieje.
Przy niej święty Hyacynt i Teresa święta,
Organistowstwa starych obojga patrony.
Za obrazami palma z gromnicą zatknięta,
I ziela od piorunów wieniec zawieszony.
Stół obrusem bieluchnym przykryty chędogo,
Z kuchenki zapach potraw leci smakowity,
Widać jest tam uraczyć i napoić kogo,
Jako bywa u rządnej, opatrznej kobiety.
Dziś się szczególniej ano musiała wysadzić,
Bo miała wielu gości za swój stół posadzić:
Nawet szlachtę i księdza od świętej Barbary,
Kilku z Kwarty, z którymi przyjaźnił się stary,
Poczciwych ludzi, tęsknych do polskich zwyczajów,
Co, chociaż w Szweda służbie, przecie we czci mieli
Matkę Bożą i szczerze zwycięztwa jej chcieli,
A pana Jacentego w swą protekcją brali
I od wszelkiej wandalskiej opresji chowali.
A iż była niewiastą prawdziwie chrześćjańską
I rada ludzkie bóle leczyć i mozoły:
To w drugiej izbie trzy aż zastawiła stoły,
By uraczyć wieczerzą chudzinę włościańską.
Ale chociaż to mozoł miała dzisiaj duży
I okryła już dziatki zmarznięte napoły
Starzyzną, w czem jej wiernie dobra córa służy:
Ułatwiła już wszystko, wieczerza gotowa,
I gwiazdeczka na niebo już wyszła różowa—
A pan Jacek nie przybył...
Trapi się Jackowa:
„Może jakie nieszczęście! Idź-no wyjrzyj, Anno,
Czy nie idzie“?
Hanna słuszną była panną,
Gibką jak łania, a jak jabłuszko rumianą,

Od rodziców w bojaźni Bożej wychowaną.
Więc kiedy zobaczyła matki swej strapienie,
Wyleciała na ganek w jedno okamgnienie
I wróciła za chwilę: „A toć ojciec bieży.
Pewnie ma coś ważnego“!
W zśnieżonej odzieży
Wrócił Jacek, a widać z postaci i twarzy,
Że coś wielce ważnego w swym umyśle waży.
Bo nie przywitał córki, którą kochał srodze,
Ani słówka nie wyrzekł Teresie niebodze,
Jeno zawołał: „Hanko! idź do stajni żywo
I rozkaż chłopakowi okulbaczyć siwą,
A jejmość niech mi kubrak mój żołnierski poda,
Inkaust, papier i pióro. Wszędzie obleciałem
Z kolędą, patrzaj Jejmość, na czole aż woda...
Oj, srogo gospodarzą! W parafii całej
Zaledwie cztery dymy nietknięte zostały,
Ratuj nas panie Boże“!
— „O, na rany!
Jakiś ty zgrzany, Jacku i jaki sterany!
Odpocznijże: wilija czeka zgotowana,
Zaprosiłam kwarcianych, księdza kapelana:
A i jadło niezgorsze uwarzyłam przecie,
A ty znowu się zbierasz gdzieś gonić po świecie!
Jacku! Jacku! do czasu nosił wilk barany...
Cierpnę, że ci na koniec przyjdzie opłakany.
A cóż ja biedna wdowa poczne sama z dzieckiem?
W wojnę jeno się mieszać osobom szlacheckim,
A nie tobie, coś sobie mieszczan i chudzina!
— „Cicho jejmość! nie wtrącać się w tę rzecz jejmości,
A nie obrażać Marji... Mnie to nie pierwszyna...
Klasztor o bliskim szturmie nie ma wiadomości,
Zawieje i śnieg srogi, że nie widno wroga:
Myślą, że Szwed przynajmniej uczci przyjście Boga.
A oni tam gotują pono szturm ostatni,
Gdy król myśli na pomoc przyjść klasztornej matni.
Śliczna rzecz, gdy napadną nieopatrznych mnichów!
A od czegóż to Jacek? Wstydź się Jejmość srodze,
A z tych słów wyspowiadaj w kościele, jak z grzechów.
Pięknieć mężowi stawać na zbawienia drodze...
A czy nie wiesz, żem winien, jako organista
Świętej Barbary, chodzić rok w rok na kolędę,

Z opłatkami na Górę? Fundacja wieczysta.
A ja jej pierwszy pewnie odmieniać nie będę".
— „Ale to czasy wojny" wybąknęła żona.
— „Otóż masz, w fundacyi wojna nie wspomniona...
Rok w rok—stoi wyraźnie. Śliczny sługa boży:
Kiedy spokój — buńczuczny, kiedy strach—to tchórzy.
A od czegoż na świecie są święte urzędy?
Lichy żołnierz, co w wojnie od broni ucieka...
Więc niechaj nikt w klasztorze na mnie nie narzeka.
Żem w zły czas mu życzliwej nie poniósł kolędy.
Dawaj Jejmość opłatki, daj kubrak kwarciany".
Organiścina kubrak podała pocichu,
Wzrok błagalny podnosząc do Najświętszej Panny.
By jej nie poczytała za tę bojaźń grzechu.
Mąż pisze — ona cicho chodzi po komorze.
Wzdycha i jakieś ciężkie przeczucie ją zmaga:
Ale skargi mężowska nie znosi powaga.
Z trudem pan organista skończył list niemałym.
Ile że rzadko pismo miewał w używaniu,
I zręcznie go opłatkiem pookrywał białym.
Potem z alkowy wyszedł w żołnierskiem ubraniu,
Z pałaszem, co mu dźwięczał około goleni,
Podobnym do długiego rożna od pieczeni.
Kołpak żołnierski wsunął z fantazją na oczy
I samopałem wkoło, jako żerdzią, toczy,
Że żona zawołała: „Jacenty, Jacenty!
Poznają cię! poznają! Panienko Przeczysta!
A dyć to widać zaraz, żeś ty organista,
Organista od głowy aż do samej pięty!
To chociaż ten kołpaczek spuść nizko na uszy,
Bo widać, że siwizna już ci głowę prószy,
Wąsy poczerń"! W tem rady Jackowej posłuchał:
Dobył węgla, oburącz wąsy posmoruchał
I zapytał: „A teraz"!? i krokiem marsowym
Na ganek wyszedł w swojem przemienieniu nowem.
Przed gankiem stoi Hanna i klacz ojca trzyma:
Niepotrzebnie, bo siwa była ślepą z rodu,
Nie miała ona chimer końskiego narodu:
Była spokojna, w ruchach wielce flegmatyczna.
Jacek miał do niej słabość — mówił, że prześliczna:
Znały ją wszystkie dzieci i ludzie w parafji.
Pan Jacek na niej, bywa, jeździ po kolędzie,

A choć nie ruszy cuglem — ona węchem trafi,
Z długiego doświadczenia zawlecze się wszędzie,
Powoli, lecz statecznie. Teraz łeb złożyła
Na ramieniu u Hanny i zamknęła ślepie:
Pan Jacek ją po bokach wytuczonych klepie,
Ale pani Teresa jeszcze zakrzyknęła:
„Jacku! ty na tej szkapie jedziesz do obozu“?...
Wtedy pan Jacek dobył już gromkiego głosu:
„Idź Jejmość do kądzieli, tam siedzieć niewieście,
A nie gadać o koniach! Wiedz, że w całem mieście
Lepszej kobyły niema. Sam przeor w stadninie
Nie ma, chociaż stadnina przeorowa słynie.
Cóż z tego, że oślepła? bo była ognista!
Ale za to wytrwała, krępa, podsadzista,
Spokojna, a choć trochę w pysku bywa tępą,
Żaden koń tak wybornie nie chodził mi stępą.
A jako czysty stanąć chcę kiedyś przed Panem,
Nie mieniałbym się na nią ze żadnym kwarcianym.“
To rzekłszy, Jacek cmoknął na siwkę przychylnie:
Wzniosła łeb — i w kopyta uderzyła silnie,
I poszła drogą stępo, w kroki wymierzone,
Z organistą, co szeptał: „Pod Twoją obronę“.

12.

Noc była mroźna, śnieżne zamiecie ustały;
Ostatnie chmury, coraz bielsze i przejrzyste,
Przeświecone księżycem, wichry poganiały:
I po ziemi się światło jakieś uroczyste
Rozlało, jakaś dziwna mieszanina cieni
Z światłami, drgającemi od gwiazdek promieni.
Księżyc, wybłysłszy nagle, klasztor zwalił stary
Cieniem czarnym na obóz Wandalów rozpięty.
A z drugiej strony cudnie kościół pooświecał,
Że się zdał, niby starzec siwy, biały, święty,
Co prawicą-wieżycą Polskę Bogu zlecał.
Pierwszy raz, odkąd klasztor oblężenie znosi,
Taki wesoły księżyc się nad nim unosi!
Pierwszy raz niebo taką pogodą przyświeca,
By szatą, którą nosi niebieska Dziewica,
Gwiazdami błyszczącemi misternie utkana,
Wesoła, jako chwila narodzenia Pana.

To też na murze zamku, w jasnym światła stoku,
Drużyna Częstochowska stanęła radośnie,
A serce od niebieskiej nadziei jej rośnie;
Ksiądz przeor pewność świętą ma w natchnionem oku,
Szlachta wesołym kręgiem do niego się garnie:
— „A to, chwała Panience, zamieć się rozgarnie,
Mróz tęgi, a pogoda. Łatwiej nam w klasztorze,
Niźli Szwedom na polu... Nie długo im może
Tu wytrzymać, toć nie śmią zapalić ogniska
Biedacy, bo się boją salwy przy wieczerzy.
Na wał się wdrapać—taka ziemia ślizka.
Spokojnie zanucimy Panu: „W żłobie leży!“
Kiedy tak przeor mówi, na wale u wieży
W światła blasku na szkapie zjawi się kwarciany...
Zdjął kołpak, pod kołpakiem zaświeci łysina.
Częstochowscy krzyknęli: „W imię Ojca, Syna
I Ducha—wszak to Jacek—Jacek znów przebrany“!..
A Jacek zawinięte w wór opłatki ciska
I oracją wypala, podjechawszy zbliska,
Dodając, że na słodkie Pana urodziny
W opłatkach dobre niesie klasztornym nowiny:
A życzy, by wnet obszedł księży, szlachtę, braci
Mieszczan personaliter, jak stoi w fundacji.
Ledwie to Jacek wyrzekł, aż z fosy niebawem
Zabłysnęły oręże promieniem jaskrawym;
Siwa wbok, chłop olbrzymi za cugle ją chwyta:
Da bist du, Fogel!—wrzeszczy. Częstochowscy z wałów
Nadół palą do Szwedów ze swych samopałów.
Ale wnet hurma cała opadnie biedaka,
Zraniona mieczem siwa ruszyła z kopyta
I raz pierwszy galopem urznęła szłapaka.
— „Księże przeorze! duszę-ć polecam i dzieci!“
Woła Jacek—w podrzutach do obozu leci,
Ginie wdali i czasem tylko się zaświeci
Łysina starca, w której księżyc się przeziera,
I twarz nie organisty — ale bohatera.

14.

Obóz Szwedzki, w szerokie rozbity półkole,
Jako wielka szarańcza, co oblega pole,
Na przestworzu śnieżycy czarną leżał plamą;
Wzdłuż szańców usypanych i przed każdą bramą

Wandalskie przelatują na koniach patrole
I migają się w świetle czarnemi szlakami,
Jak mrówki z ruszonego mrowiska krążące,
To kręcące się naprzód, to powracające:
Na wałach, usypanych pod zamku murami,
Wkopane w ziemię Szwedy pilnują armaty
I losem wysyłają na stracone czaty.
Niesforny gwar zamąca świętą wilji ciszę:
Dźwięk trąb w powiewie wiatru dziko się kołysze
I hufce zewsząd spieszą na trąb owych grzmoty
Ku miejscu, gdzie czernieją dowódców namioty.
Środkiem pól biedny Jacek wśród rajtarskich koni
Na przestraszonej siwce nieprzytomny goni,
Jeno mu w uszach szumi jakiś głos stęskniony,
Niby żony czy córki: Jacenty stracony!
I chwilę taka wielka niemoc go owładła,
Że mu i siwa broda na piersi opadła,
I rękę odrętwiałe cugiel opuściły:
„Moja żona! me dziatki! Mój ty Boże miły!"
Wtedy go hurma Szwedów ciekawych napada,
Krzyk rośnie! Jeden płazem miecza go okłada,
Drugi harapem razy po grzbiecie oblicza,
Że się schyliła starca postać męczennicza.
Szkapa, ukłóta mieczem, zawierzgnęła zadem,
A pan Jacek padł na twarz swem obliczem bladem.
Stłuczony spojrzał wkoło okiem smutnem, łzawem,
Zobaczył, co się dzieje. A Szwedzi niebawem
Sadzają go na siwą przodem do ogona,
Przywiązują sznurami... Wtedy twarz znękaną
Nagle rozświeci starcu jakaś myśl natchniona,
Twarda dusza ozwała się w staruszka ciele,
Podniósł oczy i nagle wyspokojniał dziwnie.
Nie rzekł ni słowa skargi, nie rzucił się gniewnie,
Ani o litość prosił swoje trapiciele:
Bo mu Pan wielką pomoc przysłał onej chwili.
Kiedy go obitego na szkapę wsadzili,
Męka Pańska przed duszą stanęła wyraźnie,
Jakby ją w Wielki tydzień odczytywał właśnie.
I Bogu się zlecając w modlitwie dziecięcej,
Szeptał sobie pocichu: „Jezus cierpiał więcej...
Więc, gdy ci kazał znosić dla Swej Matki świętej:
To ty idź za Jezusem, to ty cierp, Jacenty!

I odtąd, kiedy Szwedzi go policzkowali,
Chrystus przed nim się jawił wśród sądowej sali,
Jak nadstawiał policzka drugiego Żydowi.
Nadstawiał i pan Jacek, co Szwedów śmieszyło...
Gdy go bili, to Chrystus pod słupem mu mówi
W pokrwawionej sukience: „I mnie tylu biło!“
Kiedy go w płaszcz żołnierski szydersko ubrali,
To widział, jak się żydzi Chrystowi kłaniali...
Kiedy go wprowadzili do pana Millera,
To widział, jak się brama Heroda otwiera;
I Bogu się zlecając w modlitwie dziecięcej,
Szeptał sobie pocichu: „Jezus cierpiał więcej.
Więc gdy ci kazał znosić dla Swej Matki Świętej,
To ty idź za Jezusem, to ty znoś, Jacenty!“

15.

Jenerał Burkard Miller był człek znamienity,
Ranami i znakami zwycięztwa okryty,
Pogromca Danów, w wielu bataljach szczęśliwy,
Wesoły i hulaka. Czemuż to jedynie
Przed kurnikiem - klasztorem taki frasobliwy?...
Siedzi w namiocie smutny: gniew swój topi w winie
I taką wściekłość z źrenic swych ponurych ciska,
Że sami Szwedzi nie chcą zagadać doń zbliska.
Odkąd w szturmie siostrzeniec poległ ukochany,
Strzelający na klasztor z wojennej bombardy,
Czarnem suknem obwiesił namiotowe ściany,
Zbladł, jak trup, i ku ziemi kark pochylił twardy;
Dzień i noc siedzi cichy — do wodzów nie mówi,
Czasem każe armaty sunąć ku zamkowi,
To znów cofnie i ręką niecierpliwą skinie.
Co więcej, we śnie nieraz straszliwie się zrywał,
Krzyczał dziko i w górę nad siebie wskazywał,
Ryczał płaczem i piszczał: „Widzicie tam w górze!
Mój siostrzan padł — ona nad nim na tej chmurze,
Ona, niewiasta biała! jasność niesłychana
Od niej bije, zabrała mi mego siostrzana!“
A potem pięści składał i znów nieprzytomnie
Płakał: „Niewiasto boska! pójdź do mnie, o do mnie:
Oddaj mego Olafa! Zmiłuj się nademną!“
Gdy wodze szturm radzili, on mawiał: „Daremno!“

Tarzał się wściekły wkoło i z straszliwym śmiechem
Krzyczał: „Jenerał Miller ucieknie przed mnichem!“

16.

Właśnie jenerał Miller na łożu bojowem
Leżał, podwładnych żadnym nie uczciwszy słowem,
Chłonąc puhary wina, patrząc obłąkanie,
Jak gdyby widmo widział na namiotu ścianie,
Kiedy mu hałas dziki przerywa milczenie.
„Kto mi śmie mącić spokój?“ zakrzyknął szalenie,
Zerwał się i wojenną zadźwięczał ostrogą.
„Jeńca prowadzą prosto do namiotu drogą.“
„Jeńca!“ zazgrzytnął Miller, „dawnom nie wziął jeńca:
Odpłaci mi sowicie za mego siostrzeńca!“
Wchodzi Jacek, a rajtar rzeknie: „Jenerale!
Tego szpiega złapalim na fortecznym wale,
Jak rozmawiał z mnichami i pismo im rzucił.“
Tygrysim susem nagle jenerał się zwrócił:
Lecz Jacenty nie zadrżał, był blady i cichy.
„Taki jeniec! Staruchów wysyłają mnichy.
Miller, co zmódz nie może rycerzy w kapturze,
Nie wart innych. I taki podynda na sznurze,
Szpieg! szpieg! Coś ty za jeden?... odpowiadaj, stary.“
„Jaśnie wielmożny panie! panie rejmentarze!
Klecham i organista od świętej Barbary,
Niosłem księżom kolędę, jak powinność każe;
Odmówiłem oracją, opłatki podałem,
Ale do księży więcej słowa nie gadałem.“
Pan jenerał włos czarny zaszarpał na brodzie
I krzyknął: „Tacy wszyscy, tacy wszyscy w grodzie,
Cisi jak duchy! jako czarci wytrzymali,
Czy to młody, czy staruch, co mu się łeb trzęsie!
Lecz czekaj! może inak będziemy gadali,
Kiedy Fryc ci żelazkiem powiedzie po mięsie.
Wołać Fryca!“

Pan Jacek łysiną zaświeci
Schyloną, za kolana ujmie Jenerała:
„Jaśnie wielmożny panie! mam żonę i dzieci,
Stary jestem: starego pożyć to nie chwała:
Siwy włos mam—nie chwała siwą głowę terać!“
„Ha! ha! tobie się nie chce, staruchu, umierać!

Jest rada! Wyznaj wszystko, a powrócisz cały.
Powiedz, co słychać w zamku, co mnichy gadały,
Jak się długo opierać myślą mej armacie.
Znasz klasztor, no! to powiedz, które miejsce macie
Za najsłabsze, gdzie siła tej forteczki leży,
Że jej pożyć nie może huf zbrojnych rycerzy!
Gadaj stary, to złotem obsypię cię jeszcze".

A Fryc, kat obozowy, zjawił się, w czerwony
Kubrak ubran i zwolna kładł na wszystkie strony
Obcęgi i pilniki, łańcuchy i kleszcze,
Dmuchał na ogień w piecu, rozwieszał swe sznury,
I panu Jacentemu śmiał się w twarz ponury,
Pokazując rękami, jak użyje broni,
Co upartego człeka do wyznania skłoni.
Zbladł pan Jacek—pot zimny po czole mu leci:
Padł plackiem: „Jenerale! mam żonę i dzieci!
Mam córeczkę nadobną, pociechę starości!
Jenerale! tyś wielkiej doświadczał żałości,
Wiesz, co nieszczęście! Szczerzem ja ciebie żałował,
Żałował przeor, iżeś siostrzeńca postradał:
Ty wiesz, jakby bezemnie biedny dom mój biadał,
Ktoby na moją córkę Haneczkę pracował!"
Ale pan Miller śmiechem ogromnym się śmieje:
„A co staruchu! widać ci już w głowie dnieje!
Czas leci, wielcem nowin z klasztoru ciekawy,
Zobaczymy staruchu, czyś katolik prawy,
Powiesz czyli nie powiesz?!"

Wtedy krew od serca
Buchła panu Jackowi w jego twarz wychudłą:
„Nie powiem, jenerale: ja nie przeniewierca.
A żem katolik, niechaj powie krwi mej źródło!
Lecz iżem ojciec dzieciom, trudneć mi ofiary,
Więc wołam jeszcze panie: uchroń mnie od kary!
Patrzaj! jam człek słabiuchny! jam jest człowiek stary;
Praca rozgryzła ciało i włosy me białe:
Nie tyraj starych kości, co na Pańską chwałę
Tyle lat już przeżyły, niech spoczną w spokoju!
Tyś człek wielki, dowódca sławny w wstępnym boju,
Ale nie zbójca starców, i kalek, i dzieci...
Zlituj się!"

I skroń zniżył ku Millera nodze,

Ale wtedy jenerał odepchnął ją srodze,
Głowę starca... Jacenty powstał dumny, śmiały:
„Krew moja na twą głowę i na twych niech zleci!
Nikt darmo nie poterał głowy posiwiałej!"
„Weźcie go!" — huknął Miller. Tu oprawce wpadli,
Sznury, pasy na ciało obnażone kładli,
Że, jak ptaszyna z skrzydły rozwianemi wkoło,
Zawisnął pan Jacenty. Lecz ciche miał czoło...
Dano znak. Sznury na wsze rozbiegły się strony,
Przez zęby pisnął Jacek w środku zawieszony;
Opadły mu ramiona, zachrzęszczały członki,
Upadł o ziem...
„A co tam? czy gadasz staruchu!"
Pan Jacek nic nie wyrzekł, coś szeptał pocichu:
Do Panienki Najświętszej odmawiał koronki.
„Ho! ho! w tym starym widzę dusza, jakby w mnichu!"
Zawył Miller i wściekle z złości się zapienił:
„Ale oto się pilnik dobrze rozczerwienił!
Sprobuj Frycu!"
Z żelazem ognistem Fryc kroczy,
Trzykroć panu Jackowi zaświecił przed oczy;
Jacek głowę położył brodą na podłodze
I milczał.—Syk straszliwy rozlega się srodze,
Drgnęło ciało, a oczy zaszły czechłem białem;
Wyciągnął się pan Jacek—i zdał się omdlałym,
Ale na twarzy spokój. Usta drgają jeszcze
Słowem: „Marja!"
„Mów stary! czekają cię kleszcze!"
Starzec spojrzał... W źrenicy dziwne miał promienie
I nie widział Millera. Gdzieś w namiotu cienie
Patrzy, dłońmi białemi chce ruszyć napróżno:
Zachwyt jakiś i rozkosz ma w twarzy pobożną,
A czasem rusza głową, by nadstawiał ucha:
Czy harmonji anielskiej i ich śpiewu słucha?
Patrzy coraz promienniej, i jak jasne świéce
W środku namiotu, płoną dwie jego źrenice...
„Gadaj stary!" Znów cisza. Miller się rozpienił...
Zaledwie: „Kleszczy, kleszczy dawaj!" wyszeplenił.
Fryc z oprawcami ujął straszliwe narzędzie,
Podniósł starca, bieluchne ciało się zwiesiło
Mu przez rękę. Zatopił—żelazo się wpiło,
Krew trysła—Jacek zadrgał: „Ha! ha! mówić będzie!"

Ale w kilku podrzutach Jacenty się rzucił,
Jak zgruchotan o ziemię—głowa jego biała
U stóp Millera w włosy srebrne się rozlała.
Podniósł ją jeszcze, w górę ku niebu gdzieś zwrócił:
Wtedy wszyscy się nagle od niego cofnęli,
Tak była jasną... Cisza nastała straszliwa,
A głosem, jak brzęk muchy po szybie dziendzieli,
Pan Jacek nagle z piersi skrwawionej wyjęka:
„Matka Boska! Przeczysta Panienka!“
I uderzając czołem o ziemię, omdlewa.
Osłupiał pan jenerał na środku namiotu,
Osłupieli widzowie. Aż głosem grobowym
Wyrzekł wódz: „Starca złożyć na łożu bojowem
Mojem własnem i w dobrem mieć go zachowaniu,
A jutro niech trębacze dadzą znak odwrotu.“
Nikt się nie śmiał opierać jenerała zdaniu,
A Miller czoła swego ku ziemi ugina:
„Vicisti diva mulier, vicisti regina!“ *)

17.

Gdy się Jacenty zbudził, zdziwił się niemało:
Lampy złocistej światło mu nad głową drgało,
Ulgę czuł wielką w ciele, rany miał chędogo
Zawinięte i delją był przykryty drogą,
A w głowach obcy ludzie czekający stali
I badawczem spojrzeniem w bladą twarz patrzali.
Z obozu jakiś hałas przytłumiony szumiał,
Jakieś gonienie dziwne, koni tupotanie;
Ale pan Jacek, jako osłabion był mocno,
Nic się z owego ruchu domyśleć nie umiał,
Jeno począł odprawiać swą modlitwę nocną.
I czuł, jak go nadchodzi dobroczynne spanie.
Więc zaczął zwykły pacierz i, wpółświadom siebie,
Dziękował za tę ulgę Panience na niebie.
I lubość jakaś wielka, z bólu urodzona,
W łzach źrenicy mu błysła i w westchnieniu z łona
Dobyła się serdecznie... Lecz ciało strudzone
Nie dało mu domówić: „Pod Twoją obronę.“
Oczy się zakleiły, w poduszkę skroń składa,
Szepcze jeszcze i przez sen: „Zdrowaś Marja!“ gada,

*) Zwyciężyłaś, święta Pani, zwyciężyłaś Królowo!

Aż usnął, po raz pierwszy nie kończąc pacierza...
Ale za złe mu tego anieli nie wzięli.
Ani Panienka święta, co stanęła w bieli
Nad głową starca—rzewna, niewidzialna, cicha,
I na walkę snu z modłą lubo się uśmiecha,
A potem skroń stareńką dotknie dłońmi swemi,
By duszę marzeniami pokrzepić rajskiemi...

18.

Rajski-ż sen miał pan Jacek! Ledwie zamknął oczy.
Wielkie światłości morze się przed nim roztoczy,
Niby śnieg spromieniony wschodem słońca złotym.
Ujrzał górę ogromną, której szczyt promienny
Stykał się wieżycami z niebieskim namiotem.
Klasztorowi na Jasnej Górze tak podobny,
Jeno w bogactwie murów i wieżyc odmienny.
Z drogich kamieni mury go w wieniec nadobny
Otaczają, a kościół wydaje się srebrnym.
Złote ma dachy, wieżyc ma złocony rąbek,
A nad każdą wieżycą bieluchny gołąbek
Z różeczką w dziobku się waży w błękicie podniebnym.
Co najpiękniejsze drzewa, najwonniejsze kwiaty,
Wszystkie się uśmiechają wdziękiem nieśmiertelnym
Rubinów i szmaragdów, jak księże ornaty,
Które Jacenty w skarbcu podziwiał kościelnym.
Woń jakaś dziwna w wietrze i cudowna wiosna.
Z głębi wieżyc harmonja nadlata radosna
Dzwonów, z kościoła organ silnie się odzywa,
To huczy jako gromy, to jak słowik śpiewa.
Zadziwił się pan Jacek i spojrzał po sobie:
„Musi być wielkie święto, a jac tu w chudobie,
W kubraku!" Ale gdzie tam! Dziwnem przemienieniem
Miał kontusz swój świąteczny i pas złotolity.
I żupan własną ręką Haneczki uszyty,
Kołpak futrzany, by przed Bożem Narodzeniem
Obchodził z opłatkami szlachtę okoliczną.
A siwka, siodło nowe i trzęzlę prześliczną
Mając, stała bundziucznie i czekała pana.
„Cudo!" myśli pan Jacek i—rzecz niesłychana,
Ale siada i prosto w górę jedzie sobie...
Przyjechał w bramę—czyta, w złocistej ozdobie
Napisano: „Niech puka każdy sługa Boży,

A rajska brama zaraz przed nim się otworzy."
Z rozkoszą Jacek napis bramy slabizował,
Aże pomyślał sobie: „A toż, nie chwalący,
Toć i ja sługa Boży, Marję miłujący.
Więc, chociaż organiście, dadzą kątek w niebie,
A Ty, Panienko święta, weźmiesz mnie do siebie."
I zapukał: zza bramy dwa cudne głosiki
Odzywają się wdzięcznie, jak w lesie słowiki:
„A kto tam?"—„Z przeproszeniem, a to ja, Jacenty,
Z Częstochowy mieszczanin, a Matki Przeświętej
Miłośnik, organista od świętej Barbary.
Widzę, tam nabożeństwo, Boże Narodzenie!
Toćby się panu Bogu chciał pomodlić stary,
A wszystkim ludziom przynieść serdeczne życzenie."
„Witamy! a witamy!"—głosik się odzywa,
Brama pęka i dziwna jasność od niej spływa.
Aniołki dwaj, w zielone ubrani odzieże,
Trzepoczą skrzydełkami, jak rybki po wodzie:
„Witamy! wielka radość będzie w naszym grodzie,
Kiedy serdeczny Jacuś do niego przybywa.
Witamy i czekamy, czekamy, witamy!"
Jacek trzykroć się kłania niziutko kołpakiem,
Zmięszany wąsa kręci i naciąga szaty:
„At, żartujecie sobie, paniczki z biedakiem!"
Ale już anioł siwkę przywiązał do bramy
I prowadzi go dalej promienistym szlakiem.
Huczą dzwony—organów słychać dźwięk wspaniały,
Jacenty że był znawcą, wpadł w podziw niemały
Nad wybornością tonów i graniem kapeli:
„Nie potrafi tak człowiek, widać to Anieli!"
Aż tu procesja wielka idzie z chorągwiami,
Jakby na dni krzyżowe lub na Boże Ciało,
I czyli się to jeno Jacentemu zdało:
Ale śpiewali: „Witaj! Jacku nad Jackami!"
Więc najprzód w parach, w białe odzianych rańtuchy,
Idą biednych ludzisków nieśmiertelne duchy:
Chudzina, co na świecie niemało doznała
Biedy, a przykazania Boskie zachowała,
Aż, pracując w kroplistym czoła swego pocie,
Znalazła odpoczynek w wieczystym żywocie.
Były tam kmiotki biedne, których pan Jacenty
Pogrzebał na cmentarzu z księdzem w ziemi świętej,

I chłopianki, sierotek otoczone kołem,
Które pod parafjalnym pogrzebał kościołem,
A niemało im w życiu naczynił posługi,
Ze serca, nie z chciwości, jako klecha drugi.
Więc wszyscy uśmiechnięci szli k'niemu weseli:
„Jacenty! witaj! dawnoć my cię nie widzieli!"
Toż opłatkiem się z każdym organista łamie:
„Niema czego wam życzyć, jest winszować czego,
Żeście ano królestwa doszli niebieskiego
I rekwijem znaleźli przy wieczności bramie."
Aż tu mieszczanie, strojni w kapoty niedzielne,
W jubkach mieszczki, z czepkami na głowie złotemi,
Wychodzą. Jacek wiele ich zaznał na ziemi,
A to wszystko już teraz duchy nieśmiertelne.
A tu nieboszczyk ojciec, klecha z Częstochowy,
A to matka, to dziadek, to pradziad zsiwiały!
Pan Jacek w łzy się ledwie nie roztopił cały!
Całuje białe ręce, tuli siwe głowy,
Ku kolanom ojcowskim pokornie się schyla.
„A czy ja biedny grzesznik wart rozkoszy tyla!"
Ojciec z dziadem na łysą organisty głowę
Łzy leje rozrzewnienia jasne, brylantowe,
Przyciska ją do piersi; matka się z miłością
Patrzy, w czoło całuje najmilszego syna:
„Anom się nie zawiodła, pociecho jedyna,
Boś oto dosiągł nieba twoją pobożnością."
A potem ręką wiedzie po ranach żałosną,
Co przez kontusz niedzielny błyszczą różowawo, —
I rany się cudownie goją i zarosną...
A panu Jacentemu tak się jakoś mgławo
W oczach robi, że upadł do stóp swej macierzy,
Dwoje strumieni wartko mu po twarzy bieży,
Aż podniosła go z ziemi i cicho wyrzeka:
„Idź Jacku, jeszcze więcej nagrody cię czeka."

19.

Więc, z objęć macierzyńskich wyrwawszy slę żwawo,
Poszedł dalej... I oto rzędami długiemi
Idą panowie szlachta, ubrani świątecznie,
Jakby jechali króla obierać swej ziemi.
Pod bieluchnym kontuszem, świecącym się mlecznie,
Rubinowe żupany, męczeńska lśni szata,

Karabela u boku połyska bogata,
A w dłoniach krzyż ten dzierżą pięknie i statecznie,
Który im dały wnuki do trumny na spanie.
A inni, co nie w świętej spoczywają ziemi,
Ale śpią gdzieś zabici w kresowym kurhanie,
Miecz dzierżą, a miecz krzyżem w ich prawicy świeci..
Są tam i wielkie pany z znaki koronnemi,
Buławami, pieczęćmi, laskami, co w sejmie
Robiły spokój, ale cisi jako dzieci,
I od ich dumnej twarzy obawa nie zdejmie,
Bo się patrzą miłośnie, anielsko, uprzejmie,
I taka dobroć święta z oblicza im gada,
Jakby w progu z kielichem witali sąsiada.
Idą bez swarów dawnych, w braterskim spokoju,
Jako niegdyś chodzili do świętego boju.
Lecz pan Jacek, że umiał oddać cześć każdemu,
Zdjął kołpak i na boku zatrzymał się skromnie.
Aż pan sędzia Wieluński poskoczy ku niemu,
Nieboszczyk, wprzód protektor Jacka znakomity:
„Jacenty, mój Jacenty! chodź-że tutaj do mnie.
A toć to w niebie równość, a kubrak mieszczański
Tak idzie na sąd wieczny przed trybunał Pański,
Jak karmazyn, ubrany w turecki pas lity!
A gdy niecnota, darów Pańskich rozproszyciel,
To mieszczana nad pana postawi Zbawiciel!
Lecz ty, magnus defensor*) Przenajświętszej Matki,
Pójdź do nas i zzanadrza wyjm twoje opłatki,
Opłatki, com to niemi tyle lat na świecie
Łamał się z bracią szlachtą w wieluńskim powiecie,
A w których tyle wspomnień mam drogich dla siebie,
Żebym i dzisiaj płakał, chociaż jestem w niebie!“
Tu tłumem się do Jacka suną nieboszczycy,
Ściskając „Defensora“ Najświętszej Dziewicy,
Łamią się opłatkami — a szmer jego sławy
Doszedł aże hetmanów koronnej buławy,
Biskupów i najwyższych kraju dygnitarzy.
Olśniał pan Jacek nagle od takich honorów,
Więc się kłania niziutko — pokraśniał na twarzy
I jąka przeprosiny: „At, ja człek chudzina,
Zanadto mnie nagrody i pańskich faworów,

*) Wielki obrońca.

Nie mieszać do rycerstwa mieszczańskiego syna!"
Ale ba! Ledwie wyrzekł — wspaniała drużyna
Królów, częstochowskiego grodu protektorów,
Wychodzi i świecącym otoczy go rąbkiem...
Poznał pan Jacek wielu, o których był czytał
W księgach. Poznał staruszka*), co białym gołąbkiem
Wyszedł naprzód i pierwszy go przychylnie witał,
A znak Krzyża Świętego nosił brylantowy,
Niby Chrztu krople u swej posiwiałej głowy...
Pokorny był i cichy królów protoplasta,
U boku mu pobożna stanęła niewiasta.
I taką miłość wielką uczuł Jacek k'niemu,
Że wyrzekł: „Cześć i sława praojcu polskiemu!
Cześć matce, co nam pierwsi do naszego domu
Wnieśli Boga, że teraz jest się modlić komu."
Poznał i syna**), wnuków poznał, prawnuczęta. ***)
Zbrojni byli i groźni, lecz pobożność święta
Lśniała w oku, i wszelka dobroć, jako biała
Gołąbka się im z twarzy marsowatych śmiała.
Przychylnie się opłatkiem z Jacentym łamali
I o świętego grodu obrońcę pytali.
Poznał i króla chłopków****), któremu maleńki
Ojciec*****), jak dziecię drobne, wieszał się u ręki.
Ale oba jednacy animuszem byli:
A na twarzy rodzica lśni jeszcze blask chwili,
Gdy ojczyznę ratował z uśmiechem na twarzy,
A u boku miecz wielki jeszcze wojnę marzy!
Poznał i ową parę w purpury odzianą,
Co Polsce nowej chwały zwiastowała rano,
Niewiastę śliczną, która krzyż na piersiach dźwiga.
To nowy ród królewski: Jagiełło, Jadwiga!
U drugiej się znów kończy długi szereg pary:
Przy ostatnim potomku idzie Zygmunt Stary,
Siwy, postacią nadół schylony ku ziemi,
Włosy mu pierścieniami na purpurę płyną:
Ale taki ojcowski, jakby dłońmi swemi
Serce między swych ludów obdzielał drużyną!
Byli i oni króle, których zapamięta

---

*) Piast, z kmiecia król. **) Ziemowit. ***) Mieczysław I. Bolesław Chrobry. ****) Kazimierz Wielki. *****) Władysław Łokietek.

Pan Jacek, albo poznał z opowiadań dziada.
A każdy do starego uprzejmie zagada,
A każdy mu na ramię bieluchne rączęta,
Przezrocze, przeświecone wskroś blaskiem wieczystym
Kładnie, uściskiem starca obdarza ojcowskim,
Że się nie mógł nadziwić dosyć sądom Boskim
I posiąść od rozkoszy w tym dniu uroczystym.
Ale mu Częstochowa nie mogła wyjść przecie
Z głowy, ani klasztoru zapomnieć w zachwycie:
Więc króliskom się dobrym kłania należycie,
I mówi: „Króle święci, a co tam w dekrecie
Niebieskim napisano? Wy szczęśliwe duchy,
To was od Matki Bożej dojść musiały słuchy,
Co zamyśla uczynić z pokornemi sługi?
Szwed w opressyi klasztor czas już trzyma długi,
A jak nam nie sfolguje Panienka niebieska,
To mogą ludzie upaść, a wróg nasz wziąść górę...
A toćby szkoda było, gdyby Jej królewska
Stolica w te wandalskie dostała się ręce.
A jeszcze by zwycięzca urągał Panience!“
Ledwie rzekł — wiatr niebieski wielką duchów chmurę
Uniósł w bok, że stanęli po obojej stronie,
A sam Jacek na środku upadł na kolana:
Bo przed kościołem jawi się Najświętsza Panna
W rąbku świętych — i, obie wyciągnąwszy dłonie,
Dwa promienie rzuciła, jak łuki tęczowe,
Na klęczącego starca pochyloną głowę...
W chmurkach złotych, u boku Przenajświętszej Panny,
Z skrzypeczków i basetli dźwięk wylata szklanny,
I po całych niebiosach śpiew kolędy buja:
„Po dekrecie już w niebie, chwała! alleluja!“
A panu Jacentemu tak pierś przepełniła
Niebieska rozkosz, że się obudził napoły...

20.

Na jawie jeszcze słyszy, śpiewają anioły,
Słychać organ, kościelnej muzykę kapeli,
Nutę dzwonów, co przyjście Chrystusa głosiła.
Przeciera oczy, patrzy: śnieg się przed nim bieli
Szeroko, klasztor cicho stoi śród śnieżycy;
Organ słychać z kościoła — dzwon tętni z wieżycy.
Słońce ranne różowym pole blaskiem zlewa,

Wielka, świąteczna cisza, jak w czas Sumy bywa.
Patrzy znów, przecierając oczy po raz drugi.
Śnieg, co jeno przysypał widnokrąg daleki,
Nigdzie śladu człowieka, wydeptanej smugi,
Jakby kto przez te pola nie chodził przez wieki.
Przeciera oczy znowu i w myśli się biedzi:
Czy to sen było wszystko?... Gdzież zginęli Szwedzi?
Niema Szwedów! po Szwedach niema i poznaki,
Tylko po wałach widać zburzone baraki,
A zpod śniegu wystercza armata strzaskana,
Niby maszt rozbitego okrętu po burzy.
„Cudo!“ zawoła Jacek i raz oczy zmrużył,
To szeroko otwiera... I już wytłumaczył
Sobie, że to sen jeno miał zwodniczy zrana
O Szwedach, oblężeniu, torturach i niebie,
Gdy mu dzbanek wiszniaku w głowie przeinaczył,
Że leży w swoim łóżku na ciepłym piernacie,
Gdy nagle ruszył ręką: ba! ani rusz bracie:
Ręka boli i jeszcze sznurem przywiązana;
Rusza nogą, a noga zatrzeszczy, aż dziwo...
Patrzy po sobie – ręką przywiązaną łapie
Przed siebie: *Toć pod sobą ma swą szkapę siwą*
I sznurami widocznie skrępowan na szkapie!
Siwa łeb zwiesza nadół, a czarne jej grzywy
Śnieg ubielił i stroi ją we włos sędziwy.
Zmrużyła oczy, drzemiąc, i stoi bez ruchu:
A tu już chrzęści brona na ciężkim łańcuchu,
Otwierają się wrota, a zza wrot głos bieży
Kolędy dobrze znanej: „W żłobie Jezus leży!“
Tłum oblężonych leci z rozkosznemi krzyki:
„Jacusiu! witaj! witaj! Poszły bezbożniki!
Ksiądz przeor w refektarzu na waszeci czeka.“

Trzeba wyznać, że od tej chwili, gdy Lotową
Zdziwienie zamieniło w bryłę soli ową,
Nikt bardziej zdziwionego nie widział człowieka!
Ale któż to opisać zdoła powitanie
Znajomych, krewnych, syna, i córki, i żony:
Jak go Hanna oplotła białemi ramiony,
Bledziutka, a tak bardzo, bardzo zapłakana,
Jak brzoza, co po burzy w świetle słońca stanie!
A te krzyki, pytania te bez odpowiedzi:
„A jak się masz Jacusiu? a cóż tam ci Szwedzi?“

A ten lament, gdy Jacek odwiązan od siwej,
Upadł o ziem i nie mógł dalej stąpić kroku;
A ową wielką miłość w wszystkich ludzi oku,
Jak go mieli w staraniu i pieczy troskliwej:
Że wkrótce namaszczony cudownemi leki,
Do refektarza poszedł z hucznemi okrzyki...

21.

W refektarzu wesołą przeor ucztę dawał,
By zabawą uczciwą długi trud nagrodzić;
Pan miecznik jego zdrowia wnosić nie przestawał,
Jako wielkiego Marji i kraju obrońcy,
Aż ksiądz przeor zawołał do niego śmiejący:
„Ot! Mieczniku! gdy Marja Panna oswobodzić
Chce z biedy, wówczas daje swą łaskę przeczyście,
Nietylko przeorowi, ale organiście!“
I wprowadzając Jacka do biesiadnej sali:
„Panowie bracia, on ci nie szlachcic herbowy:
Lecz kto zdrowia dla Marji nadstawiał i głowy,
Ten wart, panowie szlachta, byście dank mu dali.“
Tu opowiedział wkrótce Brzuchańskiego trudy,
I jakiemi od śmierci wybawił się cudy.
Wtedy Miecznik z pierwszego się miejsca umyka,
Ujmuje starca, gwałtem sadza go przy sobie:
„Rycerz, mości panowie, niewart męczennika,
Bo onci w ziemskiej chodzi, ten w niebios ozdobie!
A kto dla Marji Panny wycierpiał tak wiele,
Czołem przed nim te herby, czołem karabele,
Czy go wyda chłopiański stan, czyli mieszczański!
Przeorze! twoje zdrowie pić w tej chwili miałem,
Ale on lepszym od nas udarzon udziałem,
My walczyli, on cierpiał! Więc, bracia panowie,
Wnoszę kielich: Niech żyje pan Jacek Brzuchański!“
I wszyscy duszkiem starca wychylili zdrowie...

KONIEC.

O dawnych pieśniach i o Św. Wojciechu, p. A. Września (z obrazkami) . 12
Nauka rachunków dla samouków, napisał S. Różański, wyd. 3-cie . . 20
Pogadanki o niebie i ziemi, przez H. W., wyd. 3-cie z 20 rysunkami . 20
Pogadanki o wnętrzu ziemi, z 50 rys. — p. M. Brzezińskiego. 30
Opowiadania o ciekawych rzeczach, W. Olszewskiego (wyczerp.). . . 20
Skąd się wzięły kamienie na polach naszych, nap. F. Piotrowski. . . 10
Rośliny pokarmowe w różnych krajach — B. Dyakowskiego z rysunkami 35
Brazylja, jej przyroda i mieszkańcy — p. P. Sosnowskiego z rysunkami 20
Maszyny parowe i koleje żelazne, napisał M. Brzeziński, wyd. 2-gie z rys. 10
Najważniejsze i najciekawsze zwierzęta ssące, p. M. Brzezińskiego z rys. 40
Nasi przyjaciele i wrogowie wśród ptaków, M. Brzeziński, wyd. 2-gie z rys. 25
O owadach, M. Brzezińskiego (wydanie nowe) z rys. 20
Z życia ludów starożytnych. I. Egipcjanie — p. R. M., wyd. 2, z rysunk. 12
Jan Gutenberg, wynalazek pisma i druku, przez A. Potockiego z rysunkami 12
O Krzysztofie Kolumbie i odkryciu Ameryki, p. J. S., z obrazkami . . 12
O Czechach ich kraju i życiu, — przez Antoszkę, (z rysunk.). 25
O powietrzu i zjawiskach w niem zachodzących — p. M. Brzezińskiego . 35
O morzach i lądach — M. Brzezińskiego, z rysunkami. 30
O księdzu Boduenie, opiekunie dzieci opuszczonych, — D-ra A. P. . . 6
O zaćmieniach słońca i księżyca, p. M. Brzezińskiego (z rysunkami) . . 10
Z dalekiej północy, (Norwegja, Szwecja i Danja), F. Morzyckiej z rys. 25
Upominek dla matek i gospodyń, przez Antoszkę 25
Kto to był Mickiewicz? przez H. Orszę, z portretem Mickiewicza. . . 5
O życiu i pismach Kazimierza Brodzińskiego, p. A. Ch. z rysunkami. . 10
Pieśniarz I, zbiór wierszy, pieśni i legend, ułożył F. Morzycka. 10
Nasi praojcowie przed przyjęciem chrześcijaństwa, M. Malinowskiego, 2 w. 20
Dzicy mieszkańcy Australji, p. W. Umińskiego, z obrazkami 15
Co się dzieje w ulach? p. Stefanowską, z obrazkami 15
Nauka pisania i wprawa w czytanie pisanego, p. St. Pisarzewską (książka pisana). 30
Słowianie południowi, p. Antoszkę, z obrazkami . . . . . —
Życie i pisma Fr. Karpińskiego, p. A. Chlebowską . . . . . —
Znakomici rzemieślnicy, p. H. Wernica 10
Zwyczaje i obyczaje doroczne, przez Z. Glogera . . . . . —

III. Książki lekarskie.

Jak zbudowane jest ciało człowieka, przez M. Brzezińskiego, z rysunkami 35
Co robić, aby być zdrowym i długo żyć? Dr. Zielczak, wyd. 3-cie z rys. 10
Co robić, gdy kto zachoruje? napisał Dr. Zielczak, wydanie 3-cie. . 6
Ospa i jej szczepienie, napisał Dr. A. P. z rysunkami 5
O wściekliźnie, podał dla ludu Dr. O. Bujwid. 5
Poradnik dla kobiet, które chcą być zdrowemi, napisał Dr. Zielczak . . 10
Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach, p. D-ra Bujwida 5

IV. Książki rolnicze.

Ratowanie bydlęcia odętego, napisał K. Dulęba z obrazkami 4
Tanie a dobre narzędzia rolnicze, napisał dla włościan Dulęba, z rys.. 10
Łubin, jego pożytek dla gospodarstw włościańskich, p. M. Dobrskiego. 4
O uprawie pszenicy na gruntach gliniastych wilgotnych, p. Sz. Gryffa . . 5
O hodowli świń i użytkowaniu z ich mięsa, napisał A. Śniegocki. . . . 20
O hodowli krów, Poradnik dla gospodarzy i gospodyń, A. Śniegockiego. . 25
Jak poprawiać łąki w działkach drobnych, przez A. Śniegockiego. . . 20
Koniczyny i lucerny, przez A. Śniegockiego 15
Rośliny groszkowe, przez A. Śniegockiego 10
Rośliny okopowe, tegoż. 20

Sz. 1,10 dr

BITWA POD RASZYNEM

WALERY PRZYBOROWSKI

BITWA POD RASZYNEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA
Z CZASÓW KSIĘCIA JÓZEFA

Z TYTUŁOWĄ KARTĄ RYS. KONST. GORSKIEGO

WYDANIE JUBILEUSZOWE
W SETNĄ ROCZNICĘ ZGONU
KS. JÓZEFA PONIATOWSKIEGO
1813—1913

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.
1913

ROZDZIAŁ I.

W którym czytelnicy zapoznają się z bohaterem powieści i z rotmistrzem von Lampe.

W dniu 13 kwietnia 1809 r. we dworze wsi Łęgonice, leżącej niedaleko Nowego-Miasta nad Pilicą, ruch był niezwykły. Na dziedzińcu stały karabiny żołnierskie, ustawione w kozły, koło płotów parskały konie, rzędem uwiązane u kołków, osiodłane i gotowe do marszu, na środku podwórza warzyło się jedzenie w niewielkich kotłach, kręciło się mnóstwo żołnierzy, krzyżowały się rozkazy, rozlegały się śpiewy, krzyki, brzęk szabel... Co chwila na wielki ganek dworu, wsparty na dwóch słupach murowanych, wybiegał ze środka jaki oficer, w kapeluszu z piórami, świecący cały od złota, i donośnym głosem wydawał rozkazy, po których zwykle kilku żołnierzy dosiadało koni i wyjeżdżało pędem w różne strony. Służba dworska biegała tu i tam, potrącana i szturkana przez żołnierzy, którzy przytem głośno odgrażali się po niemiecku, gdyż były to wojska austryackie, że dadzą się Polakom we znaki.

Robił się już wieczór i z niedalekiej Pilicy wznosiły się białe mgły. Od zachodu pokazało się kilka chmurek, które rosnąc coraz bardziej, wraz z zapadającą szybko ciemnością, pokryły całe niebo, i wkrótce zaczął padać drobny a gęsty deszczyk. Noc zrobiła się niezmiernie ciemna i ponura, wśród której żołnierze, kręcący się koło ogniska, na środku dziedzińca, wyglądali jak krwawe widma. Wszystkie okna dworu oświe-

cone mocno, nie mogły rozjaśnić posępnych ciemności dżdżystej nocy. Później zerwał się wicher, który miotając gałęziami drzew, nadawał całości obrazu jeszcze smutniejszy charakter.

Kiedy deszcz rozpoczął na dobre padać, wszedł z dziedzińca do dworu mały chłopiec, liczący może dziesięć lat wieku. Był to chłopczyna smukły, rumiany, z wielkiemi niebieskiemi oczami, z jasnoblond główką. Z sieni, nie namyślając się wiele, widocznie dobrze obznajomiony z rozpołożeniem dworu, otworzył drzwi na lewo i wszedł do niewielkiego pokoju, oświeconego kilku woskowemi świecami. Pod oknem, koło stołu, założonego mapami i różnymi papierami, siedziało kilku oficerów austryackich i żywą ze sobą prowadziło rozmowę.

Chłopczyna przemknął się cicho przez ten pokój, nie zwracając na siebie uwagi i wszedł przez drzwi w głębi, które to drzwi zostawił nieco otwarte, dlatego, żeby mieć trochę światła w maleńkiej, ciemnej izdebce, do której teraz wszedł. Tu namacał łóżeczko swoje i usiadł na niem, nie zapalając wcale świecy, i w głęboką pogrążył się zadumę. Wprost niego znajdowało się okno, przez które widział drzewa sadu, krwawo oświecone od wielkiego ogniska, jakie rozpalili w środku ogrodu żołnierze. W pokoiku była cisza zupełna, ze dworu tylko dochodził jednostajny plusk deszczu, gwar żołnierzy i rozmowa oficerów z sąsiedniej komnaty. Przez uchylone drzwi widział Janek, bo tak się nazywał chłopiec, koniec szabli jednego z oficerów, gorejącej wielkim blaskiem od świec. W swej samotnej zadumie patrzał się na krwawe drzewa od krwawego ogniska, na ową szablę świecącą jak roztopione srebro, nadsłuchiwał plusku deszczu i żywej rozmowy oficerów.

A miał biedaczek o czem myśleć. Sierota, żyjący na łasce bogatego stryja, który w obawie blizkiej wojny, przed kilku dniami wyjechał za granicę z całą rodziną, został Janek prawie sam jeden w tym wielkim dworze, zapomniany i porzucony na wszystkie niebezpieczeństwa czasów wojennych. Oprócz niego była jeszcze we dworze stara klucznica Boguszewska, która wobec nagłego najścia wojsk austryackich na Łęgonice, za-

jęta wydawaniem żywności, nie miała ani chwili wolnej do pomyślenia o Janku. Reszta służby rozbiegła się — w stajni tylko przy koniach był Marcin niegdyś masztalerz, dziś starzec ledwo mogący powłóczyć nogami. Nie dziw zatem, że nie miał kto myśleć o Janku. Biedny chłopczyna przepędził cały dzień na dworze, i w ogrodzie, przypatrując się żołnierzom austryackim, którzy przyszli do Łęgonic rano i gotowali się za parę dni przejść Pilicę pod Nowem-Miastem, żeby wkroczyć do Księstwa Warszawskiego. Chodząc tak, Janek przypatrywał się wszystkiemu ciekawie, żywiąc się chlebem, który udało mu się schwycić w kuchni, potrącany przez żołnierzy, nie zwracając na siebie wśród tego zamętu niczyjej uwagi. Teraz, po całodziennej włóczędze po dworze, wślizgnął się do swojej izdebki i, usiadłszy po ciemku na łóżku, znużony i głodny, zamyślał iść spać. Oczy mu się kleiły, wrzawa panująca dokoła powoli zlewała się w jeden monotonny chałas i już miał zasnąć, gdy nagle uderzyło jego słuch nazwisko księcia Poniatowskiego, wyrzeczone głośniej w sąsiednim pokoju przez oficerów.

Janek, który był chłopcem pojętnym i rozwiniętym nad swój wiek, wiedział dobrze, że książę Józef Poniatowski jest naczelnym wodzem wojsk Księstwa Warszawskiego, z któremi Austryacy właśnie gotowali się prowadzić śmiertelną walkę. Zaciekawiony, co też mogą Austryacy mówić o księciu, o którym od starego Marcina wiele słyszał, Janek podniósł głowę i nadstawił uszów. Oficerowie mówili głośno, nie spodziewali się zapewne, że ich kto słyszy, a chociaż rozmawiali po niemiecku, dla Janka nie stanowiło to trudności, gdyż dobrze znał ten język, nauczywszy się go od bony Niemki, która przyjęta do dzieci stryja, dla obznajmienia ich z niemczyzną, rozmawiała także z Jankiem po niemiecku. A że, jakeśmy już powiedzieli, chłopiec był bardzo pojętny, szybko więc nauczył się mówić tym językiem, którego dzieci stryja, mozolnie uczone, zrozumieć jeszcze nawet nie mogły. Dzięki więc temu z łatwością mógł wysłuchać, co mówią w sąsiednim pokoju oficerowie austryaccy.

— A więc tak rzeczy stoją — mówił jeden z nich

głosem podniesionym, rozkazującym, widocznie starszy między nimi — a więc, jak nam doniósł ten huncfot żyd, książę Poniatowski jest w Nadarzynie, miejscowości oddalonej stąd niespełna o ośm mil, a nawet bliżej, jeżeli udamy się bocznemi drogami, nie gościńcem...

— Tak jenerale — wtrącił inny głos — ale trzeba znać te boczne drogi. W tym przeklętym kraju łatwo zabłądzić, a wtedy...

— Mości rotmistrzu — odezwał się na to poważnie jenerał — wszystko przewidziałem i bądź pewny, że nie pobłądzisz. Otóż, moi panowie, książę Poniatowski jest w Nadarzynie, zaledwie z półplutonem ułanów, niespełna dwadzieścia koni — i nie myśląc wcale o wojnie, bawi się w najlepsze, spokojny i pewny. Na jutro nawet jest nakazane wielkie polowanie w parku Nadarzyńskim... Sam Bóg go nam daje w ręce, moi panowie. Ze schwytaniem naczelnego wodza wojsk Księstwa Warszawskiego wojna dla nas będzie prostą przechadzką — nikt nam nie będzie śmiał stawić oporu. Cel ten jest istotnie godny ofiary.

Tu mówiący jenerał odetchnął i tak dalej ciągnął:

– Waćpan, panie rotmistrzu von Lampe, weźniesz trzy szwadrony huzarów węgierskich, szwadron Pandurów i trzy działa artyleryi konnej wyruszysz stąd o godzinie dwunastej w nocy, przeprawisz się przez Pilicę po moście w Nowem-Mieście i szybkim marszem udasz się do Nadarzyna. Tu masz marszrutę. Pójdziesz drogą najprostszą na wsi: Jajkowice, Błędów, Michrów, Ojrzanów do Nadarzyna, ogółem siedem do ośmiu mil polskich. Przy szybkim pochodzie, nie zatrzymując się nigdzie, powinieneś być w tej miejscowości jutro rano o godzinie szóstej, lub siódmej najpóźniej. Rozproszysz ułanów, weźmiesz księcia Poniatowskiego do niewoli i, odpocząwszy godzinę, ruszysz do nas z powrotem, zachowując wszelkie ostrożności... Spodziewam się twego powrotu jutro, około godziny czwartej lub piątej po południu. Będę cię czekał z niecierpliwością. Tu masz mapę, przypatrz się drodze twego pochodu.

Rozległ się szelest rozwijanego papieru i chwilowa cisza zapanowała w pokoju. Łatwo zrozumieć, z jakiem

wzruszeniem wysłuchał tej rozmowy biedny Janek. Zrazu nie pojmował, o co idzie — ale wkrótce oprzytomniał i słowa jenerała austryackiego stały się dla niego jasne, bardzo jasne. Kroplisty pot wystąpił mu na czoło. Chcą porwać księcia Józefa, tego bohatera, który tyle świetnych czynów dokonał, chcą go schwytać, zakuć może w kajdany, ubezwładnić cały naród, który pozbawiony swego wodza, jak stado owiec bez pasterza, nie będzie mógł, nie będzie śmiał nigdzie stawić dzielnego Niemcom oporu! I Niemcy znów zapanują nad nami, ci Niemcy, których Janek nienawidził, o których stary Marcin w cichych wieczornych pogadankach tyle strasznych rzeczy opowiadał! Janek czuł, że wszystka krew w nim się burzy, chciał wypaść do oficerów austryackich, knujących tak niecne plany, chciał stanąć przed nimi i powiedzieć im:

— Nie, panowie, to jest rzecz niegodna rycerzy chwytać podstępnie bezbronnego nieprzyjaciela. Idźcie naprzeciw tego księcia wtedy, kiedy stanie na czele swych wojsk, walczcie z nim, a on wam pokaże, jak się to umiera z szablą w ręku, w obronie własnego kraju.

Chciał im to powiedzieć i tysiące innych podobnych rzeczy, wrzał gniewem i uniesieniem, i już podniósł się z łóżka, gdy po chwilowej ciszy odezwał się znowu poważny głos jenerała:

— Dam panu, rotmistrzu von Lampe, dobrego przewodnika, żebyś nie pobłądził w tym przeklętym polskim kraju. Przewodnikiem tym jest żyd Herszek, który doniósł mi właśnie o pobycie księcia Poniatowskiego w Nadarzynie. On pana doprowadzi bezpiecznie. A teraz — tu powstał jenerał — rozejdźmy się, panowie. Rotmistrzu von Lampe! ufam twej dzielności i odwadze, że dokonasz tego znakomitego dzieła, które zmieni losy świata. Bądź pewny, że cesarz będzie o tem wiedział i że czeka cię wielka nagroda.

— Zrobię wszystko, jenerale — odrzekł ponurym, suchym głosem rotmistrz — zrobię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy.

Gdy to rotmistrz mówił, Janek, korzystając z brzęku szabel i szelestu, spowodowanego powstawaniem ofice-

rów, przysunął się do drzwi i ujrzał rotmistrza von Lampe, kłaniającego się jenerałowi. Rotmistrz był to wysoki i chudy, jak tyczka, mężczyzna, z wielką rudą głową, takiemiż faworytami i dwojgiem maleńkich, siwych, głęboko osadzonych oczów. Z pod krzaczastych, rudych brwi patrzały te oczy chytrze, podstępnie, a na wązkich ustach wieszał się szkaradny uśmiech szyderstwa. Ubrany w jaskrawy mundur huzarski, obcisły i suto szamerowany złotem, stał wsparty na szabli i kłaniał się pokornie jenerałowi. Wkrótce ten ostatni wyszedł, a za nim i inni — i Janek został sam.

Przez chwilę patrzał nieruchomy przez uchylone drzwi na pokój, oblany jasnem światłem kilku świec, na stół, przykryty zielonem suknem, na którym walały się rozmaite papiery, na krzesła, porozsuwane w różne strony, patrzał i nie mógł zebrać myśli. Był oszołomiony strasznym projektem, którego mimowolnie dopiero co wysłuchał. Cała jego dusza oburzała się na tych rycerzy austryackich, którzy umieją tylko walczyć podstępem i chytrością.

— To nikczemne! — szeptał.

Ale wkrótce oprzytomniał, uspokoił się i począł zimno rozmyślać nad tem, co usłyszał. Przedewszystkiem widział, że trzeba koniecznie zawiadomić księcia Józefa — to było rzeczą jasną, niezbędną, jeżeli wódz nie miał wpaść w ręce nieprzyjaciela, a z wodzem kraj cały. Jakże tu jednak zawiadomić księcia? Janek, jak żyje, nigdy nie był w Nadarzynie. Siedm mil; przestrzeń ta wydawała mu się niezmierzoną. Nigdy nie wyjeżdżał z Łęgonic dalej, jak do Nowego-Miasta nie miał wyobrażenia, jak można tak wielką przestrzeń przejechać. A jednak czuł konieczność, nieuniknioną konieczność zawiadomienia księcia Józefa o zamachu, jaki na niego gotują Austryacy. Z początku chciał powiedzieć o wszystkiem Marcinowi, ale po namyśle porzucił ten zamiar. Marcin głuchy, nie dosłyszałby dobrze, a krzyczeć przecież nie można, kiedy po całem obejściu dworskiem, po całej wsi pełno żołnierzy austryackich, pomiędzy którymi jest wielu Polaków, rodem z Galicyi. Odrzuciwszy ten pomysł, jako niepraktyczny i niebezpieczny, Janek począł w głowie szu-

kać innej jakiej osoby, którejby się mógł poradzić. Ale nikogo nie znalazł, już dlatego samego, że nikogo, oprócz Marcina i klucznicy, nie było we dworze.

Wówczas postanowił sam jechać. Zerwał się z łóżka, na którem siedział i zawołał:

— Bóg tak chce — nie napróżno słyszałem tutaj cały projekt tej wyprawy. Ja pojadę — w imię Boże!

Zwawo schwycił czapeczkę, zarzucił na siebie watowany płaszczyk, przeżegnał się i wybiegł ze swej izdebki.

ROZDZIAŁ II.

W którym jest opowiedziane, jak dzielny Janek został zamknięty w piwnicy.

Kiedy Janek przebiegł przez pokój, w którym przed chwilą oficerowie austryaccy odbyli swoją naradę, zegar, zawieszony na ścianie, wybił godzinę jedenastą.

— Muszę się spieszyć — szepnął do siebie Janek — jeżeli mam uprzedzić Austryaków.

Już chwytał za klamkę od drzwi, prowadzących do sieni, kiedy przypomniał sobie, że jenerał austryacki, wydając rozkazy rotmistrzowi von Lampe, pokazywał mu mapę, na której oznaczone były wszystkie wsi, któremi podjazd miał maszerować do Nadarzyna. Wprawdzie Janek doskonale zapamiętał nazwiska tych wsi, ale pomyślał sobie, że lepiejby było mieć mapę pod ręką. Spojrzał na stół, przy którym siedzieli oficerowie, i ujrzał na nim mnóstwo papierów.

— Może tam jest i mapa! — pomyślał.

Obejrzał się trwożliwie dokoła i na palcach, z biciem serca, tłumiąc oddech w sobie, zbliżył się do stołu. Jakoż w rzeczy samej leżała na nim roztwarta mapa, a na niej czerwonym ołówkiem podkreślone były nazwiska tych wsi, któremi podjazd miał maszerować. Janek, ucieszony tem niezmiernie, żwawo złożył mapę i wsunął ją do kieszeni, poczem rozglądając się po stole, spostrzegł duży list, zapieczętowany czerwonym lakiem

i zaadresowany po niemiecku do jakiegoś pana Szulca w Warszawie.

Wziąwszy ten list Janek do ręki, począł rozmyślać:

Przecież Warszawa jest stolicą Księstwa — mówił sobie — tego Księstwa, z którem Austryacy toczą obecnie wojnę. Jeżeli więc ten gruby jenerał pisze list do jakiegoś pana Szulca, oczywiście Niemca, zamieszkałego w Warszawie, to samo się rozumie, że ten Szulc musi być w związku z Austryakami, a zatem nieprzyjacielem Polaków. Trzeba ten list zabrać i pokazać go księciu Józefowi.

I nie namyślając się wiele, wsunął list do kieszeni. W tejże chwili podniósł oczy i spostrzegł, że stoi wprost okna, wychodzącego na dziedziniec dworski, okna niczem nieosłonionego, że zatem z podwórza wszystko doskonale widać, co się wewnątrz pokoju dzieje.

— Nuż mię kto zobaczył! pomyślał Janek i śmiertelny pot go oblał, a nogi tak pod nim drżały, że musiał ręką oprzeć się o stół. Wkrótce jednak odzyskał odwagę i ruszył ku drzwiom, ale zaledwie je otworzył, kiedy spotkał w nich tłustego jenerała i wychudłą postać rotmistrza von Lampe, który patrzał na chłopca swemi maleńkiemi, siwemi oczkami i uśmiechał się szydersko. Jenerał położył na ramieniu Janka swą ciężką, tłustą rękę i rzekł:

— Halt!

A rotmistrz von Lampe zbliżył się zaraz do skamieniałego ze strachu chłopca, rozpiął płaszczyk, sięgnął ręką swą, podobną do szponów jastrzębia, do kieszeni Janka i wydobył z niej mapę i list. Uśmiechnął się szydersko i, pokazując te papiery jenerałowi, rzekł po niemiecku:

— Oto, co ukradł ten mały złodziej.

Janek, usłyszawszy tego szkaradnego rotmistrza, jak go nazwał złodziejem, zarumienił się od oburzenia. On złodziejem! on, który chce przeszkodzić niegodnej, podstępnej napaści na bezbronnego księcia, on, który chce ocalić kraj, on nazwany jest złodziejem!... Czuł, że mu wszystka krew zawrzała w żyłach. Z okiem zaiskrzonem, z rumieńcem na twarzy, ze ściśniętemi pięściami,

posunął się ku rotmistrzowi, który stał, patrzał na Janka swemi maleńkiemi oczkami i śmiał się, ale tak jakoś strasznie, tak cicho, że nie było słychać tego śmiechu wcale, poznać go tylko było można po lekkich drganiach piersi Austryaka. Kiedy Janek postąpił ku niemu, zapytał, wciąż śmiejąc się, swym suchym, ponurym głosem, zawsze po niemiecku:

— Nu... mały złodzieju, co mi powiesz?

Janek już otwierał usta, żeby wybuchnąć słowami oburzenia, kiedy nagle przyszło mu na myśl, że jeśli chce ocalić i siebie i księcia Józefa, powinien udawać, że nie umie wcale po niemiecku. Uspokoił się więc, obrzucił pogardliwym wzrokiem śmiejącego się wciąż rotmistrza, ruszył ramionami i skierował się ku drzwiom. Ale jenerał schwycił go za ramię swą ciężką, grubą łapą i krzyknął donośnie:

— Halt, du Spitzbube!

A potem dalejże mówić po niemiecku:

— Gadaj zaraz, na co ukradłeś tę mapę i ten list? hę, skąd się tu wziąłeś, łotrze jakiś? Skąd ty jesteś, hę? gadaj mi zaraz, bo zawołam żołnierzy i każę cię orżnąć jak kota.

Nachylił swą dużą, czerwoną twarz tak blizko Janka, że biedny, przerażony do najwyższego stopnia chłopiec, czuł na swojej twarzyczce dotknięcie wielkich wąsisków jenerała. Ten trzymał go wciąż za ramię, ściskając je jak kleszczami i trząsł chłopcem jak pomiotłem. Ale Janek był zuch nie lada. Nie stracił wcale przytomności i choć blady, przerażony, połykając łzy, których się wstydził, rzekł spokojnie:

— Ja nie umiem po niemiecku — ja nie wiem, co pan chce ode mnie.

— Co on mówi? — zapytał jenerał, zwracając się do rotmistrza.

— Ten ruszył ramionami i rzekł:

— Nie wiem, zapewne nie rozumie po niemiecku.

Powiedziawszy to, rotmistrz dobył zegarka, spojrzał na niego i rzekł:

— Panie jenerale, już czas na mnie — kwadrans na dwunastą, mam jeszcze wiele do załatwienia przed wyruszeniem. Proszę o mapę, która będzie mi potrzebną.

Z tym malcem — dodał, wskazując na Janka — później się pan jenerał załatwi, zwłaszcza, że trzeba będzie tłómacza. Łatwo go pan jenerał znajdzie między żołnierzami z Galicyi, tylko nie dziś, gdy wszyscy już śpią, są bardzo znużeni i szkoda ich budzić dla takiego głupstwa.

— Masz racyę, rotmistrzu — i ja sam jestem znużony bardzo — rzekł jenerał, ziewając głośno. — Masz tu mapę i jedź z Bogiem.

Podał rękę rotmistrzowi, który ukłonił się, rzucił szyderskim wzrokiem na Janka i wyszedł. Jenerał tymczasem przeszedł się parę razy po pokoju, spojrzał na stojącego wciąż nieruchomie chłopca, ziewnął, przeciągnął się niedbale i, uchylając drzwi od sieni, krzyknął głosem donośnym:

— Franc!

Na ten głos stanął we drzwiach żołnierz, ubrany po huzarsku, ogromny jak sosna, wyprostowany jak struna, z olbrzymiemi wąsiskami, z twarzą czarną i krostowatą.

— Franc — rzekł jenerał — weź-no tego małego hultaja i zamknij go gdzie dobrze na noc, a przy drzwiach postaw straż, żeby nie uciekł.

— Dobrze, panie jenerale, — mruknął Franc i zbliżył się do Janka.

— A gdzież go ty zamkniesz? tu przecież w tym polskim dworze niema więzienia — hę, gdzie go zamkniesz?

— Nie wiem, panie jenerale — mruknął znowu jak niedźwiedź Franc.

— Iii — syknął jenerał — jakiś ty głupi! no, gdzie go zamkniesz, ośle?

— Hm! panie jenerale — mruczał Franc, drapiąc się po głowie — to prawda, że ja jestem osioł, kiedy nie wiem, gdzie tego małego hultaja zamknąć.

Jenerał począł znowu chodzić po pokoju, zamyślony, poczem nagle stanął przed Francem i rzekł:

— Przecież tu musi być jaka piwnica?

— A jest, jest, panie jenerale — mruknął Franc — i tam są dobre wina, oto zaraz z sieni jest do niej

wejście, tam można zamknąć tego małego hultaja, żeby tylko...

— Co, żeby tylko?

— Ale... bo to widzi pan jenerał — mruczał Franc, przestępując z nogi na nogę — tam jest dużo, bardzo dużo wina, wybornego wina, prawdziwego Tokaju...

— Więc co?

— Więc, panie jenerale, boję się, żeby ten mały hultaj nie wypił tego dobrego, tego bardzo dobrego wina... młodzieży wino szkodzi...

— Głupiś! krzyknął jenerał.

— Ja to wiem, panie jenerale, że jestem głupi.

— Więc kiedy wiesz, to milcz i słuchaj!

Franc wyprostował się, wytrzeszczył swe duże czarne oczy i stał tak nieruchomie przy drzwiach, a jenerał mówił:

Zamkniesz tego małego złodzieja w piwnicy, rozumiesz?

— Rozumiem, panie jenerale — zamknę tego małego złodzieja w piwnicy.

— Postawisz przy drzwiach straż.

— Postawię przy drzwiach straż.

— Tylko czy on stamtąd nie ucieknie?

— Tylko czy on stamtąd nie ucieknie...

Usłyszawszy to jenerał, skoczył, tupnął nogą i krzyknął:

— Czyś ty oszalał, ośle?

— Nie, panie jenerale, nie oszalałem! — gadał Franc, prostując się coraz bardziej.

— Więc czemu powtarzasz po mnie wszystko?...

— Tak... to prawda... czemu ja powtarzam po panu jenerale wszystko? Dalibóg, nie wiem, czemu ja powtarzam po panu jenerale wszystko...

— Więc kiedy nie wiesz, to milcz.

Franc znów wyciągnął się, wytrzeszczył oczy, nastroszył swe straszne wąsiska i patrzał w jenerała, jak w tęczę. Ten ostatni mówił:

— Pytam ci się, niedołęgo, czy ten mały hultaj nie ucieknie z piwnicy?

Franc, stojąc nieruchomie, dalejże powtarzać:

— Pytam ci się, niedołęgo... — tu spostrzegł się, palnął się pięścią w usta i zawołał:

— Przebacz, panie jenerale, ale ręczę moją głową, że ten mały hultaj nie ucieknie z piwnicy. To jest, panie jenerale, sklep, budowany umyślnie na wino, na dobre wino, na prawdziwy tokaj, a takie skarby ci przeklęci Polacy umieją dobrze chować... Ja to wiem, bo mi to nie pierwszyzna...

Rozgadał się, postąpił parę kroków na środek pokoju i mruczał swym grubym głosem, machając rękami jak wiatrak.

— Do rzeczy! do rzeczy! — przerwał mu jenerał.

— Otóż, panie jenerale, ten mały hultaj stamtąd nie ucieknie, ręczę moją głową, głową huzara węgierskiego. Ja zamknę, tu od sieni, wielkie żelazne drzwi, to i mysz nie wymknie się z piwnicy. Przysięgam na to.

Nie byłby zapewne na pół pijany Franc tak uroczyście przysięgał, gdyby był w tej chwili spojrzał na twarz Janka, twarz rozpromienioną uśmiechem i lekkim wyrazem szyderstwa, zdającą się mówić:

- Przysięgaj sobie, ręcz swoją mądrą huzara głową, ale zamknij mnie tylko w piwnicy, a obaczysz, że mię już nigdy twoje oko nie ujrzy.

Tymczasem jenerał mówił:

— To dobrze, weź i zamknij tego małego hultaja w piwnicy i dla wszelkiego bezpieczeństwa postaw straż przy drzwiach. Jutro rano przyprowadzisz go do mnie, muszę się z nim rozmówić — rozumiesz?

— Rozumiem, panie jenerale.

— No, idź już — a wrzuć mu tam wiązkę słomy lub siana, żeby się miał na czem przespać, przecież to dziecko. Daj mu także chleba i pieczeni trochę, może głodny. No, idź już.

Franc skłonił się jenerałowi i, biorąc Janka za rękę, rzekł:

— Chodź, ty mały hultaju!

I mrucząc coś pod nosem, wyprowadził młodego więźnia do sieni, tu ze stołu wyjął pół bochenka chleba i potężny zraz pieczeni, owinął to wszystko papierem i wsunął pod pachę Jankowi, mrucząc ciągle, ruszając groźnie swymi wąsiskami i mrugając jednem okiem.

Potem zawołał na żołnierza, który drzemał na ławie w kącie sieni i kazał mu przynieść słomy — a gdy i ta się znalazła, wziął świecę, otworzył kłódkę u drzwi od piwnicy i, kiwając palcem na Janka, rzekł po niemiecku:

— Chodź!

Po kilku schodach zeszli do piwnicy sklepionej, mającej jedno tylko okienko w górze, mocno okratowane, zastawionej beczkami z winem, czarnej, odrapanej i wilgotnej. Franc wybrał najsuchsze miejsce na ziemi, rozesłał na niem słomę i zbliżył się do Janka z wytrzeszczonemi oczami, z groźnie nastroszonymi wąsami i kiwając wielkim, pałkowatym palcem, rzekł kiepską polszczyzną:

— Ty mala Polak, tu spać!

I zabrał się i poszedł, mrucząc jak niedźwiedź. Janek słyszał, jak Franc zamknął ciężkie drzwi za sobą, w posępnej piwnicy rozległ się zgrzyt zasuwanych wrzeciądzy, trzask zamku i biedny chłopiec został sam wśród ponurych ciemności.

ROZDZIAŁ III.

W jaki sposób Janek wydostał się z piwnicy i co ucierpiał, przechodząc przez długi, zrujnowany loch podziemny.

Janka, zamkniętego w piwnicy, ogarnęły niczem nierozjaśnione, nieprzejrzane ciemności. Z okienka tylko, pomieszczonego pod sklepieniem, wdzierał się czerwony odblask, widocznie od ogniska gdzieś w pobliżu rozpalonego przez żołnierzy i kładł się krwawą, migotliwą plamą na brudnej ścianie lochu. Przez okienko to, wbiegała także jakaś smutna, żałosna piosenka, nucona przez znudzonego żołnierza, która wśród grubych murów piwnicy przybierała jakiś posępny, ponury charakter.

Janek zostawiony sam, obejrzał się dokoła i zrazu przeląkł się otaczających go ciemności. Przypomniał sobie wszystkie historye o strachach, jakich się nieraz

nasłuchał między czeladzią, wśród długich zimowych wieczorów. Ale że był to chłopiec rozumny, więc szybko otrząsł się z niemęskiej bojaźni, mówiąc sobie, że strachów żadnych niema na świecie — owszem, zaczął się po cichu śmiać.

Śmiał się zaś z jenerała i Franca, którzy zamknąwszy go w piwnicy, myśleli, że pomieścili więźnia w pewnem i bezpiecznem miejscu.

— Jakże się zadziwią, gdy mnie tu jutro nie znajdą! — szeptał Janek, zapinając płaszczyk i chowając starannie do kieszeni chleb i pieczeń, daną mu przez Franca — co prawda, to mi się jeść chce, ale teraz niema czasu o tem myśleć. Dalej Janku — wołał chłopiec do roboty, później będziesz używał.

Janek znał dobrze wszystkie kąty dworu, bo nie mając wiele zajęcia, gdyż stryjostwo go zaniedbywali, a przytem był to z natury chłopak bardzo ciekawy, więc włóczył się po całym domu i obznajmił się z nim doskonale. W piwnicy, w której go teraz zamknięto, wiedział, że są drzwi w głębi, ukryte za wielką, staroświecką beczką od wina, teraz pustą — i że drzwi te prowadziły do długiego lochu, nieco zrujnowanego, który kończył się pod śpichrzem, stojącym na uboczu, tuż przy stajniach dworskich. W śpichrzu tym, walącym się zupełnie i opuszczonym zupełnie od lat kilkudziesięciu, były w podłodze drzwi, któremi z lochu się wychodziło. Janek wiedział o tem wszystkiem doskonale, gdyż nieraz biegał po tym lochu, zastawiając ze starym Marcinem pułapki i trutki na szczury, które gromadnie gnieździły się w lochu. Jak jedne, tak i drugie drzwi nigdy nie były zamykane — i Janek pod tym względem nie miał obawy — przerażała go tylko myśl udania się do rzeczonego lochu po ciemku, zwłaszcza, że loch był zrujnowany, w wielu miejscach zasypany gruzem i łatwo można było się potknąć o jaki odpadły od sklepienia kamień i nabić sobie potężnego guza. Nie o guza wszelako szło Jankowi, którego zresztą, postępując ostrożnie i macając dokoła rękami i nogami, łatwo można było uniknąć, ale o szczury. Szkaradnych tych stworzeń w lochu była niezliczona ilość i niekiedy tak wielkich, jak koty i tak zuchwałych, że

czasem rzucały się nawet na starego Marcina, kiedy ten spuszczał się do lochu i zabierał się do ich przepłoszenia. Lękał się więc, i słusznie, Janek, że wstąpiwszy do piwnicy po ciemku, bez żadnej broni, może być napadnięty przez te dzikie zwierzęta, zwłaszcza, jak poczują pieczeń i chleb w jego kieszeni. Na myśl, że może uledz losowi króla Popiela, zimny pot występował na czoło chłopca. Ale nie było rady. — Jeżeli miał spełnić swój wzniosły zamiar, to musiał się koniecznie wydobyć ze swego więzienia i to zaraz, gdyż czas uciekał, czas, którego każda chwila miała dla chłopca nieocenioną wartość. Szczytny ten zamiar ożywił go, natchnął odwagą.

— Bylem dostał się do śpichrza, to już reszta jest fraszką — mówił sobie Janek — w śpichrzu jest mnóstwo dziur, oka są wybite, łatwo będzie wydobyć się na zewnątrz — a więc w imię Boże marsz!

Otulił się płaszczykiem, gdyż w wilgotnej piwnicy było chłodno, a może drżał od wzruszenia, puszczając się w niebezpieczną drogę, i macając rękami koło ściany, w której były owe drzwi prowadzące do lochu, począł się posuwać ostrożnie naprzód. W chwili, kiedy wciskał się za ową staroświecką, olbrzymią beczkę, o której wyżej mówiliśmy, potrącił nogą przedmiot jakiś, leżący na ziemi, który z brzękiem potoczył się dalej. Janek zaciekawiony, coby to było takiego, schylił się i po omacku natrafił na długi, blaszany lejek, widocznie używany dawniej do toczenia w butelki wina z owej olbrzymiej beczki. Lejek był jeszcze mocny i w wypadku, w jakim się znajdował chłopiec, mógł stanowić jaką taką broń przeciw szczurom. Ucieszony niezmiernie tem odkryciem, Janek podziękował w duchu Bogu za pomoc, przeżegnał się i śmiało ruszył naprzód, pełen najlepszej otuchy.

Z łatwością znalazł za beczką ukryte drzwi i pchnął je mocno. Otworzyły się z przeraźliwym zgrzytem na zardzewiaych zawiasach i z łoskotem uderzyły o ścianę lochu. Łoskot ten i zgrzyt w ciszy, jaka panowała w piwnicy, rozległ się jak piorun, odbijając się długiem echem po czarnym, jak piekło, lochu. Janek, przestraszony, żeby tego niespodziewanego hałasu nie usły-

szeli żołnierze, zatrzymał się, dławiąc oddech w piersi i nadstawił uszów. Ale cisza panowała jak przedtem, tylko dobiegała do przerażonego chłopca owa smutna, żałosna piosnka żołnierska, którą już przedtem słyszał.

Z lochu wiało stęchłe, przesiąknięte wilgocią powietrze i rozlegał się ponury szmer biegających szczurów, połączony niekiedy ze szkaradnym piskiem. Janek wstrząsł się z obrzydzenia, ale puścił się śmiało naprzód. Szedł ostrożnie, z wyciągniętą przed siebie ręką, gdyż wiedział, że niedaleko od wejścia sklepienie lochu zapadło się nieco i można było o nie uderzyć głową — również nogą próbował wprzód gruntu, nim stąpił, gdyż obawiał się upaść. Upadłszy bowiem, mógł być oskoczony przez szczury, których gromady z głośnym szelestem uciekały przed nim — na jednego nawet nastąpił, a szkaradne stworzenie zapiszczało tak przeraźliwie, że Janek wzdrygnął się cały.

W miarę posuwania się naprzód, droga stawała się coraz trudniejszą. Na ziemi coraz gęściej leżały odpadłe od sklepienia kamienie; parę razy Janek uderzył tak mocno głową, że aż świeczki mu zabłysły w oczach, a szczury były coraz liczniejsze, coraz natarczywsze. Zuchwałe te i drapieżne stworzenia z początku wskakiwały mu na nogi, tak, że musiał je strząsać, później z szybkością i zwinnością, właściwą sobie, wdrapywały mu się na piersi, tak, że rękami je spychał. Jeden nawet stanął mu na ramieniu, a pod nogami co chwila nadeptywał na te obrzydliwe i ślizkie cielska. Walka z gromadą tych zwierząt stawała się z każdą chwilą cięższą i trudniejszą. Janek, posuwając się z wszelką ostrożnością, gdyż upadek mógł stać się śmiertelnym, bił szczury uderzeniami lejka, rozpędzał je potężnem kopnięciem nogi i szedł dalej. Na chwilę nawet nie stracił przytomności i nie zachwiał się w swem przedsięwzięciu.

Idąc tak i miarkując z czasu, gdzie się mniej więcej znajduje, wiedział, że za chwilę loch zakrzywi się pod kątem prostym i że zaraz potem będzie jedyne okienko, oświecające tę ponurą miejscowość, oraz że pod tem okienkiem jest najniebezpieczniejsza w całym

lochu droga. Niebezpieczeństwo to polegało mianowicie na tem, że w tem miejscu sklepienie dolne lochu zapadło się i utworzyła się tam przepaść, prawdopodobnie prowadząca do innych, głębszych piwnic, całkiem Jankowi nieznanych. Dwór w Łęgonicach stał na gruntach dawnego zamku i ludzie mówili, że jest tam mnóstwo lochów, piwnic, galeryj podziemnych, prowadzących aż do samej Pilicy. Janek słyszał o tem nieraz i zawsze przechodząc około owej przepaści pod okienkiem, drżał z bojaźni, żeby tam nie wpaść; i jeżeli przy świetle, w obecności starego Marcina droga tamtędy nie była zbyt bezpieczną, o ileż teraz stawała się niebezpieczniejszą wśród nieprzejrzanych ciemności, w upartej walce z gromadą coraz zuchwalszych szczurów!

Janek jednak nie tracił odwagi — westchnął sobie do Boga i posuwał się dalej. Stanął nakoniec przy owem zagięciu lochu, to jest w połowie drogi, i ujrzał, jak z okienka padał na przeciwległą ścianę krwawy odblask od ognisk żołnierskich, rozłożonych na dziedzińcu dworu. Na tym wązkim, kwadratowym pasie światła, roiły się czarne gromady szczurów, poprzyczepiane pazurami do ściany. Ze wstrętem odwrócił oczy od tego widoku i trzymając się muru, postępował naprzód, opędzając się ciągle szczurom. Nieszczęściem, już niedaleko okienka, Janek, chcąc jak najprędzej wydobyć się z tego okropnego miejsca, przyśpieszył kroku i zaniedbując dotąd zachowywaną ostrożność, stąpnął źle, natrafił na gruzy, potknął się i upadł. Przy upadku tym lejek wysunął mu się z ręki, jedyna broń, jaką posiadał, i która była droższą dla niego w tej chwili od wszystkich skarbów świata. Co gorsza jednak, co straszniejsza, szczury obskoczyły go dokoła, wdrapały się gromadnie na plecy, czuł, jak plączą się w jego bujnych włosach, piszcząc przeraźliwie. Zerwał się wprawdzie zaraz, otrząsnął z obrzydłych tych stworzeń, które padały na ziemię z głuchym łoskotem, rękami poodrywał je od włosów — gdy wtem nagle uczuł, że jeden szczur dostał się pod płaszczyk i drapie go po piersiach.

Biedny chłopiec w śmiertelnem przerażeniu krzyknął

mimowolnie, rozerwał gwałtownie płaszczyk i zrzucił zuchwałego szczura. Odetchnął, ale zaraz przestraszył się własnym krzykiem, który powtórzony tysiącznem echem w pustym i długim lochu, rósł do potęgi gromu. Jakoż na świetlnej plamie na murze zarysował się jakiś cień i Janek wyraźnie usłyszał słowa żołnierzy mówiących po niemiecku:

— Słyszałeś Hans ten krzyk?

— Słyszałem.

— To tu, za tem okienkiem ktoś krzyczał... tam jest piwnica, tam ktoś być musi.

— A może i jest kto — odrzekł drugi.

— Hm! trzebaby dać znać kapitanowi.

— Ej, po co... głupstwo, lepiej śpijmy. Może nam się zdawało, teraz jest cicho... deszcz leje jak z cebra, mogło nam się przewidzieć.

— Ha, może — śpijmy!

Janek podczas całej tej rozmowy, stał, przytulony do ściany, drżący jak liść osiczyny, tamując oddech w piersi, przerażony do najwyższego stopnia. Czuł, że mu łzy cisnęły się do oczów — przypomniał sobie swą nieboszczkę matkę, która go tak kochała, tak pieściła niegdyś, przypomniał wygodne łóżeczko w swem dzieciństwie, łóżeczko, w którem pod opieką tej drogiej matki zasypiał taki spokojny, taki bezpieczny. Jakaż różnica z tą straszną nocą, w tym ponurym lochu, wśród gromady zajadłych szczurów, z niebezpieczeństwem zdradzenia się na każdym kroku! Potem wspomniał sobie o wielkim celu, do którego dążył, westchnął do swej matki, która tam zapewne z nieba patrzy na niego — i ożywiony nową odwagą i nadzieją, przeczekawszy jeszcze chwilę, ruszył śmiało naprzód.

Już teraz wszystko poszło mu dobrze. Szczęśliwie przesunął się koło zapadniętego sklepienia lochu i wydostał się na drogę równiejszą, znaną sobie dobrze, gdyż tutaj najczęściej bywał z Marcinem. Zresztą sam loch w tej swojej części był lepiej zachowany. Gruzów było znacznie mniej i Janek mógł śmielej, a nadewszystko szybciej postępować — co było rzeczą konieczną, gdyż głód, zmęczenie, wzruszenie i przestrach, oraz brak świeżego powietrza tak go osłabiły, że z nad-

zwyczajnem tylko natężeniem mógł jeszcze opędzać się szczurom i iść naprzód.

Oblany zimnym potem, parę razy musiał się dzielny nasz chłopiec zatrzymywać, i wsparty o wilgotną, porosłą mokrymi grzybami ścianę, chwytał gwałtownie stęchłe, niezdrowe powietrze lochu. Nakoniec dostał się do spróchniałych schodów, prowadzących do drzwi w podłodze śpichrza, ale był tak osłabiony, że nie mógł podnieść tych drzwi, ciężkich, dębowych, gęsto okutych żelazem. Usiadł sobie na schodach, obtarł czoło, zroszone obficie kroplistym a zimnym potem, i odpoczął nieco. Już teraz nie walczył z dawną energią ze szczurami, których wprawdzie w tem miejscu było mniej, ale za to były równie natarczywe — strząsał je tylko ze siebie ze wstrętem, który go dreszczem przejmował, wiele razy uczuł na sobie ślizkie, szkaradne ciało tego stworzenia.

Nakoniec odpoczął sobie nieco — posunął się pod drzwi i natężając ostatek sił, zdołał je podnieść i wydobyć się do śpichrza. Czas był już wielki, gdyż biedny Janek ledwie oddychał — i padł prawie nieżywy na podłogę. Ale ubezwładnienie to niedługo trwało — świeże, chłodne powietrze, dostające się do wnętrza tej rudery przez wybite okna i mnóstwo dziur w ścianach, przywróciło chłopcu obieg krwi, a cel święty ożywił go i natchnął energią. Wstał, podziękował z głębi duszy Bogu za ocalenie, przymknął ciężkie drzwi od lochu i przez okno wyskoczył na tyły dworskich zabudowań, gdzie wiedział, że żołnierzy austryackich niema i że go zatem nikt nie zobaczy.

ROZDZIAŁ IV.

Przygody Janka w podróży do Nadarzyna i smutny koniec wronego konika.

Z jakąż radością znalazł się Janek na wolności, wśród drzew, które szemrały pod chłostą nieustannego drobnego deszczu! Oddychał pełną piersią, rozkoszował się

widokiem tej wietrznej, dżdżystej i zimnej nocy, która przy całym swym smutku o ileż była weselszą i piękniejszą od ponurych ścian lochu, pełnego stęchłej woni i szczurów! — Jakiż ten świat jest miły, mój Boże!.. — szeptał Janek, wciągając do piersi wiosenne, świeże, nasycone wilgocią powietrze.

Ale nie było czasu na rozmyślania i zachwycania się pięknościami tego świata — trzeba było działać, jeżeli wszystkie dotychczasowe cierpienia miały mieć cel jaki i miały się na co przydać. Miejsce, na które Janek wyskoczył z okna śpichrza, było w tyle zabudowań dworskich, pokryte gęstą murawą, ocienione kilku staremi i robaczywemi wierzbami, z których woda ciurkiem ciekła na rozpaloną twarz chłopca. Było tu zupełnie pusto i cicho, gdyż zaraz zaczynały się orne pola.

Janek, który postanowił sobie dostać się do stajni, osiodłać tam niewielkiego konia, wronego kucyka, na którym zwykle jego brat stryjeczny jeździł, musiał więc okrążyć zabudowania dworskie, przejść dziedziniec, napełniony żołnierstwem, i nakoniec w stajni wytłómaczyć się przed starym Marcinem, który tam sypiał, dlaczego siodła kuca, i dokąd chce jechać.

Idąc, rozmyślał Janek, co ma powiedzieć Marcinowi, ale żaden wybieg nie przychodził mu do głowy, choć natężał swą myśl, tak, że w końcu począł się obawiać, żeby cały jego plan nie rozbił się o tę przeszkodę.

— Chyba Marcinowi wszystko powiem — mówił sobie — inaczej bowiem nie da mi kuca a i tak zapewne mi nie da. A jednakże ja muszę jechać! Zresztą w jaki sposób ja będę tłómaczył się Marcinowi, kiedy on głuchy, choć strzelaj z armat.

Spuszczając się więc na Opatrzność Boską, która go dotąd prowadziła, Janek szedł dalej. Właśnie wchodził na dziedziniec, kiedy koło niego przebiegł rotmistrz von Lampe na czele jazdy, za którą ciągnięto dwie armaty. Chłopiec ukrył się za drzewo, nie chcąc, by rotmistrz go spostrzegł i przeczekał, aż cała ta masa wojska przejdzie, dopiero potem ruszył ku stajni. Widział teraz, że trzeba mu się bardzo spieszyć,

jeżeli miał uprzedzić Austryaków w Nadarzynie — nie wątpił jednak o tem, byle za kilka minut mógł wyjechać. Niespokojny więc nadzwyczajnie, z biciem serca, łatwo wytłómaczonem, przesunął się między biwakami śpiących żołnierzy i niezatrzymany przez nikogo, dostał się do stajni, którą, na wielkie swoje zdziwienie, zastał otwartą. W stajni nie było nikogo, oprócz chrapiących głośno ordynansów wojskowych, pilnujących niby koni jenerała i oficerów — Marcina zaś wcale nie było.

Uradowany tem niezmiernie pobiegł tam, gdzie stał wspomniany już przez nas kucyk, znalazł go na miejscu, drzemiącego nad żłobem, wyszukał siodła i uzdeczki, żwawo okulbaczył i okiełznał i wyprowadził na dziedziniec. Wszystko to nie zajęło mu i pięciu minut czasu, tak się spieszył, tak gorączkowo pracował. W chwili, gdy wskoczył na siodło i osadzał się dobrze w strzemionach, rozległ się tuż za nim głos starego Marcina:

— A gdzie to panicz jedzie po nocy?

Zimny dreszcz przebiegł po całem ciele Janka. Jak tu odpowiadać Marcinowi, kiedy w pobliżu leżało kilku żołnierzy, patrzących się spokojnie na to widowisko. Postanowił więc nic nie odpowiadać, uchylił tylko czapeczki, ukłonił się zdziwionemu Marcinowi i zawoławszy:

— Bądź zdrów, Marcinie! — pognał galopem za bramę.

Jakże był szczęśliwy, kiedy znalazł się sam jeden na bocznej drodze, za dworem już i za wsią. Kucyk jego, dzielny konik, wronej maści, rwał jak wicher naprzód, kontent, że po długim odpoczynku w ciasnej i cuchnącej stajni mógł się przewietrzyć trochę. Pędził więc wyciągniętym galopem, parskając wesoło, a wilgotna, rozmokła od deszczu ziemia bryzgała mu z pod kopyt wysoko. I Janek był wesoły i szczęśliwy, a nadewszystko dumny z siebie, że po zwalczeniu tych przeszkód zdołał nakoniec plan swój doprowadzić do skutku. Teraz zależało wszystko od szybkości, od tego, kto pierwszy stanie w Nadarzynie, czy nasz bohater, czy rotmistrz von Lampe. Janek nie wątpił ani na chwilę, że jeżeli mu nowe, nieprzewidziane przeszkody

nie zajmą drogi, będzie tam pierwszy, najprzód dlatego, że będzie jechał prędzej, co najmniej kłusem, a powtóre, że uda się krótszą drogą za Pilicę. Nie puścił się on bowiem gościńcem na Nowe-Miasto, gdzie był most i którędy udał się rotmistrz, ale wprost, boczną drogą do brodu, który znał dobrze i który nieraz przebywał. Choć więc Austryacy wcześniej wyruszyli, on, pędząc galopem i drogą prostszą, uprzedzić ich znacznie musi.

Jakoż znalazł się wkrótce nad rzeką, która poważnie i z pluskiem toczyła swe mętne wały. Ostrożnie, wolno wjechał w jej koryto i w kilka minut znalazł się szczęśliwie na drugiej stronie. Drogę do Jajkowic, pierwszego etapu, naznaczonego przez jenerała rotmistrzowi von Lampe, Janek znał dobrze, gdyż był kilka razy w tej wsi ze stryjaszkiem z wizytą. Ruszył więc śmiało galopem.

Jeszcze trochę, mój kucyku — mówił Janek, głaszcząc parskającego konia po łabędziej szyi — jeszcze trochę, byleśmy dopadli do Jajkowic, to już potem pojedziemy sobie kłusem.

Pędził więc Janek, smagany wiatrem i drobnym deszczem nielitościwie. Noc była ciemna i ponura, droga, rozmiękła deszczem, jak najgorsza, biedny kucyk zapadał nieraz w błoto po pęciny, ale zachęcany głosem Janka, rwał dalej. Wkońcu widocznie ustawał — oblał się cały pianą i jeszcze przed Jajkowicami Janek musiał mu pozwolić odetchnąć trochę. Jechał więc wyciągniętym stępem, czem się zresztą nie martwił, gdyż w każdym razie znacznie wyprzedził Austryaków, którzy na swych ciężkich koniach i z armatami, po grzęzkiej drodze zapewne nie zbyt mogli pospieszać.

Pod tym więc względem był Janek spokojny — ale przemyśliwał ciągle, jakimby sposobem można się wywiedzieć o drogę do Błędowa, drugiej stacyi, wyznaczonej przez jenerała, drogę, której Janek całkiem nie znał, gdyż znajomość jego tych stron kraju kończyła się na Jajkowicach.

Gdybym był dorosłym mężczyzną — myślał sobie — zapukałbym do pierwszej lepszej chałupy w Jajkowicach i musianoby mi pokazać drogę — ale taki

dzieciak jak ja, wśród nocy, sam jeden zwracam na siebie uwagę i budzę podejrzenie. Gdybym się pytał, jeszczeby mię zatrzymano.

Tak bijąc się z myślami i nie mogąc wymyślić żadnej rady na swój kłopot, wjechał Janek w długą i cichą o tej godzinie ulicę wsi. Wszystkie chałupy były zamknięte, wszędzie ciemno i głucho, od czasu do czasu tylko pies zaszczekał i nic więcej. Smutno i pusto było dokoła. Deszcz, kropiąc nieustannie, potworzył na twardszym gruncie ulicy wiejskiej kałuże, na których od pluskającego deszczu powstawały wielkie bańki. Jankowi znowu zrobiło się przykro na sercu wśród tego smutku i pustki, jaka go otaczała — nie wiedział, gdzie się obrócić, gdzie ruszyć, a czas naglił, gdyż dalej nie mógł zbytecznie pędzić kucyka, jak to dotąd czynił, albowiem robiło już biedne konisko bokami i mogło paść na drodze. Należało go więc oszczędzać i jechać wolno, ale ciągle, nie tracąc ani chwili czasu, a tu bohater nasz nie wiedział, gdzie się zwrócić.

Ale Bóg opiekował się dzielnym chłopcem, który dla świętego zamiaru ocalenia głowy narodu, poświęcił się na tyle przygód, i zesłał mu pomoc. Kiedy Janek był już na końcu wsi i przystanął na chwilę, zamyślając się, którą z dwóch dróg się udać, a które w tem miejscu się krzyżowały, nagle usłyszał skrzypienie kół i pluskanie koni po błocie. Widocznie ktoś jechał — jakoż wyraźnie zaraz potem usłyszał głos: a wio łysy!

Wstąpiła w chłopca otucha i czekał, aż wózek nadjedzie. Wkrótce ujrzał go, a zbliżywszy się, zobaczył siedzącego na wozie jakiegoś mężczyznę, szczelnie otulonego w burkę i z kapturem na głowie. Podjechawszy do wózka, Janek rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! a którędy się tu jedzie do Błędowa?

— Na wieki wieków! — odezwał się gruby głos z pod kaptura, z którego wyjrzała zaraz jakaś brodata głowa — do Błędowa? a prosto przed siebie, jak strzelił.

— Bóg zapłać — zawołał Janek i, nie czekając na dalsze pytania, ruszył wyciągniętym kłusem naprzód.

Jadąc, dziękował Bogu z głębi duszy, cieszył się serdecznie i wołał:

— Wio! wio! wrony!

A wrony, odpocząwszy sobie nieco, przebierał szybko nogami i pędził dobrym kłusem. Wkrótce też niebo poczęło się rozjaśniać i deszcz ustał, co było na rękę Jankowi, gdyż płaszczyk mu nieco przemókł i chwilami dreszcze chłopca przejmowały. W radości przypomniał sobie, że mu się jeść chce, że prawie cały poprzedni dzień nic w ustach nie miał, że trzeba nakoniec posilić się trochę. Dobył więc z kieszeni chleba i kawał pieczeni i zajadając smacznie, śmiał się i mówił:

— Niech Bóg wynagrodzi poczciwego Franciszka, że mię tak zaopatrzył na drogę, na swoją biedę. Dostanież on jutro od jenerała *pater noster,* jak zobaczą, że mnie niema w piwnicy. Ha! ha! ha! wyborna pieczeń, baranina z czosnkiem... Dawno już takiego przysmaku nie jadłem. Gdyby nie Franc, byłoby mi głodno i chłodno teraz. Niech żyje poczciwy Franc! — wołał Janek w uniesieniu radości.

Potem, zaspokoiwszy głód, począł nucić żołnierską piosnkę, której nauczył się od Marcina:

»Hej tam w karczmie za stołem,
Siadł przy dzbanie Jan stary.
Otoczyli go kołem,
On tak prawił do wiary...« i t. d.

A głos Janka wśród ciszy nocnej rozlegał się daleko — a wrony konik czesał dalej raźno. Wkrótce też dojechał do Błędowa, o czem dowiedział się od pastuszka, który odziany płachtą, gnał bydło na paszę. Świt się już robił i na wschodzie niebo rumieniło się jak jabłuszko — a reszta czarnych, deszczowych chmur nocnych uciekała ze wstydem przed majestatem wschodzącej gwiazdy dziennej. Jankowi wraz z poczynającym się dniem zrobiło się weselej — był teraz pewny siebie, spokojny, że dopnie szczytnego celu.

Od tegoż pastuszka dowiedział się Janek, którędy jechać trzeba, żeby się dostać do Michrowa. W Błędowie, przez który przejeżdżał, już ruch się robił — wieśniacy z pługami wyjeżdżali na pola i zoczywszy Janka,

przystawali, żeby się popatrzeć na małego chłopca, jadącego samotnie i zapewne dziwili się temu. Ale Janek szybko przejechał przez wieś i zaraz potem zapuścił się w las, w którym zniknął z oczów ludzkich.

A w lesie jakież życie ujrzał wraz z budzącym się dniem Bożym! Na liściach wspaniałych dębów i olch zwieszały się wielkie krople rosy i deszczu, podobne do pereł — w kroplach tych światło wschodzącego słońca, przeglądając się, tworzyło cudowną grę kolorów, wszystkich barw tęczy. Powietrze było czyste, świeże, nasycone aromatem żywicy, pełne zapachu roślinności wiosennej. Po drzewach świergotały ptaki, kukułka gdzieś w głębi lasu kukała wesoło, dalej rozlegało się stukanie dzięcioła w wypróchniałe drzewo. Od czasu do czasu Janek spotykał pod drzewami wiewiórki, które za zbliżeniem z szybkością wbiegały na szczyty najwyższych sosen i przeskakując zręcznie z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo, ginęły w mrocznej jeszcze głębi leśnej.

Na polach znowu, za lasem, widział Janek pod złotymi promieniami wiosennego słońca pługi, orzące glebę, przypatrywał się zielonym i bujnie wzrosłym zbożom, które, jak szmaragdowe kobierce rozkładały się dokoła. Z nizin, ogrzane słońcem, wznosiły się białe mgły, tuląc dalsze widoki, niby gazą z muślinu. Niekiedy dostrzegał Janek na skraju horyzontu, na lazurowem tle nieba, rysującą się sygnaturkę kościółka wiejskiego, białe dwory i błękitne lasy. Wszystko to dla niego było czemś nowem, czemś nieznanem, czemś, co go zachwycało.

Tak jadąc, już dobrze na dzień, mogła być ósma może godzina, spotkał idącego drogą wieśniaka i spytał go się, czy daleko jeszcze do Nadarzyna, który według obliczeń Janka winien już być blizko, zwłaszcza, że minął już nietylko Michrów, ale i Ojrzanów.

— A niedaleko, paniczu — odrzekł wieśniak — będzie z pół mili.

Przyspieszył więc Janek bieg kucyka, rad, że ta podróż, która go dobrze zmęczyła, prędko się skończy. Właśnie wjechał na wzgórze, przez które szła droga i chcąc się przypatrzyć okolicy, obejrzał się za siebie.

Skamieniał. Z lasu, oddalonego od niego może o jakie dwie wiorsty, wysuwa się konnica, a szable jej, blachy na kołpakach, świecą pod słońce jak roztopione złoto. Straszna myśl przebiegła przez głowę Jankowi.

— To huzary węgierskie!

A oni jadą, jadą i coraz więcej wysuwają się z lasu, tocząc się przez drogę, jak świetny, błyszczący wąż. Spotkali wieśniaka, z którym przed dziesięciu minutami Janek rozmawiał, zatrzymali, otoczyli go dokoła, widocznie o coś się wypytują.

— Nie mam tu czego czekać — szepnął Janek — w nogi.

Uderzył kucyka i galopem zjechał z góry. Pędzi, zachęca konia głosem i biciem i ogląda się co chwila. Patrzy, huzary już na wzgórzu. Janek drży, żeby go nie spostrzegli i nie puścili się za nim, gdyż niechybnie dogoniliby go na swych wielkich, dzielnych koniach. Szczęściem droga się zakręcała i otaczały ją tu po obu stronach wielkie, rozłożyste topole, które jadącego zasłoniły przed okiem nieprzyjaciela. Kucyk rwie dalej, ale Janek czuje, że ustaje, chrapie straszliwie i widocznie ostatek sił dobywa, jednak leci dalej.

— Chwała Bogu! — szepcze Janek. — Już Nadarzyn niedaleko.

Jakoż wieś już było widać, ukrytą w gromadzie drzew, nad które wyglądały szczyty pałacu, ozłocone słońcem. Jeszcze trochę wysileń, a za pięć minut młody jeździec będzie we wsi. A tu już huzary wjechali między topole — kucyk coraz wolniej się posuwa, chrapie okropnie, chwieje się, skoczył konwulsyjnie i padł.

Janek stanął na ziemi, usiłuje podnieść biedne zwierzę, któremu posoka z nozdrzy się leje — napróżno! Jeszcze raz biedny kucyk spojrzał na Janka okiem pełnem smutku, zadrżał, chciał się zerwać i... skonał. A huzary coraz bliżej!...

ROZDZIAŁ V.

Przybycie Janka do pałacu, rozmowa z księciem Józefem i krwawa bitwa.

Przerażenie i rozpacz Janka, kiedy ujrzał swego dzielnego konika, padającego trupem ze znużenia i błyszczące szeregi huzarów, ukazujące się w alei była ogromna. I trzebaż jeszcze, że go to wszystko spotkało prawie tuż przy Nadarzynie, prawie u celu podróży, kiedy jeszcze dziesięć minut wysileń, a stanąłby przed księciem i ocalił go. Teraz wszystko napróżno — nadaremną jest niebezpieczna droga przez loch podziemny, posępna i obrzydła walka ze szczurami, nadaremną mozolna podróż, nadaremną i bezowocną śmierć kucyka. Za kilka chwil nieprzyjaciel stanie przy Janku, stanie w Nadarzynie nadewszystko i porwie księcia Józefa.

Na tę myśl wszystka krew uderzyła do głowy chłopca.

— Nie! — zawołał — trzeba jeszcze jedną zrobić próbę.

Spojrzał na huzarów — zatrzymali się i na obie strony drogi powysyłali oddziały, które rozwijając się szybko, widocznie zamierzały wieś dokoła otoczyć. Janek widział, jak wielkie ich i ciężkie konie grzęzły w rozmokłej przez całonocny deszcz ziemi, jak wskutek tego mogli tylko bardzo wolno i z wielkim trudem się posuwać. Nadewszystko ucieszyło go to, że główny oddział na gościńcu, wysadzonym topolami, stał nieruchomy.

— Mości książę — zawołał Janek, potrząsając swą czapeczką — jesteśmy ocaleni. Nim te żaby austryackie wygrzebią się z błota, ja już będę w Nadarzynie i ostrzegę księcia. A więc w imię Boże, naprzód!

I zostawiwszy drgające jeszcze w przedśmiertnych konwulsyach zwłoki kucyka, Janek puścił się biegiem, co mu tylko sił starczyło, do wsi. Biegł wciąż wielką, szeroką drogą, wysadzoną smukłemi topolami i wierzbami i co chwilę oglądał się poza siebie, czy czasem nieprzyjaciel go nie goni. Ale huzarzy stali spokojni,

nieruchomi, a słońce przeglądało się w złotych blachach ich kołpaków, w błyszczących pochwach ich szabel — boczne zaś oddziały posuwały się powoli dokoła wsi. We wsi zaś samej, do której Janek dostał się już nakoniec, spostrzegać się dawał pewien niepokój. Ujrzano widać jazdę, otaczającą wioskę i poczęto się niepokoić, ale nikt jeszcze nie przypuszczał, jak straszna katastrofa grozi księciu. Nie wiedziano nawet, co to za jazda, nie spodziewano się niczego podobnego, bo choć mówiono o blizkiej wojnie z Austryakami, ale wojna ta jeszcze nie była wypowiedziana, któż więc mógłby uwierzyć w nagły napad na wzór dzikich ludzi, a nie ucywilizowanych narodów. Dlatego ten i ów z mieszkańców wybiegał na drogę, żeby przypatrzeć się bliżej ukazującej się kawaleryi, a na ulicy wioski stały gromady kobiet i rozmawiały ze sobą głośno. Wogóle, wiedząc o pobycie księcia Józefa w pałacu, sądzono, że to jaki oddział polskiej jazdy przybył do Nadarzyna. Spokój więc niczem jeszcze nie był zakłócony.

Janek tymczasem biegł ciągle naprzód, nie zatrzymując się wcale, z okiem wlepionem w dach pałacu. Gromadki kumoszek, stojących na środku ulicy, patrzyły ze zdziwieniem na tego chłopca, biegnącego ze wszystkich sił, zziajanego, z okiem iskrzącem, z włosem rozwianym, obryzganego błotem — i najrozmaitsze wnioski wysnuwały. Tu i ówdzie nawet pytano go się, czemu tak biegnie — ale Janek nie odpowiadał, nie zważał na nic, zajęty jedynie swoim zamiarem.

Stanął wreszcie przed bramą pałacu, rozwartą na oścież i widzi — na obszernym dziedzińcu stoi pluton polskich ułanów w wyciągniętym szeregu, a wiatr miota leciutko trójbarwistemi ich corągiewkami. Na dużym ganku, pod kolumnadą, otoczony kilku oficerami, stoi książę Józef i wydaje rozkazy. Widocznie doszła go już wieść o zbliżaniu się jakiegoś wojska pod Nadarzynem — więc rozkazuje:

— Porucznik Ziembowski weźmie pół plutonu i pojedzie dowiedzieć się, co to za wojsko.

Janek słyszy ten rozkaz i dziwi się spokojności księcia i otaczających go wobec grożącego im straszliwego niebezpieczeństwa. Prawdopodobnie nie przypuszczają

nawet, żeby to mogli być Austryacy. Na ganku obok księcia kręci się mnóstwo kobiet, w jasnych, strojnych sukniach i wesoło rozmawia z oficerami, a śmiechy ich Janek słyszy w bramie pałacowej.

Chłopiec nasz nie może oderwać oczów od księcia. Poznał go odrazu, gdyż u stryja był jego portret. Patrzy więc z zachwyceniem na tę wysmukłą postać bohatera narodowego, odzianą w śliczny granatowy mundur ułański, strojny w srebrne szlify, w amarantowe obszlegi i rabaty. Na bujnych, ciemnych włosach książę miał z fantazyą włożoną ułankę, u której biało-amarantowa kitka chwiała się za każdem poruszeniem głowy. Książę stał na ganku, oparty na szabli i patrzał, jak porucznik Ziembowski komenderował, żeby półpluton zwinął się w dwójki.

W tej chwili Janek, który ocknął się z zachwytu na widok pięknej, bohaterskiej postaci księcia Józefa, przecisnął się między końmi ułanów, dobiegł do ganku i stanął wprost wodza. Zdjął czapeczkę z głowy i zawołał:

— Mości książę, uciekaj. To wojsko, o którem mówisz, to Austryacy. Wczoraj wieczorem wyszli z Łęgonic pod Nowem-Miastem, żeby ciebie schwytać. Jest ich ogromnie dużo, trzy szwadrony huzarów, szwadron pandurów i trzy armaty...

Wymówił to jednym tchem i zatrzymał się na chwilę, żeby złapać nieco powietrza. Spojrzał na księcia i otaczających go i zarumienił się jak wiśnia. Zmieszał się biedaczek — wszyscy mieli w niego wlepione oczy, na każdej twarzy rysował się wyraz podziwu. Sam książę tylko nie zmienił się — jego piękna, rycerska twarz była równie spokojna, łagodnie uśmiechnięta, jak przed chwilą, kiedy rozmawiał z jakąś piękną panią, która obok niego stała. Swe duże, szeroko rozwarte oczy, czarne i błyszczące jak aksamit, wilgotne i bystre, wpił w Janka i zapytał:

— Skąd wiesz o tem wszystkiem, moje dziecię?

— Jestem z Łęgonic — podsłuchałem jenerała austryackiego, jak wydawał rozkazy. Całą noc jadę, żeby księcia pana ostrzedz, ale mi kucyk padł pod Nadarzynem

i dlatego spóźniłem się trochę. Uciekaj mości książę, uciekaj!

Mówiąc to Janek, któremu niebezpieczeństwo grożące księciu, wróciło całą przytomność i energię, obejrzał się trwożliwie i dodał:

— Tylko patrzeć, jak tu będą. Jest ich bardzo dużo. Widziałem, jak na obie strony drogi wysłali oddziały, chcąc otoczyć wieś. Uciekaj książę!

Ale książę nic na to nie odrzekł, tylko obracając się do swych oficerów, mówił do nich coś po francusku, czego Janek nie zrozumiał. W tejże chwili zadudniała ziemia i na dziedziniec pałacu wpadł pędem na spienionym koniu jakiś mężczyzna i krzyknął:

— Mości książę, Austryacy!

Wówczas książę, którego bohaterska twarz nie zadrżała nawet, zakomenderował głosem spokojnym i donośnym:

— Na koń!

I gdy, co żyło tylko z pomiędzy ułanów, poczęło dosiadać koni, kobiety zaś przestraszone poczęły płakać i uciekać do pałacu, książę zbliżył się do Janka, podniósł go do góry, pocałował i pokazując swemu wojsku, rzekł:

— Mości panowie, oto dzielny chłopiec! czy wart krzyża?

Wart, wart! — odezwali się głośno ułani.

Wtedy książę odjął z uśmiechem krzyż wojskowy od swego munduru i przypiął go Jankowi, szepcząc:

— Nosić go będziesz ze czcią, mój chłopcze i nie splamisz nigdy krzyża polskiego, prawda?...

Janek miał oczy pełne łez — ze wzruszenia nie mógł przemówić. A książę pocałował go jeszcze raz i siadając na konia, dodał:

— Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze.

I kłaniał się, przykładając ręce do ułanki, przerażonym kobietom, które go żegnały poruszaniem chustek, płaczem i błogosławieństwem, poczem stanął na czele swego pułku i wyprowadził go za bramę pałacową. Janek pobiegł za nimi, żeby się jeszcze przypatrzeć lepiej temu rycerskiemu księciu i temu ślicznemu wojsku, które z brzękiem szabel, z furkaniem trójbarwistych

chorągiewek, z raźnem parskaniem koni wysunęło się na szeroką ulicę wioski.

Kiedy tak Janek stoi i patrzy z żalem za odjeżdżającymi, nagle zadudniała ziemia i z okrzykiem: *vorwärts!* z gołą szablą w ręku, wzniesioną do góry, na czele huzarów, pędzących co koń wyskoczy, ukazał się chudy rotmistrz von Lampe. Maleńkie jego oczka, wytrzeszczone okropnie, świeciły jak karbunkuły — usta śmiały się jakimś strasznym, szyderskim śmiechem — duże, rude faworyty wiatr mu rozwiał, a w szabli wzniesionej do góry słońce zapalało oślepiające iskry. Za nim, za swoim rotmistrzem pędziła także z szablami podniesionemi gromada huzarów w ściśniętych szeregach, szóstkami, nie mogąc się rozwinąć w ciasnej uliczce wioski. Biegli oni straszni, rozwścieczeni, z głośnym okrzykiem.

W tejże chwili przerażony słuch Janka uderzył inny, nowy okrzyk z całkiem przeciwnej strony, to jest tej, w którą książę miał się udać. Tu w zbitej, nieregularnej masie rwali na swych maleńkich konikach Pandurzy, dzika, niesforna jazda, ubrana najdziwaczniej, uzbrojona najrozmaiciej: w spisy, szable, łuki, karabinki. Biegli oni także co koń wyskoczy, strzelając w pędzie, a strzały ich i kule poczęły gwizdać dokoła. Janek czuł, że pod nim nogi się chwieją — był przekonany, że książę, a z nim jego garstka ułanów zginie bezwarunkowo. Otoczeni ze wszech stron przez przemagające siły, czyż zdołają się obronić?

— Ach, czemuż ja wcześniej nie przybyłem! — szeptał, zamykając oczy i siadając pod słupem bramy, drżały bowiem pod nim nogi — a przytem nie chciał, nie miał odwagi patrzeć na śmierć straszną tej garstki ułanów i księcia.

Przez chwilę, zamknąwszy oczy, słyszał tylko chaotyczną wrzawę, tentent koni, brzęk szabel, huk strzałów i świst kul — gdy nagle ponad tą dziką, straszną wrzawą rozległ się donośny i spokojny głos księcia:

— Półplutonami na prawo i na lewo — formuj się!

Janek otworzył oczy zdziwiony.

— Więc oni jeszcze żyją — szepnął; i widzi, jak ułani ze spokojem i szybkością złamali się na dwie

równe części, jak jedna połowa frontem stanęła do huzarów Lampego, druga do dzikich Pandurów, a na czele tej ostatniej, z obnażoną szablą w ręku, z okiem iskrzącem się ogniem, rozpłomienioną twarzą uwija się na swym dzielnym, skarogniadym koniu sam książę Józef. Potem słyszy Janek donośną komendę księcia:

— Skróć cugle — do ataku broń!

I wszystkie lance pochyliły się wpół ucha końskiego, trójbarwiste chorągiewki furknęły, i oba półplutony podobne były do groźnego zwierza, który jeży się do obrony — a ostrza ich lanc migotały pod słońce, jak roztopione złoto. Potem widzi Janek, jak książę błysnął swą szablą i jak krzyknął:

— Pędem, naprzód marsz!

I oba szeregi z głośnym okrzykiem zerwały się jak wicher i rzuciły naprzód. Z pod kopyt ich koni ziemia bryzgnęła w górę, podniosły się tumany kurzu i zrobił się straszny, nie dający się opisać zamęt. Z początku nic nie było widać, tylko gromadę ludzi i koni, zwartą w strasznym, śmiertelnym uścisku, słychać było chrzęst szabel, świst uderzeń, głuche jęki. Zakłębiło się, zagotowało wszystko jak w garnku. Potem z tej gromady wybiegł jeden i drugi koń bez jeźdźca, okrwawiony, przerażony — a potem wszystko znikło, oddaliło się. Na ulicy ujrzał Janek kilkanaście trupów Pandurów i ułanów — książę widocznie z resztą przerżnął się i gnał uciekającego przed sobą wroga.

Janek odetchnął z głębi piersi. W kilka chwil potem ukazała się druga połowa plutonu ułanów, cofająca się powoli i wstrzymująca na sobie masę huzarów. I ci przebiegli koło bramy z wrzawą i znikli. Potem już biegli kłusem sami Austryacy, huzary, Pandury, armaty. Wrzawa coraz bardziej się oddalała i cichła.

Janek, uspokojony już nieco co do losu księcia Józefa, obejrzał się dokoła. Przed pałacem stało kilka powozów i bryczek, na które z pośpiechem siadały kobiety i mężczyźni i szybko odjeżdżali. Trzask, rwetes, płacz kobiet, donośny, niecierpliwy głos mężczyzn, klątwy woźniców, tworzyły istny obraz piekła. Kto mógł, dopadał bryczki i uciekał. Powozy bryczki, wózki wybiegały pędem za bramę i znikały. Wkrótce opróżnił

się dziedziniec pałacowy, cisza go wielka zaległa, tem dziwniejsza, że przed chwilą panowała tu ogromna wrzawa — i Janek został sam.

Czuł się niesłychanie znużonym. Nieprzespana noc, długa i męcząca podróż, głód, mnóstwo niezwykłych wrażeń, wszystko to tak osłabiło chłopca, że ledwie mógł się utrzymać na nogach. Oczy kleiły mu się same — widział konieczną, niezbędną potrzebę odpoczynku. Skierował się ku pałacowi.

Idąc, rozmyślał nad swem położeniem.

— Przespać się muszę — mówił sobie — inaczej nie byłbym zdolny do niczego. W tym wielkim pałacu łatwo zapewne znajdę jaki kącik cichy — czy jednak bezpieczny? O to właśnie idzie. Huzary i ten szkaradny rotmistrz von Lampe zapewne niedługo wróci — ma rozkaz tu odpocząć i popaść konie — gdy mnie zobaczy i pozna, gotów mię kazać zabić jeszcze w złości za to, że mu się jego przedsięwzięcie nie udało. Trzeba się więc gdzie dobrze ukryć i przeczekać w tem ukryciu, aż Austryacy odjadą. Ale gdzie się tu ukryć?

Obejrzał się dokoła. Za nizkim murem, z boku nieco, otaczającym widocznie ogród, gdyż wyglądało z poza tego muru mnóstwo drzew, ujrzał Janek szczyty jakiegoś wysokiego dachu. Nie namyślając się wiele, zbliżył się do muru, wdrapał się na niego i znalazł się w ogrodzie obszernym, zarosłym prześlicznemi staremi drzewami. Śmiało skierował się ku owemu budynkowi, którego dach śpiczasty ujrzał zdala.

Była to niewielka murowana altanka chińska, z wysokim dachem, ostro zakończonym — cóż, kiedy drzwi jej i okna były zamknięte! Janek smutny i zrozpaczony, obchodząc dokoła tę altanę, ujrzał na dachu dymnik. Zdecydował się zaraz. Wdrapał się na sąsiednie drzewo, którego jedna wielka gałęź dotykała się altanki, z drzewa tego dostał się na dach, a potem wlazł w dymnik i stanął na niewielkiej, dość ciemnej górce, pełnej słomy i siana.

— Będę miał wyborne spanie — szepnął z zadowoleniem chłopiec.

Zgarnął trochę siana na kupkę, urządził sobie posłanie i właśnie zamierzał się położyć, gdy jego uszu do-

szedł gwar i tętent koni. Wyjrzał przez dymnik i cały dziedziniec pałacowy zobaczył zapchany huzarami austryackimi.

ROZDZIAŁ VI

W którym opowiedziane jest, jakim sposobem Janek spotkał się z Francem i co z tego spotkania wynikło.

Widocznie wracali z pogoni za księciem Józefem i ułanami. Przyszli pomieszani, bez ładu, osypani kurzem i błotem, na zmęczonych i spienionych koniach i rozkładali się obozem na wielkim dziedzińcu pałacowym. Janek ze swego schronienia widział wszystko doskonale — jak przed bramą postawili armaty, jak huzary i Pandury roztasowywali się na prześlicznych gazonach, depcząc je bezlitośnie, zakładając wielkie ogniska, do podsycania których znosili najkosztowniejsze meble z pałacu, książki, obrazy. Potem widział, jak rabowali pałac, jak wybijali w nim okna, jak wychodzili z niego obładowani dywanami, sukniami, zegarami i t. p. Rozsypali się także po ogrodzie, zajrzeli do chińskiej altany, do której wybili drzwi, ale szybko z niej wyszli, widocznie nic wewnątrz nie znalazłszy. Głównie Pandury oddawali się temu rabunkowi — z gołymi pałaszami ścigali i zabijali kury, indyki, gęsi — z obór powypędzali bydło i owce, zarzynali je i piekli. Podobnie zapewne gospodarowali po całej wsi, gdyż słychać było płacz kobiet i dzieci — i Janek ze swego dymnika widział, jak gromady ludzi, pędząc swój dobytek, z zawiniątkami pod pachą, uciekały do pobliskiego lasu. Potem wyprowadzili na dziedziniec jakiegoś mężczyznę, rozciągnęli go na ziemi i bili batami. Hałas, wrzawa, trzask łamanych mebli, jęki bitego, ryk bydła, brzęk szabel, nadawały temu obrazowi charakter istotnie piekielny.

Jankowi wszystka krew się burzyła, patrząc na to zniszczenie i na znęcanie się nad bezbronnymi ludźmi.

— O! — szepnął — gdybym był dorosłym mężczyzną i gdybym miał broń, dałbym ja wam, zbóje!

Pilnie upatrywał, czy nie dostrzeże gdzie księcia Jó-

zefa, ale nigdzie go nie było, jak również rotmistrza von Lampe. Widocznie ten ostatni jeszcze nie wrócił z pogoni, czego zresztą dowodziła niewielka stosunkowo ilość wojska, zebranego na dziedzińcu. Nie wszyscy więc tu byli.

Jakoż ściągali się powoli. Najprzód przyjechało kilka wozów z rannymi, których okropnie pokrwawionych i porąbanych pokładziono na trawie i kilku ludzi, zapewne doktór i jego pomocnicy, poczęli ich opatrywać. Niektórzy z tych biedaków tak żałośnie jęczeli, że aż się przykro Jankowi zrobiło.

Patrzał on, patrzał na to wszystko, wkońcu sen skleił mu powieki; znużony przewrócił się na siano i zasnął głęboko.

Jak długo spał, nie wiedział. Obudził go silny krzyk i szarpnięcie. Otworzył oczy, ale zaraz je przymknął, gdyż leżał twarzą wprost dymnika, przez który wkradał się jarzący promień słońca. Zdawało mu się przytem, że w tym blasku słonecznym ujrzał maleńkie, wyłupione oczka, wielkie wąsiska i czerwony, jak rubin, nos starego Franca — że stał on nad nim pochylony ze swą czarną, krostowatą twarzą, do połowy oblaną światłem, stał, wlepiając swe małe okropnie groźne oczka w śpiącego i ruszając swymi wąsiskami. Oczywiście, myślał Janek, to senne marzenie, niezbyt przyjemne, to prawda, ale sny nie zawsze są miłe. Z pewnością jest to sen, bo skądżeby się tu wziął w Nadarzynie Franc?

Janek, chcąc odpędzić ten przykry sen i spać jeszcze dalej, gdyż oczy mu się ciągle kleiły, postanowił przewrócić się na drugi bok. Ale gwałtowne szarpnięcie i chrapliwy głos, oraz słowa:

— No, wstawaj, ty mala Polak! — przekonały Janka, że nie ma do czynienia z sennem marzeniem, ale z rzeczywistością, ze straszną rzeczywistością. Przerażony do najwyższego stopnia, przetarł oczy, usiadł na swem posłaniu i widzi: przed nim stoi Franc, ubrany w swój huzarski mundur, w wielki kołpak na głowie, z olbrzymiem szabliskiem u pasa, i podpierając się pod boki, śmieje się głośno, rubasznie, ukazując szereg czarnych zębów. Za nim tłoczy się kilku huzarów i wszyscy ciekawie wychylają głowy, wpatrując się w Janka.

Franc tymczasem śmieje się, śmieje, a potem uchwyciwszy zestraszonego chłopca swą wielką, kościstą ręką za ramię, podniósł jak piórko, postawił na nogi, popchnął przed siebie i rzekł:

— Aj, ty mala Polak, ty wielka huncfot, ty mnie uciekla z piwnica, — ale Franc nie glupia, Franc zajrzala do piwnica i nie zobaczyla mala Polaka... he! he! he! siadla na koń i znalazla huncfot Polak — nu, marsz!

I trzymając silnie, jak w szponach, ramię Janka i śmiejąc się ciągle, poprowadził go do schodów i gadał:

— Jeneral się ucieszy, jak zobaczy mala Polaka huncfota — aj! aj! aj! jak się ucieszy... Mala huncfot będzie dyndala na szubienica... tak, tak, będzie dyndala krygsrecht i fio! na szubienica...

Wyszli do ogrodu, na wielką, ogromnemi drzewami wysadzoną aleję. Janek, nie rozumiejąc jeszcze dobrze, co się z nim dzieje, podniósł głowę i ujrzał kłęby dymu i czerwonych płomieni, unoszących się nad wioską. Widocznie Austryacy wieś zapalili. Jeszcze smutniej mu się teraz zrobiło na duszy — spuścił oczy i szedł milczący, przerażony do głębi, podczas gdy Franc ciągle gadał i coraz silniej wpijał swe paznogcie w ramię Janka.

Tak idąc, obeszli do koła pałac i wkrótce Franc z Jankiem stanęli na ganku, gdzie na krześle siedział, otoczony oficerami, rotmistrz von Lampe. Można wyobrazić sobie, jak się tem przeraził biedny chłopiec. Rotmistrz von Lampe, obaczywszy Janka, wlepił w niego swe maleńkie siwe oczka i, uśmiechając się swoim zwyczajem szydersko, zapytał Franca po niemiecku:

— Skąd jest ten chłopiec? — ja go gdzieś widziałem.

— To jest wielki hultaj, panie rotmistrzu — odrzekł Franc — wczoraj wieczorem w Łęgonicach kazał go jenerał zamknąć do piwnicy, za to, że ukradł jakieś tam papiery.

— Aha, przypominam sobie — ale skąd on się tutaj wziął?

— Ja to panu rotmistrzowi opowiem — prawił Franc, prostując się — to wielki jest łotr, ten mały Polak,

Otóż jenerał kazał go zamknąć do piwnicy, choć mnie się to niepodobało, bo tam w tej piwnicy są dobre wina, bardzo dobre wina, prawdziwy Tokaj, i ten mały hultaj mógłby je wypić, a może nawet się upić. Wiadomo zaś panu rotmistrzowi, że wino, wogóle gorące trunki, są niezdrowe dla dzieci, co mówię, niezdrowe, szkodliwe nawet...

Rotmistrz poruszył się niecierpliwie i rzekł swym suchym, ostrym głosem:

— Do rzeczy, do rzeczy! nie mam czasu słuchać twych głupstw, stary ośle — gadaj, skąd się ten chłopiec tu wziął?...

— Skąd się wziął, panie rotmistrzu? uciekł hultaj z piwnicy przez jakiś loch, na pół zawalony, pełen dziur i przepaści, a co najgorsza, szczurów. Ja, panie rotmistrzu, mam głowę nie od parady, choć jenerał, a za nim pan rotmistrz, zaszczycają mię mianem osła...

— Czy ty nie skończysz dzisiaj, *Donnerwetter!* — krzyknął rotmistrz, powstając z okiem zaiskrzonem, z ręką w kułak ściśniętą.

Franc cofnął się nieco przerażony i rzekł:

— Kończę, kończę, panie rotmistrzu. Na czemże ja to stanąłem? a... mam głowę nie od parady. Więc zamknąłem w piwnicy tego małego łotra, dałem mu chleba i kawał pieczeni baraniej, przez litość tylko od własnych ust sobie odjąłem, choć pan jenerał jak najsurowiej mi tego zakazał, ale ja mam już takie poczciwe serce...

Wiemy dobrze, że nie tak było, że właśnie jenerał kazał dać Jankowi co zjeść, ale Franc chciał się w dobrem świetle przedstawić, więc kłamał.

— Obdarzyłem go tedy moją własną wieczerzą i zamknąłem w piwnicy i straż postawiłem przy drzwiach. Upłynęło tak z godzinę. Zgaga mię poczęła piec i myślę: tam w piwnicy jest dobre wino, bardzo dobre wino, prawdziwy Tokaj... Pójdę i utoczę go sobie w buteleczkę. To nawet jest obowiązkiem moim niszczyć tych Polaków, a przytem wino węgierskie powinni pić Węgrzy, a nie jakieś tam Polaki...

Rotmistrz szarpnął się znowu z gniewem — ale uspokoił go jeden z oficerów, mówiąc:

— Daj pokój, rotmistrzu, niech ten stary osioł wygada się, inaczej z nim do ładu nie trafimy.

Rotmistrz uznał widać słuszność tej uwagi, bo usiadł z rezygnacyą i rzekł:

— Mów dalej.

— Więc tedy wziąłem duży gąsior, zapaliłem latarkę i idę do piwnicy — a myślę też sobie: jak się tam mój mały Polak zachowuje, zobaczę, czy śpi. Noc, jak wiadomo, była tak szkaradna, że tylko spać, zwłaszcza w piwnicy, gdzie, powiadam panu, panie rotmistrzu, było tak ciemno, jak w grobie nieprzymierzając. Wchodzę tedy i patrzę, gdzie mój Polak? — niema go. Słoma jest, siano jest, a Polaka niema. Uf! myślę sobie, źle — gotów mię jenerał jutro rozstrzelać. Wołam tedy straż i jeszcze jednego żołnierza i szukamy tego małego huncfota. Niema go i niewiadomo, gdzie się podział. No, przecież się w ziemię nie zapadł, powiadam do kamratów — musi tu gdzieś być. Szukamy i znaleźliśmy miejsce, którędy uciekł. A huncfot! mądra sztuka — powiadam — mądra sztuka!

Odpoczął Franc, obrzucił strasznym wzrokiem Janka i tak dalej prawił:

— Za wielką i pustą beczką były drzwi ukryte — anim przypuszczał, żeby tam były drzwi, a ten huncfot wiedział o tem, otworzył je sobie i poszedł. Więc i my za nim. Loch długi, zrujnowany, aż strach. A co szczurów! jak żyję, takich szczurów nie widziałem. Aleśmy się też natłukli tego paskudztwa. Powiadam panu rotmistrzowi, dobyliśmy szabli i rąbaliśmy ich na zrazy, inaczej zjadłyby nas. Ja nie wiem, jak ten mały Polak tamtędy przeszedł.

I obracając się do Janka, zapytał po polsku:

— Ty mala Polak, ciebie szczura nie zjadla tam, w piwnica?

— Jak pan widzi...

— Hm! hm! — prawił dalej po niemiecku Franc, to jest zadziwiające. Idziemy tedy owym lochem, a dziur w nim, przepaści, co niemiara. I doszliśmy do schodów, a potem do drzwi otwartych. Wyszliśmy i pa-

trzymy, jakaś rudera. Ano, mówię ja do kamratów, ten mały Polak uciekł przez loch, a potem wyskoczył z tej rudery przez okno. Więc na dziedziniec idziemy i pytamy żołnierzy, czy nie widzieli tego huncfota. Widzieli go. A gdzie? Siedział na małym koniku i pojechał ku Pilicy. *Herr Jezus!* myślę sobie, ot, stary Franc nałożysz głową, jutro jenerał cię rozstrzela, jeśli małego Polaka nie złapiesz. Więc nie wiele myśląc, siadam na konia i lecę do Nowego-Miasta — pytam tutaj, nikt go nie widział. Jadę dalej i rozpytuję się po drodze — otóż natrafiłem na ślad, tu i tam widzieli go, jak o świcie pędził na małym koniku. Mam cię, huncfocie! gonię dalej, no i przyjechałem tutaj i zastałem naszych — pytam o małego Polaka, nikt nic nie wie, nie widziano go, przepadł, jak kamień w wodę. Hm! myślę ja sobie, dotąd miałem jego ślad, który tu ginie, a więc i ten mały Polak tu być musi. Poszukajmy! Szukam tedy — wtem słyszę, porucznik Szafskopf każe bić na dziedzińcu jakiego Polaka. Tak ja przystanąłem sobie i patrzę — a ów Polak śpiewa, że jego jenerała ostrzegł jakiś mały chłopiec, który przyjechał od Nowego-Miasta.

Na te słowa porwał się z zaiskrzonemi oczami rotmistrz von Lampe i, przyskoczywszy do Janka, krzyknął po niemiecku:

— Tyś ostrzegł księcia Poniatowskiego, ty?

Ale Janek, który podczas długiego opowiadania Franca miał czas przyjść do siebie, odrzekł spokojnie:

- Ja nic nie rozumiem, co pan mówi.

Wówczas rotmistrz obrócił się do jednego z oficerów i rozkazał:

— Panie von Szmulski, wypytaj się pan tego hultaja.

Do Janka zbliżył się jakiś młody człowiek i spytał:

— Czy to prawda, żeś ty ostrzegł księcia Józefa?

— Tak, prawda.

— Dlaczego to uczyniłeś?

— Bom uważał to za swój obowiązek — każdy Polak tak powinien postąpić.

Von Szmulski, zniemczony Polak, zarumienił się nieco i rzekł:

— Skąd wiedziałeś, że ma być zrobiona wycieczka dla schwytania księcia Poniatowskiego?

— Wysłuchałem wszystkich rozkazów, jakie co do tego wydał jenerał.

— Więc umiesz po niemiecku?

— Umiem.

Jak widzimy, Janek nie zapierał się wcale. Nie chciał plamić kłamstwem wielkości swego poświęcenia. Stał przed oficerami dumny, z okiem iskrzącem zapałem i odwagą. Gdy von Szmulski opowiedział wszystko, co Janek zeznał, rotmistrzowi, ten popatrzał na chłopca długo, a potem rzekł:

— Wziąć go pod straż — musimy go odstawić do głównej kwatery.

Zaraz kilku żołnierzy z dobytymi pałaszami otoczyło Janka i odprowadziło na bok. W kwadrans może potem rozległ się głos trąbki, wszyscy dosiedli koni. Janka pomieszczono na wózku, który za wracającymi do Nowego-Miasta jechał z tyłu, pod strażą kilku Pandurów.

Tak więc biedny chłopiec jest znowu więźniem, ale teraz stokroć większe mu grozi niebezpieczeństwo, niż pierwszym razem.

ROZDZIAŁ VII.

Jakim sposobem dzielny Janek wyswobodził się z rąk austryackich i co potem się stało.

Smutny, ale zrezygnowany na wszystko jechał Janek na małym, trzęsącym szkaradnie wózku, za wojskiem austryackiem. Miało się już dobrze na południe i słońce dopiekało mocno — a przytem Jankowi potężnie się jeść chciało, od czasu bowiem pieczeni baraniej, którą z takim apetytem spałaszował w nocy, nic w ustach nie miał. Ale trudno — na wojnie, jak na wojnie, trzeba wszystko znosić i dziękować jeszcze Panu Bogu za to, że choć skóra cała.

Miał też na wózku towarzysza. Gdy przejeżdżali

przez palącą się wieś, wsadzono mu na wózek huzara, rannego w nogę. Huzar był gaduła, a choć stękał czasem, zwłaszcza, gdy wózek za mocno trząsł, przecież prawił różne zabawne historye, pobudzając do śmiechu Janka i czterech Pandurów, którzy jechali koło wózka na straży. Od tego huzara dowiedział się Janek, że książę Józef Poniatowski szczęśliwie ocalał, że Austryakom nie udało się ani jednego polskiego ułana schwytać, że wprawdzie zabili kilku, ale i sami mają dziesięciu poległych i trzynastu rannych — że jednem słowem, wyprawa się nie udała.

— Mówią — prawił dalej huzar — że ktoś ostrzegł księcia. No, gdybyśmy takiego łotra złapali, jak Bóg w niebie, jenerał-by go powiesił.

Ze słów tych przekonał się Janek o rozdrażnieniu przeciwko niemu całego wojska, oraz, że nie czeka go zbyt przyjemne przyjęcie w Łęgonicach. Ale był zrezygnowany na wszystko — owszem, czuł się dumnym, że może ponieść w ofierze swe młode życie za kraj — że kiedy go bronić jeszcze nie jest zdolny, jak przystało na mężczyznę, to przynajmniej potrafi mu oddać wszelkie usługi, dopóki mu tylko sił starczy.

Takiemi ożywiony myślami, westchnął sobie do Boga, oddał się pod Jego opiekę i spokojny, pełen ufności, jechał dalej, słuchając wesołych opowiadań huzara. Słońce, jakeśmy powiedzieli, dopiekało mocno i szybko osuszyło ziemię, zmoczoną nocnym deszczem. Wojsko, przechodząc, podnosiło ogromne tumany kurzu, poza którymi nic widać nie było. Szczęściem, wjechali w las, w którym z powodu większego cienia, słońce nie mogło dostatecznie osuszyć ziemi, a zatem i kurzu nie było. Przyjemny chłód otoczył Janka, który, patrząc na drzewa, na wesoły szczebiot ptactwa, żałował, że nie jest ptakiem, że nie może ulecieć i wydostać się z niewoli.

Kiedy tak Janek rozmyśla nad swoim losem, jeden z Pandurów obejrzał się i zwrócił uwagę swych towarzyszy na olbrzymie chmury kurzu, podnoszące się na drodze za nimi, w odległości jakiej pół ćwierci mili. Wszyscy odwrócili głowy i z niepokojem patrzyli na coraz bardziej zbliżającą się kurzawę. Jan-

kowi zdawało się, że od czasu do czasu między brudnożółtemi płachtami kurzu, zabłyśnie coś jak szabla, zamigocze, jak trójbarwista chorągiewka.

— O! gdyby to byli nasi! — szepnął.

A wtem ranny huzar, który także z wyraźnym niepokojem patrzał na kurzawę, rzekł do Pandurów:

— Tu niema co myśleć, kamraci — niech dwóch z was zawróci i obaczy, co to jest, jeden zaś niech poleci do rotmistrza i powie mu, że jakaś podejrzana kurzawa ukazała się za nami na drodze.

Ale Pandurom nie podobała się ta rada.

— My nie możemy odjeżdżać — my mamy rozkaz pilnować tego małego Polaka.

— A cóż wy myślicie! — zawołał z gniewem huzar — że on wam ucieknie? Jeden przecież zostanie, a i ja nie jestem od parady. Tego malca pilnować! tu los wojska jest ważniejszy, niż pilnowanie tego malca. Od czegóż wy jesteście na tyłach? Kto nie pilnuje dobrze tyłów wojska, idzie pod krygsrecht i kulą w łeb.

Kiedy się tak sprzeczają, Janek ani na chwilę nie spuszcza wzroku ze zbliżającej się szybko kurzawy. Czy miał lepsze oczy od otaczających go żołnierzy, czy też fantazya snuła mu zwodnicze obrazy, dość, że zdawało mu się, jakoby widział kilkakrotnie najwyraźniej ułanki z piórkami amarantowo-białemi, chorągiewki, żółte rabaty, konie, lecące pędem.

— Dadzą oni wam bigosu! — szeptał, spoglądając z ukosa na coraz bardziej niepokojących się Pandurów.

Nakoniec te chmury kurzu zauważono widocznie i w wojsku, postępującem przodem, gdyż odłączyło się od niego kilkunastu Pandurów i huzarów, i pod wodzą porucznika von Szmulskiego popędziło ku podejrzanej kurzawie. Ale nie ulecieli i trzech stajań, gdy nagle huknęło kilka wystrzałów, rozległ się potężny okrzyk, porucznik von Szmulski i jego Pandurzy w nogi, a za nim mnóstwo ułanów z pochylonemi lancami, leci, goni, pędzi jak huragan!

Dopieroż to zrobił się zamęt nie do opisania w szeregach austryackich! Na nieszczęście dla Austryaków droga w tem miejscu była wązka, z głębokimi, peł-

nymi wody rowami po obu stronach, tak, że nie mogli się odwrócić, ani rozwinąć, zwłaszcza, że wózek z Jankiem im przeszkadzał. Tymczasem ułani z nastawionemi do ataku lancami, przy których chorągiewki furkały głośno, przelecieli jak wicher koło wozu Janka, tratując wszystko, kłując i pędząc przed sobą przerażonych huzarów, jak stado owiec. Jeszcze Janek nie oprzytomniał zupełnie, tak się to wszystko nagle stało, gdy na dzielnym białym koniu, ubrany w mundur piechoty, nadjechał jakiś oficer polski z obnażoną szablą w ręku i, zatrzymując się koło Janka, wołał na swoich głosem donośnym:

— Naprzód, wiara! Nauczcie tych szołdrów moresu za zbójecką napaść!

Poczem pojechał dalej. Jeszcze koło wózka przeleciała, jak lawa, masa ułanów, potem wszystko znikło, ucichło, tylko zdala dochodził odgłos tętentu koni, wrzawy i huku wystrzałów. Janek obejrzał się, był sam. Woźnica uciekł, zostawiwszy konie i wózek na wolę Bożą, ranny huzar gdzieś zniknął, Pandury drapnęli i Janek został sam. Około niego, na drodze leżało paru ciężko porąbanych i pokłutych huzarów, ówdzie po lesie między drzewami rwał się i rżał jakiś koń ze złamaną nogą, w dali przewracały się kołpaki huzarów i świeciły dwie, opuszczone przez wszystkich armaty, z kilku ludźmi, zarąbanymi koło nich.

— Nie mam tu czego czekać! — szepnął Janek, zeskoczył z wózka, podniósł rzucony na ziemię pistolet huzarski, przeskoczył przez rów i znikł wśród gęstwiny drzew.

Biegł przed siebie, uważając i słusznie, że im dalej będzie od pola bitwy, tem będzie bezpieczniejszym. Dopóki więc tylko dochodził go odgłos wrzawy, dopóty uciekał — ale wkońcu ogarnęła go wielka, poważna cisza leśna, przerywana tylko szmerem liści i owadów, lub poświstem wiatru po szczytach drzew. Janek uczuł się tak zmęczonym, że położył się na murawie pod dębem, i choć opędzał się przed snem jak mógł, przecież wkrótce zasnął.

Dobrze już było pod wieczór, kiedy się obudził. W lesie panował szary mrok, choć niebo jaśniało jesz-

cze czerwonym blaskiem od zachodzącego słońca. Tysiące muszek i komarów napełniało brzękiem powietrze. W głębi lasu, w czarnych jego ciemnościach, rozlegał się ponury krzyk sowy.

Janek podniósł się, przetarł oczy, rozejrzał dokoła i począł rozmyślać nad swem położeniem. Był sam, wśród nieznanego sobie lasu, nie wiedząc, gdzie się obrócić wobec zapadającej nocy, głodny okropnie i spragniony. Co tu robić, skąd znaleźć choć kawałek chleba, choć kropelkę wody, którąby mógł odświeżyć spieczone gorącem usta. Przerażały go przytem szybko wśród drzew zapadające ciemności — koło siebie, w odległości dziesięciu może kroków rozróżniał jeszcze pojedyncze drzewa, ale dalej leżała czarna, nieprzejrzana noc. Bał się zostać w tym lesie, obawiał się, by go nie napadł dziki zwierz.

Myśląc o tem, włosy mu powstały na głowie i kroplisty, zimny pot wystąpił na czoło. Oglądał się trwożliwie dokoła i zdawało mu się co chwila, że widzi w głębi leśnej świecące się oczy wilka, że słyszy groźne mruczenie niedźwiedzia. Każdy huk puszczyka odzywał się w nim przyspieszonem biciem serca. Nie śmiał się ruszyć z miejsca — i siedział ciągle pod drzewem, przerażony śmiertelnie.

Ale wkrótce począł się śmiać ze swego dziecinnego przestrachu. Przypomniał sobie, co nieraz mówił mu stary Marcin, że w tych stronach kraju wilki są rzadkością, a o niedźwiedziu nikt od stu lat nie słyszał nawet. Zresztą wilk w kwietniu nie jest niebezpieczny.

Jak poprzednio był przerażony, tak teraz odważny. Zerwał się na nogi, zaśmiał głośno, aż echo po nim zaśmiało się po lesie, i rozglądając się dokoła, spostrzegł leżący na murawie pistolet, który podniósł rano na drodze, uciekając z wózka.

Mam broń! — zawołał — mogę sobie drwić ze wszystkich wilków i niedźwiedzi. Niech-no który zbliży się do mnie, a poczęstuję go kulką tak, że na wieki przestanie napadać ludzi po lesie.

Obejrzał skałkę, spróbował, czy nabity, a przekonawszy się, że tak jest, śmiało postąpił parę kroków.

— Teraz już niczego się nie boję — mówił — tylko

mi się jeść okropnie chce, a i pić także. Żeby choć kroplę wody skąd dostać! Chyba nawrócę ku gościńcowi, tam w rowach jest woda. Tak, tak, najlepiej będzie iść ku gościńcowi, dostanę się do jakiej wsi, nakarmią mię ludzie, przynajmniej z głodu nie umrę.

Nieszczęściem, stracił zupełne pojęcie, w której stronie znajduje się gościniec — nie wiedział, gdzie się skierować. Po długim namyśle, niepewny, zniechęcony znowu, ruszył w stronę, gdzie mu się zdawało, że powinna być droga.

Tymczasem noc zapadała zupełna i w lesie zapanowały nierozjaśnione niczem ciemności. Ponad drzewami tylko widać było kilka migocących gwiazdek. Zerwał się przytem, jak zwykle pod wieczór, chłodny wietrzyk, niezbyt przyjemny wśród nocy, w lesie, zwłaszcza wtedy, jak się jeść chce. Znów zabobonna trwoga opanowała Janka — szedł, oglądając się dokoła, nadsłuchując i zatrzymując się za lada szelestem, jaki doszedł do jego ucha. Wszystko to męczyło go daleko więcej, niż głód i znużenie.

Wtem, gdy tak idzie i ogląda się trwożliwie, zdawało mu się, że słyszy jęk, niedaleko od siebie. Stanął, zatrzymując oddech w sobie i wytężając słuch. Jęk się powtórzył. Wśród ciszy leśnej w nocy, jęk ten przybierał jakiś wyraz smutku, skargi, płaczu, żalu...

Janek nie wiedział, co to znaczy. Stał, ukryty za drzewem, z ręką na cynglu pistoletu, przerażony okropnie. Gdy jednak jęki ciągle się powtarzały, w rozpaczliwej odwadze, postanowił się przekonać, coby to było.

— Przecież jest jakaś żyjąca istota w tym pustym lesie... — szepnął i posunął się w kierunku posłyszanego jęku. W miarę, jak się zbliżał, jęki były coraz donośniejsze, coraz wyraźniejsze. Idąc tak, Janek nagle ujrzał coś białego, szerokiego, coś nieruchomie leżącego na ziemi. Nie mógł zrozumieć, coby to było — a jęki wciąż powtarzały się, coraz bliżej, tuż prawie przy nim.

Schylił się i przy tej trosze światła, jaka jest nawet wśród największych ciemności, spostrzegł pod nogami swemi leżącą małą psinę, skowyczącą żałośnie.

— A więc to ty, biedaku, jęczałeś tak okropnie — rzekł Janek, głaszcząc psa po głowie — cóż ci to jest i czemu się nie podniesiesz?

Pies istotnie włóczył się u nóg Janka, skowycząc ciągle i liżąc mu ręce. Nie wiele myśląc, podniósł go Janek i przekonał się, że psina ma strzaskane obydwie tylne nogi.

— O biedny piesku — zawołał — któż tak niegodziwie z tobą postąpił?

Pies tulił się do niego, lizał mu ręce i jęczał tak smutno, tak żałośnie, że Janek uczuł łzy w oczach.

— Cóż ja ci poradzę — ja sam jestem opuszczony — szeptał.

Podniósł głowę i spostrzegł znowu ową białą płachtę, leżącą nieopodal na ziemi, którą już poprzednio zauważył.

— Co to być może? — spytał sam siebie i posunął się naprzód. Na wielką swoją radość przekonał się, że to wielka kałuża wody, która zapewne utworzyła się z deszczu poprzedzającej nocy i świeciła pod blaskiem gwiazd biało, podobna do płachty, leżącej na ziemi.

Podziękował Bogu za to odkrycie, ugasił pragnienie, obmył nią zakrwawione nogi psa, potem wydobył z kieszeni chusteczkę, zmaczał ją, rozdarł na dwie połowy i starannie obwiązał połamane nogi psiny. Ten jęczał z bólu, ale zachowywał się spokojnie, jak gdyby rozumiał, że to, co z nim robią, robią dla jego dobra — lizał tylko biedak ciągle ręce Janka.

Opatrzywszy rannego swego towarzysza, Janek wziął go na ręce, wstał i poszedł dalej, odważniejszy już teraz i spokojniejszy, szukać gościńca.

ROZDZIAŁ VIII.

Janek błądzi po lesie, dostaje się w ręce bandy cyganów i zapoznaje się z Cyngą.

Długo, bardzo długo Janek błądził po lesie i upragnionego gościńca znaleźć nie mógł. Ciągle widział przed sobą i dokoła siebie las i las; kilkakrotnie na-

wet tak stracił całkowicie pojęcie kierunku, że wracał nad ową kałużę wodną, przy której ugasił pragnienie i znalazł ciężko poranionego psa. Tem błądzeniem, tem fatalnem kołowaniem tak był znużony, że co chwila musiał spoczywać, zwłaszcza, że pies, którego ciągle niósł na ręku, ciążył mu bardzo — a przecież nie rzucił go, nie pomyślał o tem wcale. Dokuczał mu mocno głód i gdyby nie to, gdyby nie chęć wyszukania gdziekolwiek jakiego pożywienia, byłby usiadł i przeczekał w lesie do rana — ale czuł, że jak spocznie, to rano nie będzie się już mógł z osłabienia podnieść.

Wlókł się więc dalej słaby, tracąc energię, jedynie pędzony głodem. Teraz znalazł się, jak mu się zdawało, w całkiem nieznanej sobie części lasu. Dotąd błądził między staremi drzewami, które, tworząc u góry zbitą masę gałęzi, u dołu były nagie i nie dozwalały rozszerzać się drobnej roślinności — teraz wszedł widocznie w młody lasek, dobrze, jak to mówią, podszyty, pełen drobnych, gęsto rosnących drzewek, przez które z trudnością torował sobie drogę. Lękając się o rannego psa, musiał ostrożnie stąpać i co chwila odchylać bujnie rosnące gałęzie, co go męczyło niezmiernie i wkońcu tak zmęczyło, że padł raczej niż siadł na wolniejszem miejscu i zaczął gorzko nad swym losem płakać.

— Niech się co chce ze mną dzieje — szepnął — już dalej iść nie mogę.

I w głębi duszy począł sobie robić wyrzuty, że opuścił Łęgonice, że się rzucił w szereg awantur, które nikomu korzyści nie przynoszą, a jego samego narażą na nędzną, wśród lasu, śmierć głodową.

— Nie lepiej było spać teraz w wygodnem łóżeczku? — mówił sobie.

I w wyobraźni jego rysowało się ponętne to ciche, ciepłe i spokojne jego łóżko w dworze Łęgonickim. O! jakaż różnica między tym spokojem a tym ponurym, chłodnym lasem — coby on dał za to, żeby mógł być teraz w swym pokoju!

Ale wkrótce przeminęła ta mimowolna, wywołana głodem i znużeniem, słabość.

— Pfe, Janku — mówił sobie — wstydź się, to

co zrobiłeś, dobrze zrobiłeś, powinieneś był zrobić. Czyż to ty pierwszy jesteś w takiem położeniu? Przypomnij sobie, coś czytał w historyi o królu Łokietku, jak musiał uciekać, kryć się po jaskiniach leśnych przed Czechami, a on przecież był królem, a ty czem jesteś? sierotą nieznanym. Dalej, podnieś głowę i pokaż, że umiesz znosić zimno i głód, jak przystało na mężczyznę!

Myśli te, te wspomnienia ożywiły w chłopcu gasnącą odwagę. Podniósł dumnie głowę i rzucił śmiało spojrzenie w las, jak gdyby wyzywał do walki wszystkie niebezpieczeństwa. Ale w chwili, gdy tak patrzał przed siebie z dumą i odwagą, zdało mu się, że widzi w dali, między drzewami, jakieś czerwone światełko, podobne do bardzo odległego ognia. Zerwał się na równe nogi i zawołał:

— Bóg mi pomoc daje! Bóg mi pomoc daje!

Pies także zaskowyczał radośnie, Janek ucieszony niezmiernie, z bijącem sercem puścił się śmiało w kierunku owego światełka. Jakoż, im bliżej się ku niemu przysuwał, tem wyraźniej widział wielkie ognisko, rysujące się wybitnie na ciemnem tle nocy i lasu.

– Jeżeli jest ogień, to muszą być i ludzie! – mówił sobie Janek. Jakoż wkrótce usłyszał szczekanie psa.

Potem, zbliżając się coraz więcej, dostrzegł kilkoro ludzi, kręcących się koło ognia, a gdy stanął od ogniska w odległości jakich dwudziestu kroków, ujrzał kilkanaście kobiet, mężczyzn i dzieci, siedzących dokoła ognia, przy którym stał wielki kocioł z gotującą się zapewne wieczerzą. Z boku nieco, przy dwóch wozach, pokrytych budą z płótna, siedział krwawo oświecony blaskiem ognia, stary mężczyzna, z dużą siwą brodą i trzymając w jednym ręku fajkę dymiącą się, drugą przyłożył do oczów, dla osłonięcia się od światła ogniska i patrzał w głąb lasu, w tę stronę, z której Janek przybywał. Obok niego rwał się i szczekał zajadle ogromny, czarny pies, przywiązany na łańcuchu do wozu. Wszyscy zresztą, tak kobiety, jak i mężczyźni, siedzący wkoło ognia, spoglądali w las — nagie, okryte gdzieniegdzie tylko łachmanami dzieci powybiegały

nieco naprzód, jak gdyby chciały przeniknąć ciemności i zobaczyć, kto się do nich zbliża.

Janek zatrzymał się na chwilę, przypatrując się temu dziwnemu obrazowi, wśród czarnej puszczy leśnej. Mimowolnie powstała w nim pewna nieufność, przez chwilę nawet zamyślał się cofnąć, ale wkrótce porzucił ten zamiar, raz, że z kotła zalatywał go zapach gotowanego mięsa, co dla jego zgłodniałego żołądka było nie lada przynętą, powtóre, że siedzący na uboczu stary mężczyzna powstał, odwiązał łańcuch z olbrzymim psem od wozu, wziął wielki sękaty kij do ręki i coś przemówił do siedzących koło ognia. Na te jego słowa zerwało się zaraz czterech młodych drabów i każden z nich chwytając kij, czekał na rozkazy starca.

Widząc to, Janek miał wielką ochotę drapnąć, ale zastanowiwszy się, że przy swem osłabieniu nie zdoła uciec przed pogonią psa i czterech silnych mężczyzn, oraz, że cokolwiekbądź, znajdzie u tych ludzi jakąkolwiek pomoc i posiłek, postanowił pójść do nich śmiało i zażądać gościnności u ich ogniska. Był prawie pewny, że to są cygani, o których nasłuchał się w dzieciństwie tysiące historyj – ale, pomyślał sobie, lepsza niewola u cyganów, niż śmierć z głodu. Puścił się więc naprzód, i w chwili, gdy siwy starzec zamierzał widocznie na czele czterech drabów poszukać w lesie niepokojącego ich gościa, nasz bohater stanął przed ogniskiem.

Nim zdołał się rozejrzeć, został już otoczony dokoła przez cyganów, których czarne, jak węgiel, oczy patrzyły na niego z niedowierzaniem i nieufnością. Wszyscy byli obdarci, brudni, niechlujni, a dziki, okrutny wyraz ich twarzy wśród ciemności nocy, krwawego odblasku ognia, budził w Janku grozę i przestrach. Tem przykrzejsze robiło to wrażenie, że wszyscy milczeli jak zaklęci. Nakoniec Janek, zdobywając się na odwagę, chciał przemówić, gdy nagle stanął przed nim ów siwy, stary cygan i, opierając się oburącz na swym sękatym kiju, wpoił w Janka swe duże, iskrzące się, czarne oczy i spytał chrapliwym głosem:

— Czego tu chcesz?

— Proszę was, panie cyganie — zaczął zalękniony Janek — zabłądziłem w lesie... jeść mi się okropnie chce.

— Skąd jesteś?

— Z Łęgonic.

— Z Łęgonic?... gdzie to są Łęgonice.

— O! daleko stąd, za Pilicą.

— A skąd się tu wziąłeś?

— Jeździłem do Nadarzyna i zabłądziłem w lesie.

— Czy sam tu jesteś?

— Sam.

— Po co jeździłeś do Nadarzyna?

Janek zawahał się chwilę, czy ma prawdę powiedzieć, ale brzydząc się kłamstwem, postanowił wszystko wyznać. Opowiedział zatem staremu cyganowi, który ani na chwilę nie spuszczał z niego wzroku, swe przygody poprzedzającej nocy i następnego dnia, opowiedział swe błądzenie po lesie, historyę ze znalezionym ranionym psem, i skończył na prośbie, żeby mu dali co zjeść, żeby pozwolili odpocząć, a jutro rano pokazali mu, którędy można wydostać się na gościniec.

— Ja wam, panie cyganie, ślicznie za to podziękuję, bo zapłacić nie mam czem — nie mam ani grosza.

— A gdzież ty chcesz jutro rano iść? — spytał cygan, wysłuchawszy w milczeniu prośby Janka.

— Do Łęgonic.

— Czy tam są jeszcze Austryacy?

— Zapewne, że są.

— No, to jak cię złapią, powieszą cię...

— Hm! to być może... ale cóż ja mam robić?...

— Co masz robić?... zobaczymy! Teraz siądź u naszego ognia, kobiety ci dadzą jeść, a jutro dowiesz się, co masz robić.

To rzekłszy, z wielką powagą wyprostował się, przemówił parę słów w cygańskim zapewne języku do otaczających i poszedł, ćmiąc fajkę, na swe dawne miejsce koło wozu, nie spojrzawszy nawet więcej na Janka. Tymczasem całe zgromadzenie powróciło do ogniska, a młody jakiś wyrostek, liczący może ze szesnaście lat, zbliżył się do Janka, wziął go za rękę i, wyszczerzając szereg białych, jak kość słoniowa, zębów, rzekł:

— Chodź, dostaniesz jeść.

I poprowadził go do ogniska, gdzie zrobiono mu miejsce, i nie opuszczał go już ani na chwilę. Zaraz potem, stara, chuda, pokryta łachmanami i brudna cyganica, zaczerpnęła ogromną warząchwią z kotła i wlała na miskę nieco kapuśniaku, w którym sterczał kawałek kości z odrobiną mięsa. Jedzenie to, wraz z drewnianą łyżką, podano Jankowi.

Bohater nasz zjadł połowę, a choć był głodny jeszcze, oddał drugą połowę rannemu psinie, który z wielkim apetytem połknął wszystko, wylizując starannie miskę. Cyganie też tymczasem jedli, myśląc zapewne, że Janek ma dosyć i że nie zasługuje na to, by mu więcej dawano. Kocioł został wkrótce wypróżniony, zdjęto go więc z ognia i zaniesiono na wóz.

Wtedy wyrostek cygański rzekł do Janka, wciąż wyszczerzając swe ostre i białe zęby, co zapewne u niego miało być przymileniem:

— Teraz śpij!

Jankowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Był ogromnie znużony. Same oczy kleiły mu się do snu. Owinął się więc swym płaszczykiem, okrył nim rannego psinę, ułożył się jak mógł najlepiej na miękkiej murawie i zasnął snem kamiennym.

Nazajutrz, ledwie świt szary rozjaśnił nieco mroczne głębie lasu, obudzono Janka. Otworzył oczy i choć chciało mu się jeszcze spać, musiał jednak zerwać się na nogi, gdyż jego towarzysz wczorajszy, młody wyrostek cygański, widocznie dany mu za dozorcę, szarpał go mocno i jak zwykle pokazywał szereg białych zębów, co niewiadomo, czy uśmiech, czy też gniew znaczyło.

Janek, powstawszy, ujrzał wozy cygańskie już zaprzężone i spakowane — na jednym z nich siedziały stare kobiety i dzieci — wszystko było gotowe do podróży. Stary cygan stał na uboczu i, paląc nieodstępną fajkę, rozmawiał po cichu z dwoma innymi.

— Czy my pojedziemy? — spytał Janek swego towarzysza.

— Tak.

— A nie wiesz, dokąd?

— Hm! — ruszył ramionami cygan, wyszczerzając zęby — to tylko Romno wie.

— A któż to jest Romno?

— O ten! — mruknął, wskazując wzrokiem na starego cygana.

— To wasz król?

— Tak.

Teraz Janek począł się uważniej przypatrywać Jego Królewsko-Cygańskiej Mości. Istotnie wyglądał on bardzo poważnie i ubrany też był wspanialej, a nadewszystko cało i porządnie, czego o jego poddanych nie można było powiedzieć. Wciąż stał na uboczu i, paląc fajkę, rozmawiał z dwoma cyganami.

Tymczasem wyrostek rzekł do Janka:

— Będziesz jadł?

— I owszem — i mojej psinie wartoby dać śniadanie.

Cygan nic nie rzekł, tylko sięgnął ręką w zanadrze, wydobył kawałek czarnego chleba, rozłamał go na dwoje i, dając jedną połowę Jankowi, rzekł:

— Masz, jedz!

Janek podziękował mu pięknie i spytał:

— Jak się ty nazywasz?

— Cynga.

— Mój Cynga, ty będziesz moim przyjacielem.

Cynga wlepił w Janka swe duże, czarne, palące jak ogień źrenice i miał coś odrzec, gdy nagle rozległo się gwizdnięcie, więc tylko rzekł:

— Jedziemy! — Romno gwizda.

Jakoż cała ta banda, postępując około wozów, ruszyła jakąś boczną, nieuczęszczaną widocznie drożyną, pełną zielska i wybojów, w głąb lasu.

ROZDZIAŁ IX.

Smutny początek znajomości z Cyngą i bohaterska śmierć znalezionego przez Janka pieska.

Podróż ta była bardzo uciążliwa. Romno dalej w lesie siadł na jakiegoś konika, którego mu przyprowa-

dził jeden z cyganów, zapewne ukradłszy go gdzie na pastwisku i jechał na przedzie. Za nim szły młodsze kobiety i dzieci, potem wóz ze sprzętami i kotłem, potem drugi z kobietami i maleńkiemi dziećmi. W tyle samym i po bokach postępowali mężczyźni, uzbrojeni w wielkie, mocno żelazem okute pałki. Wyglądali oni dziko, strasznie i Janek w coraz smutniejszych pogrążał się myślach, co do swej przyszłości w tej bandzie.

Szedł on ciągle, mając przy sobie Cyngę, z boku wozów, które z trudnością posuwały się wązką, zepsutą, pełną wybojów i korzeni drożyną leśną. Wesoły poranek się robił — z poza drzew przeglądało niebo rumiane jak wiśnia i złote. Ptaki po lesie świergotały, wiatr przynosił przyjemną, rozkoszną woń żywicy i świeżości. Janek chciał pogadać z Cyngą, chciał dowiedzieć się od niego, dlaczego go zatrzymano i co myślą z nim zrobić, ale że koło nich kręcili się ciągle starsi cyganie, więc nie mógł. Cynga też szedł milczący, nucąc pod nosem jakąś dziką piosenkę cygańską.

Wkońcu przecież, gdy wyjechali na szerszą i równiejszą drogę, tak, że na chwilę Janek znalazł się sam ze swym towarzyszem, przysunął się do niego i rzekł:

— Powiedz mi, Cynga, co wy myślicie ze mną zrobić?

Cynga nic nie odpowiedział, tylko spojrzał, jak to mówią, z podełba i nieznacznie obrzucił swym bystrym wzrokiem starych cyganów i odległość wozu, a przekonawszy się, że go nikt usłyszeć nie może, szepnął:

— Słuchaj, ty młody paniczu, Cynga cię kocha, Cynga ma takie serce, że kocha wszystkich, co mają takie oczy jak twoje... więc Cynga ostrzega młodego panicza, ażeby nic nie gadał, o nic nie pytał, bo tu wszyscy, nawet sam Romno, nawet stara Mokryna ma na niego zwrócone oczy...

— Któż to jest stara Mokryna?

— Tss... — syknął Cynga i wyszczerzając zęby, niby się śmiejąc, szepnął — ona siedzi na wozie i patrzy na nas.

Potem odwrócił głowę od Janka i począł po daw-

nemu nucić swą smutną, dziką i monotonną piosnkę. Janek, zaciekawiony jego słowami do najwyższego stopnia, spojrzał na ową Mokrynę. Siedziała ona na wozie, otulona w czerwoną płachtę, twarzą do obu chłopców, a bokiem do koni, z nogami spuszczonemi na dół i wzrokiem dzikim, pełnym tajonej złości, mierzyła Cyngę i Janka. Ten ostatni, spojrzawszy na nią, mimowolnie się wstrząsnął od uczucia pewnej bojaźni i grozy. Jakoż było się czego przestraszyć. Z pod czerwonej, podartej i brudnej płachty, którą Mokryna odziana była, wydobywało się kilka kosmyków, niegdyś czarnych, dziś siwych włosów, które w nieładzie spadały jej na opalone i bruzdami poorane czoło. Wielkie, nastroszone i krzaczaste brwi ocieniały głęboko zapadłe, czarne, jak węgiel i żarzące się oczy. Twarz ciemna, sucha, pomarszczona dopełniała obrazu tej istnej wiedźmy. Chuda, koścista, podobna do szponów jastrzębia ręka, przytrzymywała czerwoną płachtę. Mokryna siedziała nieruchomie na wozie, wyprostowana, z okiem, wlepionem w Janka.

Ten, widząc te straszne oczy, wpatrzone w siebie, mimowolnie się przeraził i odwrócił głowę. Zaraz potem rozległ się suchy, chrapliwy głos Mokryny, która zawołała jednego ze starszych cyganów i coś mu szepnęła do ucha, wskazując oczami na Cyngę i Janka. Janek widział, ale nie rozumiał, coby to miało znaczyć, choć jakieś smutne miał przeczucia, które nabyły pewności, gdy spojrzał na Cyngę. Ten stanął i z okiem szeroko rozwartem, blady śmiertelnie, patrzał na rozmowę Mokryny z cyganem, nieruchomy, jakby skamieniały, widocznie przerażony do głębi.

Tymczasem cygan, rozmawiający z Mokryną, odszedł od niej i, stanąwszy przy dwóch swoich towarzyszach, coś im powiedział, poczem zawołano Cyngi. Ten, milcząc, zwrócił się i spojrzał na Janka, który, na wielką boleść swoją, dostrzegł w oku poczciwego Cyngi dużą łzę, toczącą mu się po policzku. Z tem wszystkiem bohater nasz nie rozumiał, o co tu idzie i co to wszystko znaczy. Patrzał za idącym ku cyganom Cyngą, widział, jak stanął przed nimi, jak im się z czegoś tłómaczył, czego Janek zrozumieć nie mógł, gdyż mówili w nie-

znanym mu języku — nakoniec, na wielką swą boleść i przerażenie, ujrzał, jak dwóch drabów porwało Cyngę, jeden za nogi, drugi za głowę, jak go wyciągnęli w powietrzu, a trzeci, ten sam, który z Mokryną rozmawiał, począł wymierzać batem chłopcu ciężkie razy...

Cynga jęczał boleśnie, dusząc w sobie krzyk, a dzieci i kobiety, siedzące na wozach, za każdem uderzeniem śmiały się, klaskały w ręce i dzikimi okrzykami zachęcały bijącego do mocniejszych uderzeń. Janek, jak żyje, nic podobnego nie widział — oburzony, wściekły prawie, zbliżył się do wozu i, grożąc pięścią jakiemuś brudnemu chłopakowi, który najgłośniej krzyczał, zawołał:

— Ach, ty poczwaro! dam ja ci śmiać się z cudzego nieszczęścia — i chciał chłopaka uczęstować porządnie pięścią. Ale powstrzymała mu podniesioną już rękę stara Mokryna, która niepostrzeżenie zeskoczywszy z wozu, stanęła przy Janku i, chwytając go za ramię, szarpnęła nim mocno i pchnąwszy go na bok, syknęła:

— Won, ty... ty... mały psie.

I gdy właśnie w tej chwili skończyła się egzekucya Cyngi, Mokryna obróciła się do oprawców i głosem donośnym i chrapliwym poczęła coś do nich mówić, wskazując swym chudym, kościstym palcem na Janka. Oczywiście ten był jak najmocniej przekonany, że czeka go los Cyngi. Śmiertelny strach go opanował, włosy mu na głowie powstały, kiedy ujrzał ogromnego cygana z batogiem w ręku, zbliżającego się do niego.

— Chcą mię tak samo bić jak Cyngę, w oczach tych szkaradnych kobiet i dzieci, które się będą ze mnie śmiały — pomyślał Janek i dodał:

— Nie! nigdy!

I nie czekając, aż straszny cygan z batogiem stanie przy nim, obejrzał się dokoła i, widząc przed sobą gęsto zarosły las, rzucił się w bok i począł uciekać, co miał sił. Nie zważał na to, że gałęzie gęsto podszytego lasu młodemi drzewkami biły go i raniły po twarzy, że darły mu ubranie, tylko uciekał, uciekał,

gnany śmiertelnym strachem. Słyszał, jak w chwili, gdy rzucił się do ucieczki, rozległ się donośny krzyk mężczyzn, kobiet i dzieci, jak dudniała ziemia pod nogami kilku cyganów, którzy widocznie poczęli go ścigać, potem, gdy zagłębił się w gąszcz leśny, wszystko ucichło, tylko rozlegał się trzask łamanych przez niego samego gałęzi, lub krzyk spłoszonego ptaka.

Janek, zmęczony, zdyszany, podrapany, nie słysząc za sobą pogoni, zatrzymał się na chwilę, ażeby chwycić nieco powietrza i rozpatrzeć się w swem położeniu.

Znajdował się pośród niezmiernie gęstych zarośli leśnych, pośród tysiąca drobnych sosenek, brzóz i dębczaków, wysokich zaledwie na jakie dwa do trzech łokci i tak blizko siebie rosnących, że na dwa kroki przed sobą nic nie było widać. Janek uznał, że lepszego ukrycia znaleźć niepodobna, że jeżeli jeszcze kilkanaście kroków posunie się naprzód, zachowując wszelką ostrożność, żeby nie łamać gałęzi, to cyganie w żaden sposób nie będą go mogli znaleźć. Stał jeszcze przez chwilę, słuchając pilnie, czy nie dobiegnie go jaki hałas — ale wszędzie było cicho. Uspokoił się więc zupełnie, choć piesek, którego wczoraj ocalił i którego niósł ciągle na ręku i w ucieczce nawet nie porzucił, kręcił się niespokojnie, nadstawiał uszów i zdawał się nalegać na Janka, żeby szedł dalej.

Ale Janek, ucieszony, że wymknął się cyganom, nie wiele na to zważał. Odpocząwszy sobie przez chwilę, począł posuwać się naprzód, ostrożnie uchylając gałęzi i drzewek, żeby ich nie łamać i nie zostawiać za sobą tym sposobem śladu. Każda gałąź, każde drzewo z łoskotem wracało po przejściu Janka do dawnej swej pozycyi i zdawało się tworzyć nieprzebytą zaporę między nim a cyganami. W ten sposób uszedł kilkanaście kroków i znalazłszy nieco wolniejszego miejsca, zmęczony moralnie i fizycznie, położył się na bujnem zielskiem pokrytej ziemi.

Wyciągnął się wygodnie — obie ręce podsunął pod głowę i przez zbite drobne gałązki drzew spojrzał w niebo. Było jasne, czyste, błękitne. Wokoło Janka panowała wielka cisza - dochodził go tylko świergot

ptactwa i brzęczenie drobnych muszek, które w barwnych gromadach drżały na skwarze słonecznym. W górze pod niebem unosił się, jak czarna maleńka plamka, jakiś ptak, zapewne sokół lub kania, upatrując zdobyczy.

Janka ten spokój natury, to bezpieczeństwo, ta poważna cisza zupełnie przekonały, że niema się czego lękać ze strony cyganów. Widocznie przestali go ścigać, zapomnieli o nim — myślał sobie. I potem mówił, że dobrze zrobił, iż ich porzucił — coby on z nimi robił? Cyganie to złodzieje, rabusie, a przytem straszni ludzie. Najlepszy miał tego dowód na ich obejściu się z Cyngą. Żal mu było tego dobrego, poczciwego wyrostka cygańskiego — przypomniał sobie śmiertelną bladość jego twarzy, kiedy go stary cygan zawołał, jego wielką łzę, toczącą się po policzkach. Burzył się jeszcze teraz na wspomnienie szkaradnych, ohydnych, bezlitośnych krzyków kobiet i dzieci, podczas, gdy Cyngę bito niemiłosiernie. Zapewne i jego taki sam los by spotkał więc cieszył się, że uciekł, że zdołał się tak łatwo wysunąć z pośrodka wstrętnej bandy cygańskiej.

I był zupełnie spokojny, bo i czegóżby się miał niepokoić w głębi swego leśnego ukrycia, wśród niczem nieprzerwanej ciszy? Nie zważał wcale na to, że jego piesek, umieszczony na ziemi, ciągle się kręcił, nadstawiał uszów, a nawet wkońcu popełznął na swych trzech zdrowych nogach ku tej stronie, z której przed chwilą przybyli i z pyszczkiem podniesionym zdawał się coś niespokojnie wietrzyć. Janek wciąż na to nie zważał, spoczywał wyciągnięty na ziemi, z rękami podłożonemi pod głowę i gonił wzrokiem czarną plamkę sokoła, kołyszącego się wśród lazurów. Był zmęczony, oczy mu się kleiły do snu i myślał już o zrzuceniu z siebie płaszczyka, zrobieniu z niego poduszki i przespaniu się, gdy nagle tę niemą kontemplacyę i ten bezpieczny spokój naszego bohatera przerwał straszny i niespodziewany wypadek.

W chwili bowiem, gdy podniósł się nieco, zamierzając zrzucić z siebie płaszczyk, rozległ się nagle trzask gwałtownie łamanych gałęzi, i zaraz potem donośne,

zajadłe szczekanie — i na skraju maleńkiej polanki, na której Janek leżał, ukazał się potworny łeb psa cygańskiego. Stał on do połowy wychylony z gąszczu leśnego, z paszczą rozwartą, ukazując szereg strasznych zębów, zziajany, z językiem wywieszonym, z sierścią najeżoną na grubym karku, z oczami krwią zaszłemi. Stał i ujadał zaciekle, głośno, a odgłos jego szczekania rozlegał się po lesie donośnie.

Janek, ujrzawszy się zdradzonym, wyśledzonym, skamieniał odrazu, ale, odzyskując przytomność i energię, zerwał się na nogi i chciał uciekać, gdy pies, zobaczywszy to, rzucił się ku niemu. Janek był bezbronny, nie miał nawet kija w ręku, w jednem mgnieniu oka poznał więc, że walka z olbrzymim i dzikim psem do niczego nie doprowadzi. Mimowolnie, w najwyższem przerażeniu, cofnął się parę kroków wstecz, gdy nagle przyszła mu pomoc ze strony całkiem niespodziewanej.

Maleńki ów piesek, którego wczoraj ocalił i który tyle niepokoju okazał podczas spoczynku Janka, w chwili, gdy olbrzymi buldog cygański skoczył ku jego zbawcy, rzucił się naprzód i uwiesił się u szyi swego nieprzyjaciela, wpijając w nią wszystkie swe zęby i pazury trzech zdrowych łap. Buldog jęknął boleśnie i, usiłując się oswobodzić od szarpiącego go pieska, zatrzymał się — wtedy Janek, korzystając z chwili, chwycił za drzewko w pobliżu stojące, złamał je i właśnie zamierzał tym kijem uderzyć z całej siły w łeb buldoga, gdy nagle na skraju polanki ukazała się głowa tego samego cygana, który bił Cyngę. W tymże momencie buldog zdołał się oswobodzić od bohaterskiego pieska i rzuciwszy go na ziemię, rozszarpywał z wściekłością. Janek widział jeszcze oczy biednego pieska, zachodzące mgłą i wlepione w niego żałośnie — ale nie było czasu o tem myśleć. Cygan stał już na polance z batogiem w ręku i strasznym, dzikim wzrokiem spoglądał na Janka.

Ten, zdjęty śmiertelnym przestrachem, rzucił się w gąszcze i począł uciekać jak szalony. Niestety! zobaczył wkrótce, że niema dla niego ratunku. O kilka kroków od miejsca jego spoczynku gąszcze się koń-

czyły, a zaczynał się stary, więc o rzadkich drzewach las — a w tym lesie, wprost uciekającego Janka, stał na swym koniu Romno, inni cyganie, kobiety i dzieci. Chłopiec był ze wszech stron obsaczony, jak dziki zwierz w swem legowisku.

ROZDZIAŁ X.

Janek złapany dowiaduje się od Cyngi, co go czeka nazajutrz rano.

Położenie Janka było straszne. W chwili, gdy zjawił się na skraju gąszczu leśnego i przerażony zatrzymał się, nie wiedząc, jak wydobyć się z tej matni, spostrzegły go zaraz kobiety i dzieci, które, uzbrojone w kije, baty, gałęzie, z dzikim okrzykiem pobiegły ku niemu. W tyle za sobą usłyszał trzask łamanych drzewek i widział już brudny, podarty kapelusz cygana, unoszący się ponad gąszczem i zbliżający się ku niemu. Wkrótce ujrzał straszną paszczękę buldoga, rozwartą szeroko, zbroczoną krwią biednego pieska, jak przeświecała pomiędzy gąszczem szeregiem ostrych zębów. Ze wszystkich stron zbliżano się ku niemu, otaczano go coraz węższym kręgiem. Za chwilę będzie otoczony, schwytany, zbity niemiłosiernie.

Jeden tylko Romno stał opodal nieruchomy na swym koniu. W świecących guzikach jego kaftana przeglądało się słońce. Sam on, z powagą niewzruszoną, poglądał na roztaczający się przed nim obraz łowów biednego chłopca.

Janek, widząc, że już dla niego niema ratunku, postanowił uciec się pod opiekę cygańskiego króla. Co pomyślał, to i zaraz wykonał. Jednym skokiem stanął na ogołoconem z gąszczu miejscu, pchnął silnie zastępującego mu drogę chłopaka cygańskiego, że aż przewrócił się, i dobiegłszy do nieruchomego Romna, chwycił go oburącz za nogi i zawołał:

— Ocal mię, panie! nie daj mnie bić!

Romno poważnie spojrzał na wieszającego się u jego nóg chłopca i widząc nadbiegającą z głośnym krzy-

kiem bandę, podniósł do góry niewielki bat, który trzymał w ręku, świsnął nim w powietrzu i głosem donośnym, rozkazującym rzekł coś po cygańsku.

Banda zatrzymała się jak wryta. Wszyscy w odległości kilku kroków otoczyli dokoła króla i Janka i w pokornem milczeniu spoglądali na swego pana. Janek widział tajoną wściekłość, w oczach kobiet zwłaszcza, z jaką rzucały na niego wzrokiem. Czuł, że tylko potężna opieka Romna go broni, gdyby nie to, te szkaradne wiedźmy cygańskie rozszarpałyby go na nic. Romno tymczasem mierzył spokojnym, groźnym i pełnym dumy wzrokiem otaczającą go bandę — a na kogo spojrzał, ten zaraz spuszczał oczy, pochylał głowę jak niewolnik.

I przez chwilę trwało poważne milczenie w całej tej, tak niedawno wrzaskliwej bandzie. Nakoniec Romno podniósł głowę i, wskazując palcem na kobiety i dzieci, wyrzekł kilka słów. Natychmiast wiedźmy te i szkaradne bachury cygańskie cofnęły się i powdrapywały się na wozy, stojące w odległości jakich dwudziestu kroków na uboczu. Zostali tylko sami mężczyźni i ciągle w czerwoną płachtę odziana Mokryna. Owszem, była ona tak śmiała, że zbliżyła się do Romna i, wskazując swym chudym i czarnym, jak ziemia, palcem na Janka, coś poczęła rozprawiać swym krzykliwym, syczącym głosem. Romno słuchał jej z niewzruszoną powagą, a ona ciągle gadała, coraz głośniej, rzucając się dziwacznie, tak, że z głowy spadła jej czerwona płachta i ukazała jej włosy siwe, rozczochrane, rzadkie...

Janek, patrząc na to, drżał na myśl, że ta kobieta zapewne żąda, żeby go ukarano, żeby go wybito. I był prawie pewny, że do tego przyjdzie. Widział, jak Romno słuchał uważnie i w milczeniu słów Mokryny, jak nikt z otaczających nie śmiał jej przerwać, widoczną zatem rzeczą było, że ta szkaradna cyganicha miała jakieś znaczenie, jakąś powagę w bandzie. Od czasu do czasu rzucał ukradkowo wzrokiem dokoła, czyby mu nie udało się uciec — ale las dalej był rzadki, widny, on sam był zmęczony i widział przed sobą strasznego buldoga, którego trzymał na obroży cygan i gotów zapewne puścić tego dzikiego psa za uciekającym,

w razie nowej próby. Ucieczka więc wprost była niemożliwą i Janek z rozpaczliwą rezygnacyą zdał się na Opatrzność. Ale mimowolnie łzy mu potoczyły się z oczów, zawstydzony tem, otarł je zaraz, nie wiedząc że Romno od niejakiego czasu patrzy na niego. W chwili, gdy Janek otarł łzy, król cygański przerwał Mokrynie jej długą rozprawę, wskazał jej ręką wozy z kobietami i dziećmi, i obrócił się do mężczyzn.

Mokryna umilkła, zarzuciła na głowę swą czerwoną płachtę, spojrzała jadowitym wzrokiem na Janka i wolno cofnęła się do wozu, na którym usiadła tak, jak poprzednio, z nogami na dół spuszczonemi. Romno tymczasem przemówił coś do cygana, który buldoga trzymał i sam zawrócił konia i odjechał wolno, zostawiając Janka przed cyganami samego.

Ci zbliżyli się do niego, zdjęli mu płaszczyk, surducik... słowem, poczęli go rozbierać. Janek przerażony tem, myśląc, że go będą bili, zaczął krzyczeć, z płaczem zwracając się do odjeżdżającego króla cygańskiego.

- Panie Romno, zmiłuj się, nie daj mnie bić!

- Cicho bądź — mruknął jeden z cyganów — nikt cię tu bić nie będzie. Romno nie dał, choćby ci się należało z piętnaście dobrych batogów.

- A po cóż wy mnie rozbieracie? — spytał, uspokojony już nieco Janek.

- Bo nam się tak podoba — odrzekł drugi cygan — cóżeś ty lepszego od innych, że masz takie pańskie na sobie suknie! Te suknie pójdą dla naszych cyganiąt, a ciebie ubierzemy w łachmany, żebyś wyglądał jak prawdziwy cygan.

— A dlaczegóż ja mam tak wyglądać? przecież ja nie cygan! — pytał Janek.

— Nie jesteś cygan, to prawda — odrzekli mu na to, śmiejąc się — ale nim będziesz.

Zabrali mu jego porządne sukienki, włożyli na niego brudne, podarte łachmany, które Janek ze wstrętem wdział na siebie. Ale trudno, trzeba było na wszystko się zgodzić, zwłaszcza, że bohater nasz czuł się bardzo szczęśliwym, iż uniknął tej surowej kary, jaka spotkała biednego Cyngę.

Skoro już wszystko było załatwione, banda wyru-

szyła w dalszą drogę. Cynga znowu stanął przy Janku, ale nie spojrzał nawet na niego i milczał jak zaklęty, choć nieraz przydarzyła mu się sposobność pomówienia. Zresztą sam Janek nie chciał narażać dobrego chłopca, do którego czuł żywą sympatyę, na nową okrutną karę. Postępowali więc w poważnem i głębokiem milczeniu przez las, pełen starych drzew, ciągle skręcając na boczne, nieraz trudne do przebycia dla wozów drożyny.

Dla Janka podróż ta była niezmiernie przykrą i uciążliwą. Cyganie zabrali mu buciki i musiał iść boso, po kamieniach, drobnych kamykach i igłach sosen, co dla nieprzyzwyczajonego chłopca było męczarnią prawdziwą. Ale cóż było na to robić? Wszyscy cyganie, oprócz Romna, byli boso i Janek także, jako nowy cygan, musiał chodzić bez butów.

Szli długo, cały dzień, nie zatrzymując się prawie wcale — rzadko i na krótko tylko wychylając się z lasu. Na czele, na swym koniu, ciągle jechał samotny i milczący Romno. Mokryna za to nie spuszczała ani na chwilę oka z Janka i Cyngi, którzy postępowali przy sobie, nie otworzywszy ust przez cały dzień.

Janek czuł się ogromnie znużonym tą przykrą drogą, boso, śród lasu. Szczęściem, nad wieczorem banda zatrzymała się na prześlicznej polance, śród lasu, nad strumieniem, który toczył swe przeźroczyste, jak szkło, wody, po twardym gruncie, pełnym różnokolorowych kamyków. Rozłożono się tam, zapalono ognisko, ugotowano nędzną wieczerzę, poczem cała banda zasnęła — i Janek z nią. Obudziło go silne szarpnięcie. Roztworzył oczy i przy blasku księżyca, który oblewał swem srebrnem światłem całą polankę, ujrzał pochylonego nad sobą Cyngę. Wielkie oczy chłopaka były wlepione w Janka — na pół leżąc, na pół siedząc, Cynga, otulony przed chłodem nocy kwietniowej w swe łachmany, zdawał się czegoś pilnie nadsłuchiwać, nie spuszczając jednak ani na chwilę wzroku z Janka.

Ten ostatni, widząc to, chciał go już zapytać, czemu tak na niego patrzy, ale zaledwie roztworzył usta, gdy Cynga przyłożył palec do swych czerwonych, jak karmin warg, na znak milczenia — i dalej nadsłuchiwał uważnie.

Janek, zdziwiony niezmiernie tem zachowaniem się młodego cygana, przerażony jego tajemniczością ruchów, począł także oglądać się i słuchać. Ale nic nie ujrzał takiego, coby w nim wzbudzić mogło podejrzenie. Resztki ognia tliły się na środku polany, obrzucając krwawym blaskiem konie, drzemiące przy wozach i grupy śpiących mocno cyganów. W lesie panowała też poważna cisza, przerywana szmerem wiatru i hukaniem gdzieś w głębi lasu puszczyka. Jakiś cygan, niedaleko obu przyjaciół chrapał głośno i przeciągle.

Nagle Cynga położył się i przypełzał do Janka. Oczy cyganowi świeciły się jak dwa dyamenty, jakimś gorączkowym blaskiem. Przytknął usta do ucha zdziwionego chłopca i począł szeptać:

— Nie rusz się i nic nie mów, najmniejszy szelest może kogo zbudzić... słuchaj mnie uważnie, co ci powiem.

Umilkł na chwilę, poczem mówił:

— Wiesz, co oni myślą z tobą zrobić? Oto idą, żeby cię wydać w ręce Austryaków, którzy im dobrze za to zapłacą. Myślę, że niedaleko musimy być od Austryaków, bo słyszałem, jak Romno mówił wieczorem do Dajgi, tego, co mnie wczoraj bił, żeby cię pilnował dobrze, bo jutro zapewne spotkamy się z wodzem austryackim. I cóż ty na to? Jeżeli mi chcesz odpowiedzieć, to przyłóż usta do mego ucha i mów!

Janek zrobił tak, jak mu kazał Cynga i rzekł, przestraszony okropnie tem, o czem przed chwilą się dowiedział.

— Zmiłuj się, Cynga, cóż ja mam robić... chyba znowu uciekać?... ale ten przeklęty buldog...

Zaiskrzyły się oczy Cyngi, pochylił się do ucha Janka i szepnął:

— Tylko uciekać... musisz uciekać, innego ratunku niema. Romno mówił, że Austryacy dadzą za ciebie dużo złota i powieszą cię zaraz. Brrr! — otrząsnął się — brzydka to śmierć na szubienicy. Więc musisz uciekać. Teraz jest dopiero północ, masz przed sobą kilka godzin nocy...

Odetchnął na chwilę, oglądając się dokoła trwożliwie' poczem, uspokojony, mówił:

— Ja ci powiem... ja cię bardzo kocham — i ja

z tobą ucieknę. Nie ruszaj się! — szepnął, wstrzymując siłą Janka, który poczciwemu cyganowi chciał się rzucić na szyję — nie ruszaj się, bo nas zdradzisz... Więc i ja z tobą ucieknę, ale pod warunkiem, że mię będziesz ślepo słuchał we wszystkiem. Ty nie znasz cyganów, gdybyś ich znał, nie byłbyś dziś rano tak głupio uciekał... Ale ja znam, ja wiem, jak to robić trzeba — uciekniemy i to zaraz.

— A buldog! — szepnął Janek.

— Buldog! — zasyczał śmiechem Cynga, pokazując białe i ostre zęby — buldog już nie żyje. Przed godziną zwabiłem go do siebie, bo to on pilnuje w nocy naszego obozu i dałem mu chleba z trucizną... zdechł w mgnieniu oka. Już on nas gonić nie będzie, nie! O! widzisz go?... on tam leży.

I wskazał ręką na niekształtne, pokurczone ciało psa, który w odległości paru kroków od nich leżał wyciągnięty na ziemi.

Cynga nachylił się znów do ucha Janka i szepnął:

— Psa więc niema już i jego się nie boję. Boję się tylko Mokryny, która sypiać nie może po nocach, i bacznie nadsłuchuje, co się dzieje w obozie. Ona tam położyła się pod wozem... nie wiem, czy śpi, czy nie. Wie ona dobrze, że Romno cię chce oddać Austryakom, że za ciebie dostaną dużo złota, więc może ma na ciebie zwrócone oczy. Ale to nic... o! chwała Bogu, księżyc zaszedł za chmurę i zrobiło się ciemno. Posłuchajże, co masz zrobić.

Nachylił się lepiej i szeptał:

— Posuniesz się, jak będzie można najwolniej i najciszej, na czworakach, a lepiej, pełzając i zatrzymując się co chwila, ku strumieniowi. Przez strumień, który jest płytki, przejdziesz na drugi brzeg. Tam już jest las i ciemno — trudno cię będzie zobaczyć. Usiądziesz pod drzewem i będziesz czekał na mnie.

— Ja niedługo przybędę. Gdybyś zaś nie mógł się mnie doczekać i gdybyś spostrzegł lub usłyszał jaki ruch w obozie, to nie czekaj na mnie, tylko uciekaj. Ale nie uciekaj daleko, bo to na nic się nie zda — wleź lepiej na jakie drzewo, dąb lub sosnę i siedź tam, choćby do popołudnia do jutra, nie ruszając się...

Jeszcze jedno, gdybyś w ciągu nocy usłyszał głos kukułki gdzie w lesie, to ja będę... Odpowiesz mi — umiesz hukać jak sowa?

— Umiem.

— No, to dobrze. Zrób, jak ci mówię i ruszaj w imię Boże!

Położył się na ziemi ostrożnie, obejrzawszy się dokoła i dał znak ręką Jankowi. Ten przeżegnał się i począł pełzać na brzuchu.

ROZDZIAŁ XI.

Wydostanie się z cygańskiego obozu i straszna przeprawa przez rwące wody potoku.

Zostawiliśmy Janka, jak za namową Cyngi zaczął pełzać z pośrodka obozowiska cygańskiego ku potokowi, rozdzielającemu polanę od boru. Nowa ta ucieczka nie była bardzo bezpieczna. Chcąc dostać się do potoku, trzeba było przebyć dużą, może dziesięciu kroków przestrzeń, niczem nie osłonioną i oświeconą księżycem.

Szczęściem, księżyc, jak to zauważył Cynga, schował się właśnie za chmury i należało z tego korzystać, choć było jeszcze na tyle widno, że łatwo było można rozpoznać wszystkie przedmioty na polanie. Nie była więc bezpieczną ta ucieczka, zwłaszcza dla Janka, który już próbował wydostania się z pod opieki cygańskiej i gdyby mu się teraz nie udało, zapewneby mu tego nie przebaczono obecnie tak łatwo, jak pierwszym razem.

Z biciem więc serca posuwał się na brzuchu, zatrzymując oddech w sobie i starając się jak najmniej robić szelestu, co nie było łatwem, gdyż polana zarzucona była mnóstwem zeschych liści i gałęzi. W takich warunkach podróż ta była ciężka i mozolna — a nadewszystko straszliwie powolna. Pełzając na brzuchu, nie można było pospieszać i Janek drżał na myśl, że stara Mokryna, siedząc ukryta pod wozem i nie śpiąc, bo Cynga mówił, że nie sypia po nocach — lada chwila

go spostrzedz może swym bystrym wzrokiem. Co chwila więc zatrzymywał się, tak dla uchwycenia powietrza, gdyż wzruszenie dławiło mu oddech, jak i dla obejrzenia się dokoła. Czynił to oczywiście bardzo ostrożnie — i za każdym razem, na wielką swą pociechę, widział niczem nienaruszony spokój, panujący nad uśpionym obozowiskiem.

Tak więc, pełzając powoli, Janek dostał się szczęśliwie do potoku. Brzeg był dość wysoki i stromy. Zsunął się ostrożnie z niego i, zasłonięty mocno wystającym brzegiem, oraz krzakami łoziny, rosnącej nad nim, usiadł chwilę na wilgotnym piasku, żeby spocząć nieco. Mozolna ta, acz krótka podróż na brzuchu, a nadewszystko silne wzruszenie, zmęczyło go niezmiernie. Usiadł więc i odpoczywał.

Ale nie można było długo odpoczywać — zresztą Janek sam czuł to dobrze, że im dalej będzie od obozu cygańskiego, tem będzie bezpieczniejszy. Pochyliwszy się, puścił się w bród przez potok, który był tak płytki, że woda dzielnemu chłopcu dochodziła zaledwie do kolan, ale za to była zimna jak lód. Janek był boso, noc była chłodna, bo kwietniowa, przeprawa ta więc przez bystry strumień nie była zbyt przyjemną. Nogi kostniały Jankowi, tem więcej, że musiał iść wolno, żeby pluskaniem wody nie zwrócić uwagi starej Mokryny, która, jak sądził, nie śpi, a wzrok ma dobry i słuch jeszcze lepszy.

Dostał się nakoniec do drugiego brzegu, który był równie stromy i wysoki, jak z tamtej strony. Chcąc wydobyć się na wierzch, Janek chwycił za gałąź łoziny, rosnącej tuż nad wodą, ale nieszczęściem gałąź ta, z głośnym trzaskiem złamała się, i chłopiec, jak długi, runął w wodę. Plusk rozstępującej się wody potoku rozległ się wśród ciszy nocnej donośnie.

Janek, przerażony nadzwyczajnie, zerwał się szybko i przycupnął pod krzakiem, siedząc w wodzie i oglądając się trwożliwie dokoła. Jakoż było się czego zatrwożyć. Na odgłos upadku Janka z pod wozu wysunęła się wysoka, chuda postać Mokryny, którą oblał potokiem srebrnego światła księżyc, wydobywający się właśnie z poza chmury. Stara cyganicha wstała i obej-

rzała się, a księżyc od wysokiej jej postaci rzucał długi, posępny cień.

Janek zatrzymał oddech w piersiach. Choć woda mroziła mu wszystkie członki, siedział jednak nieruchomy, z okiem wlepionem w Mokrynę. Ta postała chwilę, nadsłuchując pilnie, potem krokiem wolnym, ruszyła ku potokowi. Janek przytulił się do krzaka, a choć cień tam był mocny i nie było prawdopodobieństwem, żeby mógł być dostrzeżony, wszelako obawiał się niezmiernie zbliżającej się ku strumieniowi poważnej, wysokiej, podobnej raczej do widma, niż do żyjącej istoty, postaci starej cyganki. Szła ona wolno, wyprostowana jak struna, a światło księżyca padając na nią, na fantastyczne udrapowanie wielką czerwoną chustką, tworzyło z niej dziwną, jakąś nieziemską istotę.

— Gdybym ją tak spotkał niespodzianie w nocy — pomyślał sobie Janek — choć wiem, że strachów niema na świecie, wziąłbym ją za ducha.

Tymczasem Mokryna zbliżyła się do potoku, postała chwilę, popatrzała w jego bystro toczące się wody, w których światło księżyca, przeglądając się, tworzyło z lekko pofalowanego prądu, oślepiającego blasku brylanty. Janek modlił się w głębi duszy, żeby sobie jak najprędzej poszła cyganka, gdyż coraz mu zimniej było, przemoczony cały, drżał jak w febrze, a nogi miał zupełnie skostniałe. I znowu mu przyszło na myśl ciepłe, wygodne łóżeczko we dworze Łęgonickim i żal mu się zrobiło tak nieoględnie rzuconego spokoju, ciszy i bezpieczeństwa. Ale energiczna jego dusza szybko odzyskała swe męstwo i odwagę.

— Com zrobił — mówił sobie — dobrzem zrobił, powinienem był tak zrobić.

Nareszcie cyganka odeszła. Posunęła się jeszcze parę kroków wzdłuż potoku, poczem wróciła się i ruszyła ku obozowi. Janek, widząc ją odchodzącą, właśnie w kierunku tego miejsca, gdzie on spał z Cyngą, pomyślał sobie, że będzie zaraz dostrzeżoną jego ucieczka, a plusk wody, który słyszała Mokryna, wskaże niejako drogę jego ucieczki. W tak przykrem położeniu, natężając całą swą duszę nad wynalezieniem środka ratunku, śledząc okiem powolne ruchy starej cyganki,

natrafił nakoniec na sposób wyjścia z tego niebezpieczeństwa.

— No! — szepnął, podnosząc się z trudnością — teraz nie dam się tak łatwo złapać.

Jednym śmiałym i zręcznym skokiem stanął na brzegu. Tutaj było prawie zupełnie ciemno. Wielkie dęby i olchy, gdyż był to las liściasty, nie przepuszczały promieni księżycowych, z czego, rzecz prosta, Janek był bardzo zadowolony.

Stanąwszy na brzegu, obejrzał się jeszcze raz za Mokryną, której postać wyraziście się rysowała na jasno przez księżyc oświeconej polanie. Szła wciąż w głąb obozu, widocznie więc odgłos skoku Janka na brzeg nie dobiegł jej uszów. Nie czekając więc, aż stara cyganka dojdzie do środka obozu, puścił się szybkim krokiem wzdłuż brzegu potoku. Biegł żwawo, najprzód dlatego, żeby się jak najdalej odsunąć od miejsca swej przeprawy, a potem, żeby się nieco rozgrzać. Był zziębnięty tak mocno, że zęby mu szczękały jak w febrze.

Przebiegłszy około pięćdziesięciu kroków, wciąż nad brzegiem potoku, zatrzymał się naprzeciw tego miejsca, gdzie z drugiej strony kończyła się polana i poczynał się równie ciemny i gęsty las, jak i na tym brzegu. Stąd, ukryty w cieniu, czując się do pewnego stopnia bezpiecznym, począł przyglądać się obozowisku cygańskiemu, które przy blasku księżyca, w oddali, w niepewnych i zamglonych rysowało się kształtach.

Bezpieczeństwo swoje Janek na tem opierał, że, jeżeli Mokryna spostrzeże jego nieobecność w obozie, zbudzi naturalnie cyganów, którzy poczną go szukać. Wówczas stara cyganicha przedewszystkiem przypomni sobie tajemniczy plusk wody i wpadnie na bardzo prostą myśl, że Janek uciekł na drugi brzeg potoku. Tam też skieruje się pogoń — a ścigany tymczasem przedostanie się przez wodę znowu na pierwszy brzeg i ukryje się w lesie, tuż przy polanie, bezpieczny, bo psa już niema, któryby go mógł wytropić, a cyganom zapewne na myśl nawet nie przyjdzie szukać zbiegłego na tej samej stronie strumienia, na której stoją obozem.

Taki mając plan, Janek usiadł sobie pod rozłożystym dębem i, otulając się w zmoczone łachmany, usiłował

się rozgrzać, nie spuszczając ani na chwilę oka z obozu cygańskiego. Nie przechodził zaś zaraz na przeciwny brzeg, z racyi następującej:

Naprzód, nie było jeszcze żadnej pewności, czy Mokryna spostrzeże jego nieobecność, w takim razie przeprawienie się na drugą stronę potoku narażało Janka niepotrzebnie na nowe zimno, oraz oddalało go od Cyngi, który zapewne nie omieszka wkrótce drapnąć z obozu. Słusznie więc i rozumnie Janek zrobił, że czekał na rezultat cichego przeglądu Mokryny.

Przez jakiś czas panowała w obozie taka sama jak dotąd, cisza i spokój — i Janek już myślał, że Mokryna poszła położyć się na swe legowisko pod wozem, nie obejrzawszy wprzódy obozu. Omylił się jednak. Albowiem, kiedy już winszował sobie szczęśliwej ucieczki i nadsłuchiwał, czy nie rozlegnie się umówiony między nim a Cyngą głos kukułki, nagle, zamiast tego głosu, dobiegł jego uszów z obozu donośny krzyk Mokryny. Poznał jej głos chrapliwy i zerwał się na równe nogi, wytężając wzrok, czy czego nie dostrzeże.

Jakoż dostrzegł najprzód, że ognisko, dotąd ledwie tlejące śród obozowiska, podsycone widocznie suchemi gałęźmi, buchnęło wielkim płomieniem i obrzuciło krwawym blaskiem ponure i ciemne drzewa lasu. Koło ogniska widział wyraźnie kręcące się czarne sylwetki cyganów, kobiet i dzieci, gorączkowo biegające tu i tam, usłyszał gwar, tętent koni, krzyki, ponad którymi rozlegał się donośny, rozkazujący głos Romna. Potem ujrzał, jak kilka kobiet chwyciło zapalone łuczywa i, otoczone cyganami na koniach, pod przewodnictwem starej Mokryny, ruszyły w kierunku potoku. Wkrótce jego wody zaczerwieniły się purpurą ognia, cały ten tłum stanął nad brzegiem i pochylony zdawał się czegoś szukać na ziemi. Janek widział wyraźnie wychudłą, wysoką postać Mokryny, która mówiła coś i wskazywała ręką na miejsce, w którem Janek wpadł w wodę. Zaraz potem kilka kobiet z pochodniami przeszło w bród potok, a za niemi kilku cyganów na koniach. Zatrzymali się na przeciwnym brzegu i znowu upatrywali śladów. Janek widział, jak, pochyliwszy krwawo gorejące łuczywa, kobiety starannie opatrywały ziemię,

podobne wśród ciemności nocnych, krwawo oświecone, do jakichś duchów z pól Elizejskich, o których czytał w mitologii greckiej.

— Nie mam tu czego siedzieć — zmykajmy! — szepnął i wszedł do wody.

Ale tu czekało go nowe niebezpieczeństwo. Zrazu była woda dość płytka, ale dalej ku środkowi uczuł, że mu gruntu ubywa pod nogami. Przytem łuczywa rozbiegających się kobiet poczęły rzucać na wodę daleki czerwony odblask i Janek słusznie się obawiał, żeby go nie spostrzegły bystre oczy cyganów. Chcąc tego uniknąć i zarazem szybko przedostać się na drugą stronę, gdyż zimno mroziło mu członki, posunął się naprzód nieostrożnie i wpadł widocznie w jakiś dół, gdyż woda go całkiem pokryła. Na chwilę, ten nowy, niespodziewany wypadek przeraził go tak, że zupełnie stracił przytomność. Przymknął oczy i zdawało mu się, że leci w jakąś bezdenną, bezgraniczną przepaść... Ale wkrótce odzyskał energię. Westchnął w mrocznej głębi potoku do Boga i przypomniawszy sobie, że umie pływać, rzucił się naprzód i wkrótce wydostał się na wierzch wody. Tutaj jednakże, czy prąd był za silny, czy też skostniałe od zimna ręce i nogi, nie mogły z siłą działać, woda poczęła gwałtownie go unosić, szczęściem, że w stronę przeciwną tej, w której byli cyganie. Naprożno chciał opierać się, gdyż czuł, że długo nie zdoła się utrzymać na powierzchni wody; wciąż unoszony, pędził szybko z prądem. Zimno przenikało go do kości, nasiąkłe wodą odzienie zaczęło mu straszliwie ciężyć, coraz słabiej się opierał i myślał już o śmierci.

Zmówił w duszy cichą modlitwę, westchnął do matki, która tam zapewne z wyżyn niebieskich patrzy na straszną śmierć swego dziecięcia i już ostatkiem sił utrzymywał się na wodzie, gdy nagle nogi jego uderzyły o ziemię. Z niezmierną, niewypowiedzianą radością postrzegł pod swemi stopami biały piasek, prowadzący aż do samego brzegu.

Tu, wśród wody, ukląkł na piasku i w cichych, serdecznych słowach podziękował Bogu za wyratowanie go od śmierci. Modlitwa ta natchnęła go nową odwagą i energią. Żwawo podniósł się i w paru krokach stanął

na brzegu, gęsto zarośniętym krzakami i młodemi drzewami.

Usiadł, zmęczony i zziębnięty straszliwie, pod krzakiem i spojrzał na cyganów, których płomieniste łuczywa wciąż kręciły się ponad potokiem. Zauważył jednak, że teraz już były tam tylko same kobiety i dzieci, konnych cyganów nie było.

— Pobiegli zapewne szukać mię po lesie — szepnął i uśmiechnął się na myśl próżności tych poszukiwań.

Wkrótce potem usłyszał tętent konia i wśród ciemności dostrzegł na przeciwnym brzegu szybko przebiegającego cygana. Gdy ten zniknął, Janek wstał i zapuścił się wgłąb lasu. Ale zaledwie parę kroków się posunął, gdy niedaleko odeń rozległ się wyraźnie głos kukułki.

ROZDZIAŁ XII.

Ucieczka Janka i Cyngi na królewskim koniu Romna.

Cynga, jak wiadomo, umówił się z Jankiem, iż da mu znać o swej obecności w lesie głosem kukułki, na co ten ostatni winien huknąć jak puhacz. Usłyszawszy tedy Janek umówiony znak i do tego z tej strony potoku, ucieszył się niezmiernie, gdyż przekonywało to, że Cynga zdołał szczęśliwie uciec. Zaraz więc w odzew huknął niby puszczyk i żywo puścił się w kierunku, z którego dobiegał głos kukułki, ale napróżno szukał, choć Cynga ciągle kukał i nawet gdzieś bardzo blizko Janka, tak, że ten ostatni począł w końcu sądzić, że to istotna kukułka, a nie Cynga się odzywa. Z tem wszystkiem, nie tracąc nadziei, hukał ze swej strony, gdy nagle z drzewa spuścił się Cynga i stanął przed Jankiem, wyszczerzając z widocznym wyrazem radości szereg swych białych, jak kość słoniowa, zębów.

— Ach, to ty, Cyngo! — zawołał Janek ucieszony — myślałem, że cię już nie znajdę.

— Słyszałem ja ciebie, paniczu, oddawna, ale wprzódy chciałem się przekonać, czy to ty jesteś rzeczywiście, dlatego tak długo nie złaziłem z drzewa — odrzekł Cynga, ściskając mocno podaną mu rękę.

— Jakżeś się wydostał z obozu?

— O tem potem, teraz nie mamy czasu na próżne gadanie. Uciekajmy! Jak cyganie zobaczą, że ciebie niema na tamtej stronie potoku, poczną na tej szukać, co niedługo nastąpi, gdyż jeno patrzeć, będzie światło. No, chodźmy.

I wziąwszy Janka za rękę, chciał już iść, gdy nagle spostrzegł, że ten drży mocno.

— Co to, zimno ci?

— O! i bardzo.

— Prawda, dwa razy przelaziłeś przez wodę i upadłeś, widzę. Ano, mógłbyś zachorować, boś ty delikatny, nie cygan. Musisz wdziać inne suknie.

— Skądże ich wezmę? — spytał Janek.

— Ja ci je dam, paniczu! — odrzekł na to cygan — i żwawo ruszył naprzód, prowadząc Janka za sobą.

— I nawet powiem ci — mówił dalej — że to dobrze będzie, jak się przebierzesz. Te łachy wrzućmy do wody — będą myśleli cyganie, żeś się utopił. Ha! ha! ha! — zaśmiał się cicho — mają oni rozum, mam i ja także, nie darmo jestem synem Czandali.

Westchnął lekko, jakby imię to budziło w nim smutne wspomnienie — i zamilkł. Szli tak przez jakiś czas pośród wielkiej gęstwiny leśnej, poczem zatrzymali się. Cyngа dał znak ręką Jankowi, żeby stanął, a sam rzucił się na ziemię, przyłożył do niej ucho i słuchał tak krótką chwilę, poczem wstał i szepnął, wyszczerzając zęby:

— Wszystko dobrze idzie. Zaczekaj tu na mnie, zaraz wrócę.

I, nie czekając na odpowiedź Janka, wślizgnął się cicho, jak wąż, pomiędzy najgęstsze krzaki i po chwili zjawił się z przeciwnej strony, prowadząc za uzdeczkę konia samego króla cygańskiego, osiodłanego i objuczonego dwoma workami.

— Cynga, skąd ty masz konia? — spytał zdziwiony Janek.

— Skąd? skąd? — mruknął cygan — przecież piechotą uciekać nie będę, bobym niedaleko uszedł i łatwoby mnie znaleźli. Dalej, rozbieraj się paniczu — niewiele mamy czasu.

To mówiąc, spojrzał na wschód, widzialny nieco z poza drzew leśnych, który poczynał się już lekko rumienić — poczem zdjął z konia worek, wyjął z niego dwa ubrania, jedno dawniejsze Janka, drugie nowe, i, podczas, gdy Janek się przebierał, on także wdziewał na siebie bardzo przyzwoity granatowy surdut, wielkie buty palone i spodnie łosiowe.

— Nie możemy w cygańskim stroju jechać, boby nas wójt w pierwszej lepszej wsi zatrzymał i do kozy wsadził, dlatego wystarałem się o ten ubiór. Teraz czasy wojenne, trzeba o wszystkiem pamiętać.

I uśmiechał się, wyszczerzając zęby. Janek tymczasem zrzucił z siebie szkaradne łachmany, które go wstrętem przejmowały, nasiąknięte wodą, a przebrał się w swe dawne sukienki, otulił płaszczykiem i zaraz mu się cieplej zrobiło. Cynga także się ubrał i kiedy wdział jeszcze nową, elegancką czapkę na głowę, kiedy przyczesał grzebykiem obo i ten znalazł się w torbie, włosy, wyglądał nie na cygana, ale na bardzo przyzwoitego szlachcica. Skończywszy się stroić, zebrał swe dawne, dość jeszcze całe ubranie i schował do worka, mówiąc:

— Szkoda tego niszczyć, sprzedamy gdzie i dostaniemy parę złotych, a przytem zostawiać tu nie można bo byłby ślad. No, teraz dawaj twoje łachy!

Wziął łachmany, rzucone przez Janka na ziemię, wyszukał duży kamień i przywiązał go do nich, a skończywszy tę robotę, rzekł do Janka:

— Zostań tu i trzymaj konia, ja, jak tylko ułatwię się z utopieniem ciebie — uśmiechnął się — zaraz powrócę.

I znowu znikł w gąszczu leśnym ze zwinnością i zręcznością, która podziw budziła w Janku. Pomimo mnóstwa liści i gałęzi suchych, jakiemi zarzucona była ziemia, kroki cygana nie zdradzały się najmniejszym szelestem, ślizgał się jak wąż.

Dość długo nie było go widać i Janek począł się już lękać, czy mu się nie przytrafiło jakie nieszczęście, zwłaszcza, że okrzyki kobiet i dzieci cygańskich z tamtej strony potoku wśród ciszy nocnej dochodziły go wyraźnie, a krwawy blask palonego przez nich łuczywa

odbijał się na szczytach sosen. Niepokoił się więc i niecierpliwił z tak blizkiego sąsiedztwa swoich nieprzyjaciół, gdy nareszcie Cynga się pokazał. Był uśmiechnięty, uradowany.

— Doskonale mi się udało — rzuciłem twoje łachmany do wody, która tam jest bardzo głęboka. Czyś ty tamtędy przechodził? — spytał.

— Tamtędy i o mało się nie utopiłem.

— Nieuważny jesteś, paniczu, o parę kroków dalej jest piasek i płytko — ledwiebyś nogi zamoczył. Twoje łachmany unoszą się nad głębią, będą myśleli rano, żeś się utopił. No, w drogę! — zawołał — mamy przed sobą z godzinę dobrą czasu. Oni cię teraz nie szukają, przypuszczają bowiem, że siedzisz na drzewie — bobrują tylko po lesie, żebyś czasami nie zeszedł i czekają dnia, pewni, że cię złapią jak lisa. Ha! ha! ha! — zaśmiał się — oto jest rozum na rozum. Dobrześ zrobił, żeś przeszedł na tę stronę, inaczej miałbym dużo z tobą kłopotu, żeby cię stamtąd sprowadzić. Sprytny jesteś, paniczu. No, siadajmy na konia!

Usiadł pierwszy, Jankowi kazał się za sobą pomieścić i trzymać dobrze, gdyż niedługo, jak tylko wydostaną się z lasu, ruszą galopem.

— A nie mów nic — zalecał Jankowi — bobyśmy się mogli zdradzić. Mają oni dobry słuch i słyszą, jak trawa rośnie! — dodał, wskazując głową w stronę cyganów, a oczy mu się zaiskrzyły jak u kota, z widocznym wyrazem tajonej nienawiści.

Ruszyli stępa i bardzo ostrożnie przemykając się między gęstymi krzakami. Poprzednio jeszcze Cynga owiązał łachmanami z ubrania Janka kopyta koniowi, tak, że stąpając, nie wydawały one najmniejszego odgłosu. Koń był przytem widocznie wyuczony do skradania się w lesie, gdyż posuwał się bardzo ostrożnie i zręcznie wymijał gałęzie, których szelest mógł zdradzić jego pochód. Jechali w głębokiem milczeniu, a co jakiś czas Cynga zatrzymywał konia, zeskakiwał i przykładał ucho do ziemi. Po każdem takiem przysłuchaniu się szeptał, drapiąc się na konia:

— Wszystko dobrze, jeszcze są na tamtej stronie — niczego się nie domyślają.

Nakoniec wydostali się z lasu na jakąś drożynę, przerzynającą obszerne pola, zazielenione wschodzącemi oziminami oświecone jasnym blaskiem księżyca. Cynga obrócił się do Janka i rzekł:

— Trzymaj się, paniczu, dobrze — i puścił konia wyciągniętym galopem.

Koń był dobry i rwał jak wicher. Drożyna była piaszczysta, a przytem, dzięki przezorności Cyngi, z jaką zużytkował łachmany Janka, tętent biegnącego konia był bardzo słaby, choć Cynga i na to narzekał.

— A też dudni — mówił — jakby nikogo nie było za nami. Ha! cóż robić — teraz tylko w szybkości nóg końskich nadzieja, bo ten tętent wcześniej, czy później nas zdradzi.

Pędzili więc, co koń wyskoczy. Tak przebiegli drożynę, dostali się na szeroki gościniec, a gdy na końcu jego Cynga dostrzegł czerniącą się wieś, zawrócił w bok na pierwszą lepszą drogę i jechał dalej.

— Nie trzeba — mówił — żeby nas kto teraz widział. Zawsze byłby to ślad, a ja nie chcę, żeby oni mieli ślady. Z dwoma jeźdźcami na grzbiecie koń nie może zbyt długo i zbyt szybko biegnąć, trzeba więc ratować się w inny sposób.

Pędzili też ciągle — ale wkońcu koń zlany potem, już widocznie resztkami sił gonił. Szczęściem poczynał się las, a i dzień się też zrobił. Słońce wspaniałe, purpurowe i złote, wypłynęło majestatycznie na mroczny jeszcze, szary sklep niebieski. W powietrzu czuć było świeżość i chłód poranku wiosennego. Na listkach traw i wierzb, rosnących koło drogi, zwieszały się krople rosy jak perły uryańskie, w których słońce, przeglądając się, tworzyło przecudowną, tęczową grę kolorów.

W lesie Cynga zjechał z drogi i powstrzymał nieco konia, który bokami robił. Posuwali się teraz lekkim kłusem.

— Nie dadzą się oni długo zwodzić — począł mówić Cynga — jak tylko w lesie na drzewie cię nie zobaczą, a już to zapewne się stało, bo dzień jest jasny, poczną cię gdzieindziej szukać. Znam ja ich dobrze, lepszy oni mają węch od psa. A przytem... wcześniej, czy później,

spostrzegą, że i mnie niema i domyślą się, żem z tobą, paniczu, uciekł i żem ja buldoga otruł.

— O! żebyś ty wiedział, jak oni klęli, gdy zobaczyli tego przeklętego psa nieżywego. Stara Mokryna aż ochrypła do reszty od płaczu. Ona to pierwsza cię wyśledziła. Plusk wody zwrócił jej uwagę, a gdy cię nie znalazła na miejscu, dopiero w krzyk. Wszyscy zerwali się i polecieli, według wskazówek tej starej wiedźmy, szukać cię. Przyznam ci się szczerze, paniczu Janku, że mię strach wielki wziął o twoją skórę, jak zobaczyłem, że wszyscy lecą nad potok.

Uśmiechnął się i dalej mówił:

— Ale cóż — myślę sobie — ja mu teraz nic nie pomogę. Jeśli ma głowę na karku, to powinien przejść na drugą stronę strumienia napowrót i ukryć się w lesie, na skraju polany. W tej myśli postanowiłem skorzystać z zamieszania i nieobecności prawie wszystkich w obozie, i uciekać. Bo gdybym został, czyby cię złapali, czy nie, zawszeby to skrupiło się na mnie. Romno mię niecierpi i Mokryna także... zakatowaliby mnie jak psa...

Gdy to mówił, oczy mu błyszczały jak ogień, a głos stał się dziki i ponury.

— Za cóż oni cię tak niecierpią, mój Cyngo? — spytał Janek.

— Ej! — machnął ręką — dużoby to o tem gadać! Ale ja ci to opowiem, paniczu, jeno nie teraz... później, jak będziemy w bezpiecznem miejscu, opowiem ci moją historyę.

— A czy prędko będziemy w tem bezpiecznem miejscu?

— Hm! czy ja wiem? Oni się tym łachmanem na wodzie na długo zwieść nie dadzą. Wywloką go, zobaczą kamień i domyślą się wszystkiego. Potem spostrzegą, że niema mnie, niema worków z ubraniem i żywnością, niema konia Romny...

Zatrzymał się na chwilę, poprawił na siodle i tak dalej mówił:

— Zabrałem to wszystko, wymykając się z obozu do lasu. Konia ukryłem i zawsze przypuszczając, że ty paniczu Janku, będziesz miał na tyle rozumu, że przejdziesz na tę stronę potoku, wlazłem na drzewo i zakukałem. Możesz sobie wyobrazić, jakem się ucieszył,

gdym usłyszał głos puszczyka... No, niema co mówić, szczęśliwie nam się powiodło, byle tak dalej poszło. Dopóty nie będę spokojny, dopóki nie oddalę się od bandy o jakie dziesięć mil, co nie byłoby zbyt trudnem, gdyby tylko Romno nie kazał nas ścigać. Jeżeli znajdą nasze ślady, będzie bieda, i trzeba będzie dobrze nałamać głowy, żeby im się wymknąć. Ale teraz niema rady, trzeba nieco spocząć, szkapa jest ogromnie zmordowana.

Znajdowali się w lesie. Cynga zagłębił się więcej w bór, wyszukał zaciszną dąbrowę, rozkiełznał, rozkulbaczył konia i puścił go na trawę, sam zaś z Jankiem począł posilać się chlebem i słoniną węgierską, której spory kawał miał w worku.

Gdy się najedli i spoczęli nieco, rzeknie Janek do swego towarzysza:

— Opowiedz mi teraz, Cyngo, twoją historyę.

Cynga pomyślał, spojrzał na słońce i wkońcu rzekł:

— Dobrze, mamy przed sobą z godzinę czasu, opowiem ci, paniczu Janku, moją smutną, bardzo smutną historyę.

Położył się na trawie, ogniste swe oczy wlepił w czysty lazur niebios i tak zaczął opowiadać.

ROZDZIAŁ XIII.

Historya młodego Cyngi.

— Oj! sokole, sokoliku, paniczu Janku — mówił Cynga — smutna jest historya mego życia, smutna jest niedola, jak noc czarna.

— Miałem ci ja matkę, matuleńkę, Czandala się zwała. Dziś ją jeszcze pamiętam, choć temu tyle lat już, jak nie żyje. Była ona smukła jak topola, młoda jeszcze, z gładkiem licem, a oczami jak dwa rozżarzone węgle. Oj! kochałem ja ją, kochałem! I jak kochać nie miałem, kiedy byłem u niej jedynakiem, a pieściła mię, a strzegła jak źrenicy w oku.

Dla mnie były zawsze suknie najpiękniejsze, krasne, wyszywane srebrem, a złocistymi guziczkami, dla mnie

najlepsze miejsce na wozie, najmiększe posłanie w namiocie, najsmaczniejszy kąsek z kotła. Rosłem jak kwiat polny, tulony trawą, całowany słońcem, myty rosą, kołysany wichrem. Matka nieraz o zmroku, w obozowisku prawiła mi całemi godzinami o moim ojcu, który był królem bandy i którego urząd miejski powiesił gdzieś tam na Litwie, za górami, za lasami, za błękitnemi rzekami.

Oj, mówiła mi, jak ojciec szedł mężnie na szubienicę, jak nie zniżył się do prośby, owszem mówił swym katom:

— Ja na śmierć idę, jak na weselisko!

— Opowiadała mi to matka, gdyż ja nie pamiętam wcale ojca, będąc podczas jego śmierci maleńkiem dzieckiem przy piersi. Ale widziałem, że był mężnym — i też takim jestem.

Tu Cynga umilkł na chwilę i zdawał się być pogrążony w głębokiej zadumie, poczem ciągnął dalej:

— Jakem ci już powiedział, paniczu Janku, mój ojciec był królem bandy, w której najstarszą kobietą była stara Mokryna i Romno. Ten ostatni oddawna pragnął zostać królem, mówił, że ojciec mój nie dba o bandę, że ją włóczy po okolicy, w której kraść niema co, że zatem banda nieraz głodem przymiera. Mówił to wszystko cichaczem, podburzał resztę cyganów, w czem dopomagała mu ta stara wiedźma Mokryna. Banda, chociaż kochała i bała się ojca, przecież powoli zaczęła wierzyć temu, co mówi Romno, zaczęła podejrzywać ojca i mniej mu ufać. Spostrzegł to ojciec i baczną uwagę zwrócił na Romna.

Razu jednego, opowiadała mi to matka, bo mnie jeszcze nie było na świecie — razu jednego stanęła banda obozem w głębi wielkiej puszczy litewskiej, która się nazywa Białowieską. Pamiętam tę nazwę doskonale. Jest to taka puszcza, że można w niej przez tydzień błądzić, a świata Bożego nie zobaczysz. Zwierz jeno tam mieszka i olbrzymie dzikie woły, zwane żubrami, których nigdzie już podobno niema. Tak mi to mówiła matka... Znał tam ojciec jedną polanę, w samym środku puszczy, dokoła otoczoną nieprzebytemi bagnami, przez którą pieszo, a cóż dopiero z wozami i ludźmi przejść nie-

podobna było. Ojciec przecież wiedział, że jest tam jedna wązka ścieżynka, trudna do odszukania, którą można dostać się do polany i siedzieć tam bezpiecznie i spokojnie, choćby lata całe.

Otóż na tę to polanę ojciec poprowadził bandę, chcąc odpocząć nieco w pokoju, bo szedł aż z Ukrainy, gdzie za jakąś sprawę, której nie znam, ścigał bandę uparcie pułkownik Robakow. Na polanie tej, w środku szumiącej puszczy Białowieskiej, można było sobie odpocząć spokojnie i bezpiecznie.

Przyszła tam banda nad wieczorem i rozłożyła się wygodnie. Późną już nocą ojciec mój wstał, żeby zobaczyć, czy wojska Robakowa nie kręcą się po lesie koło polany, gdy nagle spostrzegł, że w ostatnim z namiotów bandy siedzi przy ognisku kilku cyganów i coś radzą. Między nimi zobaczył Romna, który mówił coś, wywijał rękami i wskazywał na namiot króla. Stara Mokryna była przy nim i także z zapałem rozprawiała.

Wydało się to ojcu podejrzanem. Ta tajemnicza rada wśród nocy, zwłaszcza pod przewodnictwem Romna, i Mokryny, wyglądała na bunt, na spisek, a nie na zwykłą pogawędkę. Ojciec więc niewiele myśląc, zakradł się pod namiot zręcznie i począł słuchać. Romno mówił:

— Tak, trzeba go związać z jego żoną zaraz teraz i wydać w ręce Robakowa. Inaczej zaprowadzi on całą bandę na stracenie.

— Jeno patrzeć — dodawała Mokryna — jak przyjdzie wojsko Robakowa i otoczy polanę, a choć do nas nie dostanie się, to jednak, trzymając w ścisłem oblężeniu, zmusi po kilku dniach do poddania się. Żywności i na trzy dni nam nie starczy. Mamy wszystkiego trzech baranów i jedną kozę — sucharów i mąki ledwo na jutro będzie, a wódki wcale niema. Co on za król, co za wódz, żeby nie pomyśleć o tem? I cóż będzie, jak się poddamy na łaskę i na niełaskę? powywieszają nas jak psów na sosnach puszczy. Miłe jest każdemu życie, nie lepiejże ratować się, póki czas? Związać tego łotra i wydać Robakowowi, a potem obierzemy sobie nowego króla. Nie zabraknie w naszej bandzie dzielnych głów i rąk. Dwudziestu przecież jest mężczyzn!

— Mokryna dobrze mówi! — począł znów Romno. — Możnaby wprawdzie w ten sposób zrobić, żeby wysłać kogo do Robakowa i ścieżynką, którą dobrze zapamiętałem, sprowadzić go tu do obozu, niechby sam z królem się załatwił. Ale co za pewność, że Robakow, będąc panem obozu, nie weźmie się zarazem do nas wszystkich? Nie! lepiej jest układać się z nim, stawiać warunki i mówić: wydamy ci naszego króla, ale nas nie tykaj!

— Tak! tak! — potwierdzali wszyscy — to daleko lepiej!

— A więc! — zawołał Romno, powstając — waleczni mężowie, za mną do namiotu króla!

— Naprzód! naprzód! — zachęcała Mokryna.

W tejże chwili mój ojciec stanął przed nimi, jak gdyby z ziemi wyrósł. Oczy świeciły mu się ponurym blaskiem, twarz miał śmiertelnie bladą, czoło groźnie zmarszczone, a wargi drżały mu od straszliwego gniewu. Jedną rękę trzymał na rękojeści sztyletu, który mu tkwił za złocistym pasem, a drugą wyciągnął w kierunku osłupiałego Romna. Wszyscy skamienieli i stali nieruchomi z oczami wlepionemi w mego ojca, a swego króla. Wtedy ojciec, powiódłszy swym strasznym wzrokiem po całem zgromadzeniu, zawołał groźnie, wskazując palcem na Romna i Mokrynę:

— Związać ich!

Wszyscy mężczyźni, a było ich tam dziewiętnastu, na rozkaz ojca rzucili się natychmiast na Romna i Mokrynę i związali im ręce i nogi. Wówczas ojciec krzyknął:

— Obnażyć ich i przykrępować do drzewa!

Spełniono ten rozkaz natychmiast. Romno w ponurem milczeniu, ze strasznie ściśniętymi zębami, z wzrokiem dzikim, okropnym, dał ze sobą wszystko robić — ale Mokryna poczęła błagać ojca, by jej przebaczył.

— Zmiłuj się królu — wołała — daruj mi winę! Jak pies będę ci wierną, proch z ziemi przed tobą ścierać będę, jeno mi przebacz!

— Niema przebaczenia dla zdrajców — odrzekł ojciec.

Wówczas Mokryna wykrzyknęła to straszne przekleństwo:

— Oby twoje dziecko tak mnie kiedyś błagało i obym mu taką samą wypłaciła monetą!

Niestety! miało się to niedługo sprawdzić. Och! czemuż mój ojciec wtedy nie przebaczył tej szkaradnej, tej mściwej kobiecie — wieleżby cierpień przez to był usunął z drogi swego syna!

Kiedy już oboje winnych obnażonych przywiązano do dwóch drzew, ojciec kazał zbudzić cały obóz, rozpalić wielkie ognisko, żeby było widno, naciąć grubych prętów i smagać Romna i Mokrynę.

Bito ich bez litości. Dwóch silnych mężczyzn stanęło koło każdej ofiary i smagało niemiłosiernie w obliczu całego obozu. Mokryna, zlana krwią, jęcząc nieludzkim głosem, nie wytrzymała długo tej męki i zemdlała. Wówczas ojciec kazał ją odwiązać zlać zimną wodą i oddać pod opiekę kobiet. Romno zaś zaciął się i nie wydał najmniejszego głosu. Bito go tak długo, że ciało poczęło odpadać od kości... i zapewne ojciec kazałby go na śmierć zasmagać, gdyby nie moja dobra, poczciwa matka, która wyprosiła wkońcu przyszłego kata jej własnego syna.

Romno się leczył, ale poprzysiągł zemstę ojcu. Od chwili tej strasznej egzekucyi w obozie, wśród puszczy Białowieskiej było cicho i posłuch był wielki. Wszyscy drżeli przed ojcem — choć polana otoczoną była przez wojsko i choć do obozu głód zajrzał. Żywiono się, czem było można — łowiono ptaki, wiewiórki zające czasem, gdyż polana była dość duża i miejscami gęstym porosła lasem. Tam to, wśród szmeru odwiecznych sosen litewskich, przyszedłem na świat.

Wreszcie wojsko odeszło, widząc, że nic nie zrobi i obóz się ruszył. Ojciec począł wtedy szybko przenosić się z miejsca na miejsce, ściągał do siebie inne bandy cygańskie, sprowadzał skądś broń, proch, kule, tak, że wkońcu liczył podobno dwustu dobrze uzbrojonych mężczyzn. Kiedy nakoniec wybuchła wojna, na którą się już dawno zanosiło, wojna Rosyan z Polakami, którymi dowodził Naczelnik wielki Kościuszko, ojciec mój osadził wszystkie kobiety na owej polanie w puszczy Białowieskiej, a sam bardzo często robił stamtąd wycieczki z mężczyznami na Rosyan i bił się podobno jak lew...

Podczas jego nieobecności królową na polanie była moja matka.

Razu jednego, banda, wracając z jakiejś bitwy, przywiozła ze sobą na wozie rannego Romna. Wniesiono go do namiotu, opatrzono. Leczył się długo i oczywiście przez ten czas nie brał udziału w częstych wyprawach ojca, jeno podczas jego nieobecności szeptał ciągle z Mokryną, która chorego doglądała. Co oni tam szeptali, niewiadomo, matka jako kobieta nie zważała na to, zresztą nie miała żadnych podejrzeń. W obozie było wszystko spokojnie, subordynacya wielka — nie miała więc matka powodu i przyczyny do podejrzeń.

Tymczasem w ciszy niecna zdrada się kryła. Romno, któremu rana w nodze wygoiła się już nieco, wykradł się podczas nieobecności ojca z obozu i sprowadził wojsko. Przeszło ono niepostrzeżenie, wśród nocy, przez ścieżkę pod przewodnictwem Romna, zajęło obóz, powiązało śpiące kobiety...

Potem, nie zmieniając zewnętrznego widoku obozu, ukryto wśród krzaków i drzew żołnierzy tak zręcznie, że kiedy ojciec, powracając ze zwycięskiej wyprawy z dwoma zdobytemi na nieprzyjacielu armatami wszedł, niczego się nie domyślając, w środek obozu, został obskoczony, banda rozbrojona bez żadnego prawie oporu, a ojciec schwytany. W parę dni potem powieszono go w najbliższem miasteczku, jakem ci to już mówił...

Odtąd zmieniło się całkiem nasze życie. Matka była zawsze królową, ale jej banda składała się zaledwie z sześciu kobiet, z gromady dzieci i dwóch starych, niedołężnych cyganów. Włóczyliśmy się po całej Litwie, a choć była nieraz bieda, choć zimno dokuczało, przecież chwile te uważam za najszczęśliwsze w mem życiu. Byłem swobodny, kochany i pieszczony przez matkę. Choćby cały obóz od dwóch dni nie miał co do ust włożyć, ja zawsze miałem kawałek kiełbasy, białego chleba lub placka... Biedna, dobra moja matka!

Trwało to życie lat kilka — o Romnie i Mokrynie nic nie słyszeliśmy. Przepadli, jak kamień w wodę. Widziałem tylko, że wielekroć matka o nich mówiła, to oczy jej błyszczały strasznym gniewem i purpurowy rumieniec twarz pokrywał. Mawiała wówczas zawsze:

— Jeżeli się kiedy spotkamy, to albo ja, albo Romno zginąć musi.

Niestety, ona zginęła! Pewnego wieczoru, kiedyśmy spoczywali obozem w jakimś lesie, było to w lecie, w prześliczny zmrok letni, zjawił się Romno i Mokryna, na czele bardzo licznej bandy. Pamiętam, bo dziś jeszcze najmniejszy szczegół tego strasznego wieczoru stoi mi przed oczami, jak gdyby to wczoraj się stało, Romno poszedł wprost do matki, która siedziała przed namiotem i patrzała na moją swawolę z innemi dziećmi. Gdy go zobaczyła, zerwała się na równe nogi, blada jak chusta, straszna.

— A cóż, Czandala — syknął Romno — ja tu teraz król!

Matka nic na to nie odrzekła, tylko dobyła sztyletu, który zawsze nosiła za pasem, i rzuciła się na Romna z głośnym krzykiem. Widziałem, jak mignął się przy niepewnym brzasku dnia brzeszczot sztyletu... Byłem pewny, że Romno zginął! Ale on odskoczył w bok i w jednem mgnieniu oka olbrzymim młotem kowalskim, który trzymał w ręku, uderzył matkę w głowę. Jękła i padła ze strzaskaną czaszką na ziemię...

Wszystko to widziałem na własne oczy. Miałem już wówczas pięć do sześciu lat wieku i byłem chłopcem pełnym męskiej energii. Zobaczywszy upadającą matkę, krzyknąłem okropnie, w oczach mi się zaćmiło i nie wiele myśląc, miotany żalem i rozpaczą, wyrwałem z rąk trupich matki sztylet, rzuciłem się jak szalony na Romna. Ale cóż ja dziecko mogłem zrobić takiemu mężczyźnie? Uśmiechnął się pogardliwie, kopnął mię nogą tak silnie, że padłem o kilka kroków jak długi i, wskazując na mnie, rzekł:

— Osmagać to szczenię, a dobrze!

Zbito mię niemiłosiernie — sama Mokryna mię biła. Odtąd w obozie byłem ostatnim, ja, który dotąd byłem pierwszym. Używano mię do najpodlejszych posług, katowano za najmniejszą winę, za uśmiech, za słowo, niebacznie wyrzeczone, głodzono...

Takie życie pędzę od lat kilku...

W tem miejscu Cynga przerwał nagle i począł nad-

słuchiwać. Wśród ciszy leśnej wiatr przynosił daleki jakiś huk, niby grzmot, niby trzask piorunów.

— Co to, grzmi?... — zapytał.

I począł znów słuchać.

ROZDZIAŁ XIV.

W jaki sposób Janek i Cynga zaopatrzyli się w konie i broń huzarską.

Cynga, wsłuchując się w ów daleki huk i grzmot, który mu przerwał zajmujące opowiadanie przygód swej młodości, nie mógł w żaden sposób pojąć, coby znaczył i skądby pochodził ten daleki, ponury huk. Spojrzał na niebo, było czyste, bezchmurne, szafirowe; w całej naturze leżała niczem niezamącona cisza — lekki tylko wietrzyk chwiał szczytami drzew i przynosił ów tajemniczy grzmot coraz silniejszy.

Cynga począł widocznie tem się niepokoić.

— Co to być może? — szeptał.

Nakoniec wdrapał się ze zręcznością kota na jedno z najwyższych drzew lasu, żeby się przyjrzeć okolicy. Długo rozglądał się tam na wszystkie strony i Janek z pewnym wewnętrznym niepokojem śledził jego ruchy. Czuł w sobie jakąś bojaźń, coś mu szeptało do ucha: uciekaj! uciekaj!

Wreszcie Cynga zsunął się z drzewa.

— No i cóż? — spytał Janek.

— Alboż ja wiem — odrzekł Cynga, zafrasowany jakoś — okolica leśna, nic dojrzeć nie można. Zdaje mi się jednak, że w tamtej stronie — i wskazał ręką na północ — widać za lasem wielkie kłęby dymu, jakby się coś paliło.

— Może się gdzie biją — szepnął Janek, wstrzymując oddech i wsłuchując się w coraz silniejszy grzmot.

— Ja to samo myślałem i zapewne tak jest! mruknął Cynga, a potem dodał z niechęcią — nieszczęście i basta!

— Dlaczego nieszczęście?

— A bo jeżeli się biją, to na naszej drodze. Tylko w tamtą stronę możemy się udać, żeby się wymknąć z rąk bandy. Chciałem dostać się do Warszawy, gdzie dla nas byłoby najbezpieczniej i gdzieby nas nawet buldog Romna nie znalazł. Warszawa to lepiej, niż najpiękniejszy las. A teraz co? teraz bitwa zagrodziła nam drogę i Austryacy zapewne włóczą się wszędzie, a przecie dla ciebie nie byłoby zbyt przyjemne spotkanie się z nimi. Musimy więc bardzo ostrożnie posuwać się naprzód, nakładać drogi i tracić dużo czasu, bo pozostać tu dłużej nie możemy, gdyż lada...

Nagle urwał, roztworzył szeroko oczy i usta, słuchał długo, potem rzucił się na ziemię i przyłożył ucho do ziemi. Gdy się podniósł i usiadł na ziemi, był blady, bardzo blady.

— Co ci jest, Cyngo? — spytał Janek, przestraszony wyrazem twarzy swego towarzysza.

— To mi jest — odrzekł tenże, ponuro patrząc — że Romno nas ściga, jest już na naszym tropie...

Znowu przyłożył ucho do ziemi i szeptał:

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć koni... pędzą wyciągniętym kłusem... będą tu najdalej za pół godziny. O! nie omyliłem się, to oni.

Zerwał się żwawo, a twarz jego, choć blada jeszcze, ale była pełna stanowczej energii. Skoczył do pasącego się spokojnie konia, okiełznał go, opatrzył, czy kopyta ma dobrze owiązane szmatami i zawołał:

— Dalej na koń! trzeba uciekać i tak za długo tu siedzieliśmy. Niech się co chce stanie, musimy wprost jechać, choćby w sam środek Austryaków. Wolę całe piekło spotkać, niż Romna!

I skoczył na konia, a za nim Janek. Odrazu ruszyli z kopyta. W parę minut wydostali się na drogę, którą pognali wprost, nie zważając na to, że prowadziła ona przez pola, i że skutkiem tego byli widziani na znaczną przestrzeń. Gdy pod tym względem Janek zrobił uwagę swemu towarzyszowi, że możeby lepiej było nie opuszczać lasów, ten odrzekł:

— Teraz nam wszystko jedno. Są na naszym śladzie i wszędzie nas znajdą. Cała nadzieja w szybkości konia,

który nas dźwiga dwóch, nie mamy więc czasu na nakładanie drogi — uciekajmy i koniec!

Pędzili więc dalej, a choć wkrótce przyszło im przez wieś przejeżdżać, nie zważali na to. We wsi spotkali wielki ruch i wyraźny popłoch. Kobiety z dziećmi uciekały ku lasom — chłopi ładowali na fury swe sprzęty i także uciekali. A jeden, widząc pędzących naszych bohaterów, wołał na nich:

— Nie jedźcie tam, tam się biją:

Ale Cynga nic na to nie odrzekł, bo i cóż miał odrzec, tylko gnał dalej. Huk z każdą chwilą się wzmagał, ponury, posępny, rozlegający się po polach i lasach daleko. Kłęby czarnego dymu unosiły się za lasem, buchając jak z komina — czasem nawet dojrzeć było można śród nich krwawe płomyki ognia. Widocznie bitwa wrzała na dobre i to bitwa niezbyt oddalona.

Janek drżał z obawy, żeby nie wpaść w sam środek Austryaków i nie dostać się w ręce okropnego rotmistrza von Lampe i szyderskiego Franca, ale z drugiej strony jeszcze bardziej się obawiał cyganów. Przeżegnał się więc, zmówił cichą modlitwę i zdał się na wolę Bożą.

Dzielny koń Romna tymczasem rwał szybko. Po porannej gonitwie odpoczął sobie i teraz z pierwotną rzeźwością i siłą pędził. Jednak Cynga nie bardzo mu dowierzał.

— Byle nie ustał kary — szepnął — to wszystko będzie dobrze. Ach, gdyby dostać można skąd drugiego konia!

Było to oczywiście próżne życzenie, a teraz trzeba było jechać dalej we dwóch na jednym, wprawdzie dobrym koniu, ale ranną podróżą zmęczonym i który, pędząc ciągle galopa wśród skwarnego dnia, na upale słonecznym, nie nakarmiony dobrze, nie mógł długo wytrzymać. To też Cynga z niepokojem oglądał się co chwilę za siebie.

Nakoniec wjechali w las, na radość Janka, który czuł się tutaj bezpieczniejszym, niż w szczerem polu. Huk strzałów armatnich był coraz bliższy, coraz wyraźniejszy. Nie ujechali przez las i czterdziestu kroków, gdy ujrzeli na środku drogi leżącego z rozprutym

brzuchem konia, a pod nim nieżywego ułana polskiego. Leżał ten nieszczęśliwy żołnierz z gołą głową, strasznie porąbaną i zlaną krwią. W jednej ręce trzymał jeszcze silnie ściągnięte lejce konia, w drugiej kawałek drzewca połamanej lancy, widocznie w upornej obronie swego życia.

Janek i Cynga mimowolnie zatrzymali się, zwłaszcza, że koń ich na ten straszny widok odskoczył w bok. Cynga, który przez chwilę poszamotał się z przestraszonym koniem, nagle zeskoczył z niego i pobiegł do ułana.

— Cynga, co ty chcesz robić? — zapytał zdziwiony tem Janek.

— A co? — mruknął Cynga — temu biedakowi szabla i pistolety już niepotrzebne, a nam się przydać mogą.

I ze zwykłą sobie szybkością odwiązał od trupa szablę, przypasał ją sobie, wyjął pistolety z olstrów, obejrzał, czy nabite i wsadził za pendent szabli. Potem odpiął ładownicę ułanowi, otworzył, czy są naboje, zarzucił sobie na plecy i tak uzbrojony, śmiesznie wyglądając z wlokącym się po ziemi pałaszem, skoczył na konia, mówiąc:

— No, teraz się czuję bezpieczniejszym. Dwa strzały, to dwóch cyganów z pięciu mniej — a potem szabla do ręki i niech spróbują mię brać. Gdyby się tylko jeszcze dla ciebie, paniczu Janku, znalazł drugi koń i drugie takie uzbrojenie, to moglibyśmy się wrócić do tego samego lasu, gdzieśmy rano spoczywali i bezpiecznie siedzieć. No, wio!

Ruszyli znowu galopem. Blaszana pochwa szabli dzwoniła, uderzając się o nogi Cyngi, a on zdawał się być dumnym z takiego uzbrojenia.

— Już to we mnie jest krew mego ojca — mówił, wyszczerzając zęby — konik i szabla, to raj. No, no, niechno ja tylko dorosnę, a zobaczysz, paniczu Janku, jaki śliczny będzie ze mnie ułan.

Wtem dobiegł ich uszów smutny, żałosny jęk. Patrzą, a na skraju drogi, pod krzakiem, leży drugi ułan polski i ręką przytrzymuje krew, toczącą mu się z piersi. Zobaczył on naszych bohaterów, którzy się zatrzymali,

zdziwieni i przerażeni tym widokiem i zawołał słabym, widocznie z wysiłkiem dobywanym głosem:

— Na rany Chrystusa Pana, dajcie mi choć kropelkę wody — usycham z pragnienia! Bóg wam to wynagrodzi, ratujcie mnie!

Błagał biedak tak żałośnie, że Janek, nie zastanawiając się ani na chwilę, zeskoczył z konia i pobiegł do rannego. Cynga, dziki cygan, bez uczuć litości w duszy, myślał widocznie inaczej o przyczynie, dla której Janek zszedł z konia, gdyż zawołał:

— Paniczu! paniczu, a zabierz mu oba pistolety i szablę!

Usłyszał to ranny ułan i widocznie przerażony tem, rzekł błagalnie:

— O! nie zabieraj mi, młody paniczu, broni, to cała moja nadzieja. Pandury włóczą się na tyłach wojska, mogą napaść na mnie i zamordować. Z bronią, choć jestem ranny, przynajmniej drogo sprzedam me życie. Nie zabieraj mi więc broni!

— Nie lękaj się, żołnierzu — zawołał Janek — nie ci nie wezmę.

Cynga, słysząc to, zapytał z widocznem zdziwieniem:

— A więc pocóż, paniczu, zszedłeś z konia?

— Żeby poratować tego nieszczęśliwego — odrzekł Janek.

— Szaleństwo! — mruknął z gniewem Cynga — jemu już nic nie pomoże, a nas dogoni Romno. Jeno patrzeć, jak przylecą. Śpiesz się, siadaj na konia i uciekajmy.

— Cyngo! — zawołał Janek — jak ci się podoba... możesz jechać, ja zaś zostanę tutaj i poszukam wody dla tego biednego żołnierza.

— Ale... — przerwał Cynga.

— Nie mów nic — rzekł Janek stanowczo — gdyż tak zrobię, jak powiedziałem. To jest mój obowiązek i wypełnię go. Zresztą nie mamy się czego teraz obawiać cyganów. Ten ułan, wrazie, gdyby napadli na nas, pożyczy mi na chwilę swych pistoletów i szabli, prawda?

— Pożyczę, pożyczę!

— A więc możesz być spokojny.

Cynga ruszył ramionami i niespokojnie począł się

oglądać, błagając Janka, żeby się spieszył. Ten ostatni pytał ułana:

— Czy nie wiecie, żołnierzu, gdzieby tu była w pobliżu woda?

— Owszem, wiem... niedaleko... i gdyby nie rana i upływ krwi, dawnobym się tam był zawlókł... idź, paniczu, prosto w las, może pół stajania, a znajdziesz staw... naczerp mi wody, oto w ułankę moją. Czekajno, paniczu, chcesz mieć broń i konia... to ci powiem, gdzie je znajdziesz... ale przynieś mi wody prędko, bo czuję, że mi się słabo robi.

Janek nie dał się dwa razy prosić. Żwawo schwycił ułankę i pobiegł we wskazanym kierunku. Wkrótce znalazł staw, naczerpał wody i gdy ją przyniósł, ułan prawie połowę duszkiem wypił — w drugiej połowie zmaczał szmatę i przykrył nią ranę swoją, potem rzekł do Janka:

— Niech ci to Bóg nagrodzi, paniczu, przywróciłeś mi życie. Na tej spiekocie byłbym wkrótce wyzionął ducha. Ale... ale... broń widać, że wam potrzebna, a twój towarzysz, czarny jak cygan, kręci się niespokojnie czegoś na koniu...

— Jakże się nie mam kręcić, kiedy lada chwila mogą nas dopędzić...

— Ano — rzekł na to ułan — jedźcie więc obadwa w tę stronę. O kilkadziesiąt kroków znajdziecie tam małą łączkę, na której leży kilka uzbrojonych trupów huzarów austryackich... Mają oni nawet karabinki kawaleryjskie, co wam się lepiej przyda, jak pistolety. Może znajdziecie tam jeszcze ich konie, bo jakem ja jechał, to jeszcze były, właśnie chciałem je zabrać, gdy mię nagle obskoczyli ci rabusie, Pandury...

— Jedźmy, paniczu, poszukać tych huzarów... ułan dobrze radzi! — wołał Cynga, zjeżdżając z drogi w las.

Janek puścił się za nim pieszo i w istocie, o kilkadziesiąt kroków od drogi znaleźli małą łączkę, stratowaną mocno, zasłaną kilkunastu trupami ludzi i koni, pełną krwi i rozrzuconej dokoła broni, szabel, lanc i kołpaków huzarskich. Ale co ich więcej ucieszyło, to widok trzech całych i zdrowych koni, zupełnie okulbaczonych, pasących się spokojnie między trupami. Cynga zaraz

wybrał dwa i, siadając na jednego, a drugiego dając Jankowi, rzekł do niego:

— No, teraz Romna się nie boję! Dalej, paniczu, weź szablę, karabinek, ładownicę i siadaj na konia.

Janek ze wstrętem pozabierał, strasznie częstokroć porąbanym trupom broń i dosiadł dzielnego kasztanka. Ruszyli z powrotem — Cynga prowadził konia Romna za cugle.

— Czemu nie puścisz go? — pytał Janek.

— Puszczę, ale na drodze. Jak Romno go spotka, będzie myślał, żeśmy wpadli na Austryaków, albo poginęli i przestanie nas gonić. Zresztą powiadam, teraz drwię sobie z całej bandy cyganów.

Ledwie wyrzekł te słowa, a właśnie wjeżdżali na drogę, gdy w pobliżu ich zadudniała ziemia, rozległ się głośny krzyk i nasi bohaterowie ujrzeli gromadę pędzących, co koń wyskoczy, cyganów, a na czele ich Romna z podniesionym batogiem w ręku.

ROZDZIAŁ XV.

Bitwa pod Raszynem — bohaterski, acz mimowolny w niej czyn Janka.

Cynga i Janek, ujrzawszy tak nagle bandę swych prześladowców, lecącą ku nim co koń wyskoczy, zrazu skamienieli. Cyganów było pięciu, jak to dobrze policzył Cynga w lesie, wsłuchując się w odgłos ziemi, a na ich czele pędził Romno z batogiem w ręku, którym groził dwom bohaterom. Za nim, pochylony na koniu, gnał jeden z cyganów i trzymał w ręku długi sznur, podobny do stryczka, zwany *lasso*, którego używają Amerykanie i Węgrzy do łapania bydła. Widocznie skradał się on, żeby taki stryczek zarzucić na Janka lub Cyngę i ściągnąć go z konia. Romno, grożąc batogiem, krzyczał coś po cygańsku, czego Janek nie rozumiał — a cygan z owem lasso, przysunąwszy się do naszych znajomych, którzy wciąż stali nieruchomi na drodze, na odległość może dziesięciu kroków, i nagle z niesłychaną zręcznością podniósł się na koniu, wy-

prostował w strzemionach z głuchym świstem rozwinął stryczek i już miał uchwycić bliższego Janka, gdy rozległ się niespodzianie strzał, cygan zachwiał się, rzucił parę razy rękami w powietrzu, upuścił stryczek i padł śmiertelnie ugodzony na ziemię.

Wszystko to stało się w jednej krótkiej chwili, prędzej, niż potrzeba czasu na przeczytanie tych wierszy. Nagły ten strzał, wymierzony przez rannego ułana, który odwdzięczając się Jankowi za podaną mu wodę, ocalił mu życie, przeraził na chwilę cyganów, a wrócił przytomność Cyndze i Jankowi. Pierwszy podniósł się na siodle, wydobył pistolet z olstra i wypalił... Poczem, obracając się do Janka i widząc, że ten ściąga z pleców karabinek, żeby także strzelać, zawołał:

— Nie strzelaj, niema na to czasu, dobądź szabli i... w nogi!

Poczem uderzył konia i pognał naprzód, a Janek za nim. Dzielne konie huzarów węgierskich rwały jak wicher — ale i cyganie, opamiętawszy się, rozwścieczeni zabiciem jednego ze swoich, którego zostawili na drodze, ostatkiem sił poczęli gonić uciekających. Cynga obróciwszy się, ujrzał, że koło Romna, który wciąż pędził na czele, posuwało się teraz dwóch cyganów z lasso w rękach, które wiedział, jak straszną jest bronią. Dlatego też naglił swego konia i zachęcał Janka do pospieszania, wołając:

— Uciekajmy! uciekajmy! te szelmy gotowe nas jak psów połapać.

— A gdybyśmy się odwrócili i uderzyli na nich z szablami? — szepnął Janek — są bezbronni.

— To się na nic nie zda — mruczał Cynga — jesteś za młody, żebyś taką ciężką szablą mógł co zrobić. Pierwszy lepszy kij ci ją wytrąci — wreszcie nim się do nich zbliżymy, już będziemy ściągnięci z koni, jak psy na stryczkach... Nie są też oni bez broni, mają sztylety, którymi umieją dzielnie władać. Uciekajmy! uciekajmy!

Więc uciekali. Ale ciężkie konie huzarskie, zwłaszcza na piaszczystej drodze i wśród skwarnego dnia, nie mogły długo uciekać przed lekkimi i wytrwałymi konikami cygańskimi. Zbliżali się oni powoli do chłopców,

ale ciągle... Cynga nawet raz już słyszał straszny świst lassa koło uszów i tylko nagłe pochylenie się ocaliło go od złapania.

Janek, który w tej szalonej gonitwie zachował całą przytomność umysłu i energię — i ściskał z gorączkowym zapałem rękojeść szabli, zauważył, że Cynga jest śmiertelnie blady, że rozpaczliwie usiłuje przyspieszyć bieg ciężkiego, zapasionego konia huzarskiego.

Tymczasem, jedni zajęci własnem ocaleniem, drudzy zemstą, nie zwracali uwagi na to, że huk wystrzałów był coraz bliższy i donioślejszy, że wiatr przynosił dym prochu i okrzyki walczących. Nakoniec wyjechali z lasu i przed oczyma ich roztoczył się straszny, ale zarazem piękny widok.

Na obszernej równinie, której jedynym wydatnym punktem była wieża kościółka Raszyńskiego, kryta blachą i otoczona kłębami dymu palącego się miasteczka, rozwinęły się, jak dwa olbrzymie węże, dwa wojska, ziejące na siebie ogniem i pociskami. Oba wojska były bokiem zwrócone do Janka i Cyngi i z dwóch, polskie bliżej. Huk, grzmot ponury dział, chmury dymu, włóczące się i owijające sobą walczących, dopełniały tego obrazu straszliwego...

Była to sławna po wsze czasy bitwa pod Raszynem, stoczona w dniu 19. kwietnia 1808 r. Wojskami Księstwa Warszawskiego dowodził książę Józef Poniatowski — austryackiemi arcyksiążę Ferdynand d'Este. Na prawem skrzydle polskiem, t. j. z tej strony, z której Janek przybywał, dowodził jenerał Kamiński — środek w Raszynie zajmowali sprzymierzeńcy polscy, Sasi pod jenerałem Dyhernem — lewe skrzydło w Falentach, a raczej w sławnym lasku Falenckim, miał pod sobą pułkownik Godebski. Główna największa bitwa toczyła się o ten lasek.

Właśnie walka ta była w najwyższym swoim rozwoju, gdy Janek i jego przyjaciel wpadli jak szaleni w swej ucieczce przed cyganami na prawe skrzydło polskie. Tutaj Polaków od ich wroga oddzielała mała, ale błotnista rzeczka Rawka, przez którą przeszła masa kawaleryi austryackiej, huzarów, kirasyerów, Pandurów i zamierzała uderzyć na prawe polskie skrzydło. Prze-

ciw nim wysłał jenerał Kamiński wszystką jazdę polską, jaką miał pod ręką. Właśnie trąbki zagrały do ataku, gdy Janek, a za nim Cynga wypadł na plac boju i oszołomiony zrazu, zapomniawszy o grożącem mu niebezpieczeństwie, mimowolnie wstrzymał konia i patrzał na straszny obraz, roztaczający się przed nim.

W tejże chwili pierwszy pułk strzelców konnych polskich, w wyciągniętej linii, z dobytemi szablami posuwał się całym pędem przeciw huzarom austryackim. Trąbki zagrały do ataku i kiedy to posłyszy ich odgłos koń Janka, jak się nie porwie, miły Boże! jak szalony ruszył z kopyta ku długiej linii szaserów polskich. Janek nie mógł go powstrzymać, wreszcie nie chciał. Owionął go zapach prochu, rozgrzał, czuł, że mu wszystka krew gra w żyłach w takt pobudki wojennej. Ledwie miał czas obejrzeć się na Cyngę, który także ruszył naprzód, ale nie ujechał i dziesięciu kroków, gdy uderzony kulą padł na ziemię... O cyganach nie było ani słychu — zapewne zatrzymali się ostrożnie w lesie.

Janek nie miał czasu i nie mógł ratować biednego swojego przyjaciela. Ze łzami w oczach, pełen wściekłego gniewu, postanowił pomścić się na Austryakach śmierci swego przyjaciela, lub zginąć... Uderzył więc kilka razy płazem swej szabli konia i tak już lecącego jak wicher i sam nie wiedząc, jakim sposobem znalazł się na czele pędzących do ataku szaserów polskich. Ożywiony jakimś niezwykłym zapałem i bohaterską prawie siłą, podniósł swą ciężką szablę do góry i wstrząsał nią jak stary żołnierz. Właśnie w tej chwili pędzący do ataku szaserzy przebiegali przed świetnem gronem oficerów, którzy stali na małem, piaszczystem wzgórzu...

Janek spojrzał na to grono. Mignęła mu się tylko przed oczami wśród bojowego dymu i kurzu bohaterska twarz księcia Józefa, jego wielkie, czarne oczy, błyszczące ogniem i zapałem — słyszał głośny, jednobrzmiący okrzyk jazdy polskiej i nagle ujrzał się tuż, tuż, prawie twarz w twarz z rotmistrzem von Lampe...

Widział go doskonale, jego szydersko uśmiechnięte usta, jego kocie wejrzenie i czerwone faworyty. Wielki kołpak chwiał mu się na głowie, a dolman, rozwiany pędem, unosił się w powietrzu, ukazując czerwony,

suto złotem szamerowany mundur. Leciał na ogromnym, jak śnieg białym koniu i potrząsał szablą, krzycząc na swoich:

— *Vorwärts!... Vorwärts!..*

Jankowi przypomniało się w tej chwili wszystko, co ucierpiał od tego szkaradnego rotmistrza, ogarnęła go wściekłość na widok jego szyderskiego uśmiechu i, nie wiele myśląc, odwinął się i ciął z całej siły ciężkiem swem szabliskiem na odlew Austryaka po twarzy. Krew bryznęła jak z fontanny, rotmistrz zachwiał się na koniu, rozkrzyżował ręce i zawoławszy:

— *Herr Jesus!* — padł z konia na ziemię.

A tu już, ze strasznym łoskotem i hukiem, jak dwie gromonośne chmury, zwarli się huzarzy z szaserami i biedny rotmistrz zatratowany został na nic. Janek zresztą nie myślał o tem i nic go to nie obchodziło. Zginął szyderski rotmistrz von Lampe i bardzo słusznie. Ta śmierć, to kara, okropna kara, wymierzona przez Boga słabą ręką dziecka na najeźdźcy.

Powtarzamy, Janek nie miał czasu nad tem wszystkiem się zastanawiać. Koń uniósł go jak szalony naprzód, w sam środek głębokiej linii huzarskiej, i Janek nic przed sobą i koło siebie nie widział, tylko migające mu się w oczach kołpaki i czerwone, złotem wyszywane mundury. Oślepiony tem wszystkiem, oszołomiony, prawie nieprzytomny, leciał naprzód, tnąc na prawo i lewo szablą. Wielokrotnie czuł, jak uderzał w ciało, jak szabla jego więzgła i jak potem krew z niej ciekąca oblewała mu twarz. Słyszał za sobą chrzęst i brzęk szabel, krzyki, jęki, przekleństwa i leciał naprzód. Raz tylko przebiegł mu drogę jakiś huzar i Janek uczuł lekkie uderzenie w lewe ramię, ale nie uważał na to w zapale bitwy, tylko pędził, rąbiąc dokoła siebie, dopóty, dopóki nie ujrzał się prawie sam na polu, nad błotnistym brzegiem rzeczki.

Tu zatrzymał konia i spojrzał dokoła. Przed nim toczyła swe mętne wody spokojna rzeczka, a za nią wznosił się tuman kurzu i pędziła na pomoc Austryakom nowa kolumna jazdy, którą z boku, niedaleko od Janka stojące trzy armatki polskie, smagały ogniem i żelazem. Na stratowaną koło Janka niwę kule padały

jak grad, świszcząc przeraźliwie i wyrzucając pod uderzeniem ziemię i piasek w górę. W tyle wrzała jeszcze bitwa kawaleryi. Huzary i szasery łamali się ze sobą i przełamać się nie mogli.

Ale Janek dojrzał biegnących z boku ułanów polskich. Rwali oni pędem z lancami do ataku, przy których warczały trójbarwiste chorągiewki, a amarantowobiałe kitki ich ułanek wiatr i kule całowały...

Janka zachwycało to wszystko. Potem spojrzał na siebie — był bez czapki, obsypany kurzem, obryzgany błotem, oczerniony prochem, zlany krwią. Z lewego ramienia sączyła mu się krew, widocznie raniony był przez tego huzara, który mu zabiegł drogę. Zrazu przeraził się tem nieco, zresztą na widok krwi niedobrze mu się zrobiło.

Ale odzyskał zaraz dawne męstwo, ujrzawszy, że huzarzy poczynają uciekać za rzekę, zrazu pojedynczo, potem gromadnie, a szaserzy jadą im na karku i rąbią nielitościwie, a ułani kłują ich lancami, aż miło!

— Ejże! — szepnie Janek do siebie — wjadę i ja na nich!

I poprawił się na kulbace, skrócił cugle i zamierzał już puścić się za huzarami, gdy nagle spojrzy, a tu z boku sadzi wprost na niego, na wielkim karym koniu jakiś huzar, z podniesioną do góry szablą. Widzi Janek olbrzymi jego wzrost, ogromne jak wiechcie, czarne wąsiska, i na straszne zdumienie poznaje w tym huzarze Franca. Maleńkie oczka świecą mu się jak świeczki, wąsiska wyszwarcowane sterczą jak szczecina — jedzie z szabliskiem w garści, patrzy na Janka i krzyczy:

— Ach, Donnerwetter! to ty, mala Polaka — nu, ja ciebie zjem! ty miala wisieć, nu, ja ciebie zasiekam.

I podnosi do góry szablę i spina konia ostrogami, który w wielkich szczupakach sadzi wprost na Janka.

Ten pomyślał sobie:

— No, to już mój koniec. Gdzież ja mogę z tym olbrzymem walczyć, przytem osłabłem zupełnie. Niech się dzieje wola Boża!

I był gotów na śmierć. Wtem przypomniał sobie, że ma na plecach nabity karabinek. Żwawo zerwał go i kiedy Franc był już w odległości jakich pięciu kro-

ków, zmierzył się i już miał wypalić prosto w piersi Niemca, gdy ten zawołał przerażonym głosem:

— Pardon, mala Polak, pardon... nie strzelać, ja krzyczeć pardon!

I stanął i spuścił szablę na dół. Janek, nie odejmując karabinka od oczów, zawołał:

— Rzuć szablę na ziemię!

Franc posłuszny rzucił.

— Teraz zejdź z konia.

Franc zeszedł. Janek kazał mu iść ze sobą i ruszył ku stronie, gdzie widział przed chwilą księcia Józefa. Ale nie ujechał daleko, gdy nagle uczuł wielki ból w lewem ramieniu, zamroczyło mu się w oczach, zachwiał się i upadł z konia bez czucia na ziemię.

ROZDZIAŁ XVI.

Janek, otrzeźwiony przez Franca, zawiązuje z nim ścisłą przyjaźń.

Franc, zobaczywszy upadającego z konia Janka, mruknął do siebie po niemiecku:

— Nu, nu, mógłbym teraz uciec i zostawić tutaj tego małego Polaka — panowie ułani są daleko, gonią naszych i biją, przeklęte Polaki! Nu, stary Franc, jakże, uciekniesz, czy nie?

Stanął, podparł ręką brodę i, patrząc na bladego, zlanego krwią Janka, prawił do siebie:

— Uciec, byłoby to dobrze, ale co mi z tego przyjdzie! Czy nie lepiej jest w niewoli? To będzie wojna długa, uparta i krwawa, ci Polacy biją się jak szatany, jeszcze mię gdzie zarąbią, a chociem stary, miłe mi jeszcze życie! Nu, a w niewoli? w niewoli będę sobie siedział spokojnie, jak u Pana Boga za piecem, dadzą jeść, dadzą mieszkanie, wyśpię się, wyleżę, a przytem ten mały Polak darował mi życie, trzeba, żeby go jenerałowie wynagrodzili za to, że mnie wziął do niewoli. Nu, niema co, trzeba go otrzeźwić, ranę mu opatrzyć.

Wyrzekłszy to, Franc, mrucząc i ruszając strasznymi wąsami, podniósł Janka, wsadził na konia i ostrożnie

podwiózł w gęste krzaki nad brzegiem rzeki. Było tu spokojnie i bezpiecznie. Bitwa, po utarczce kawaleryjskiej, przeniosła się stąd na środek i na lewe skrzydło — tutaj zaś zupełnie ucichła.

Spokojny więc pod tym względem Franc, zdjął z siebie dolman, rozesłał go na ziemi, ułożył na nim wygodnie zemdlonego Janka, rozpiął mu ubranie i obnażył zupełnie dość głęboko i w paru miejscach poranioną lewą rękę. Potem od kulbaki swego konia odpiął żelazny kociołek, zaczerpnął wody, obmył rany, wyjął z kulbaki jakieś gotowe plastry i przyłożył do ran, tak, że krew przestała się sączyć. Dokonawszy tego, otrzeźwił Janka, pryskając nań wodą.

Chłopiec otworzył oczy i, ujrzawszy nad sobą pochylone groźne oblicze Franca, przestraszył się.

— Gdzie jestem?... co pan ze mną robisz, panie Franc? — zawołał, siadając.

— He! he! he! — zaśmiał się stary huzar — mala Polak juz zdrofa, to jest dobrze, bardzo dobrze. Franc kontenta, bardzo kontenta. Niech się mala Polak nie stracha, Franc dobra czlofik... Mala Polak darowala mu życie, nu, to i Franc mu darowala. Czy mala Polak jest już zdrofa?... He! he! he! — śmiał się, widząc, że Janek zerwał się na równe nogi, a rumieniec poczynał mu występować na bladą przed chwilą twarzyczkę.

— Zdrów jestem — mówił Janek, oglądając się, czy ma broń przy sobie, bo ciągle nie dowierzał Francowi — ale gdzież ja jestem?

— Nu, gdzie jestem? Na polu... Czy mala Polak slychala, jak tam pif, paf!... bitwa, to fielka bitwa. Nu, niech mala Polak siada na koń i marsz!

Janek, czując się dość silnym, jednym skokiem siadł na konia i osadziwszy się dobrze w siodle, najprzód chwycił za karabinek, gdyż ciągle nie dowierzał huzarowi, i w razie niebezpieczeństwa postanowił drogo sprzedać swoje życie. Nie uważał jednak tego, że Franc był bezbronny.

— Iii — syknął huzar — po co mala Polaka bierze ten paskudny rusznica. Franc jest bezbronna, o! bez

szabli nawet. Franc chce jechać do niewoli i niech go mala Polaka profadzi.

Janek istotnie spostrzegł, że niema się czego obawiać, rzekł więc:

— Dobrze, jedźmy, ale jeżeli Franc mię zdradzi, to mu kulkę poślę...

— Zdradzi? fi! Franc nikogo nie zdradzila, jak żyje. Franc mogla zabić mala Polaka, kiedy spadla z konia, a nie zabila. Franc zawiozla go tu na trawę, opatrzyla mu rana, wodą zlala gębę... nu?

— Tak uczyniłeś, poczciwy Francu? — zawołał Janek — dzielny z ciebie człowiek! podaj mi twą rękę niech ją uścisnę.

Ale Franc, zamiast podać jedną rękę Jankowi, roztworzył szeroko ramiona, w które, gdy się rozrzewniony Janek rzucił, stary huzar o mało go nie udusił, tak go ściskał, tak całował. Popłakali się obydwa.

Franc kocha mala Polaka — mówił huzar, ocierając łzy — bardzo kocha taka dzielna chłopaka. Franc już za żadna pieniądza nie wróci do Niemców, Franc nie jest Niemiec — ja sem jestem Slowak! Niech Niemcy propadną! Franc nie opuści teraz mala Polaka, będzie jego sługa wierna, jak pies. Franc ma w trzosie trzy tysiąca reńskich i odda to mala Polaka, szeby używal. Tak, ja kochać mala Polaka.

I znowu się bił potężnie w piersi i ruszał groźnie wielkimi wąsiskami, a Janek ściskał go i całował.

Puścili się nakoniec naprzód, ominęli wojska i na tyłach spotkali się z pułkiem szaserów, który niedawno rozbił huzarów węgierskich. Dzielni żołnierze stali w wyciągniętym froncie, obryzgani krwią, zmęczeni, osypani pyłem i błotem, ale z postawą tak dzielną, tak waleczną, że aż dusza rosła, patrząc na nich. Przed frontem, na świetnym karym koniu stał książę Józef, otoczony błyszczącym od srebra sztabem i przemawiał coś do wiarusów. Donośnemu, czystemu, jak dźwięk srebra jego głosowi towarzyszył ponury ryk dział i grzechot karabinowego ognia — błyszczącą jego ułankę z amarantowo-białemi piórkami otulał dym prochowy i całował wietrzyk wiosenny.

Kiedy wyciągnięta linia szaserów, rozgrzana jeszcze

świeżym bojem i słowami wodza, zobaczyła Janka, cała jednomyślnym zagrzmiała okrzykiem:

— Niech żyje młody bohater! niech żyje! niech żyje!

I jak gdyby na dane hasło szeregi poczęły potrząsać szablami i bermycami w najwyższem ożywieniu i zapale.

Janek, zdumiony tem przyjęciem, onieśmielony, z palącym rumieńcem na twarzy, zatrzymał się i nie wiedział, co ze sobą zrobić. Widząc zwrócone na siebie wszystkich oczy, radby był pod ziemię się zapaść. Zato Franc zdjął z głowy swój kołpak huzarski, wstrząsał nim, kłaniał się dokoła i krzyczał na całe gardło:

— Slawa, mala Polaka! slawa! slawa!

Nakoniec książę Józef spiął konia i w szczupakach przypadł do Janka i rzekł, wpatrując się w niego swemi wielkiemi, jak brylanty błyszczącemi oczami:

— Wiem o wszystkiem, widziałem cię, dzielny, bohaterski chłopcze!... Po raz to wtóry ojczyzna zaciągnęła u ciebie dług wdzięczności.

W tejże chwili spostrzegł Franca i zapytał:

— A to kto jest?

Franc wyprostował się jak struna, włożył kołpak na głowę i salutując ręką, rzekł:

— Ja Franc Sloboda, wachmistrz trzeciego huzarren-regiment princa Ferdynanda von Este.

— Ale co tu robisz?

— Ten mala Polak wzięla mię do niewoli... ja sem jeniec.

Kiedy to nie usłyszą szaserzy, miły Boże, jak znów krzykną:

— Niech żyje! niech żyje! krzyż mu dać, prosimy o krzyż! on będzie synem pułku! wiwat!

Janek uczuł ból w ramieniu, znowu mu przed oczami poczęły latać czarne płatki, osłabł i gdyby go nie powstrzymał Franc, byłby upadł z konia. Wszakże chłopiec i tym razem stracił przytomność.

ZAKOŃCZENIE.

I cóż wam, kochani czytelnicy moi, powiem więcej o losach bohatera naszej powieści? Zawieziony z krwawego raszyńskiego pobojowiska do Warszawy, z ogromnym rozgłosem o swym czynie, leczył się w prywatnym domu z ran, otoczony największą troskliwością. Poczciwy Franc nie odstępował do ani na chwilę. Janek długo chorował — do ran przyplątał się tyfus, z przeziębienia i niewygód i były chwile, w których życie chłopca wisiało na włosku. Wówczas Franc rozpaczał i płakał jak dziecko, a gdy Janek przyszedł do siebie, to skakał stary huzar z radości po pokoju i wszystkich, kogo spotkał, całował.

Janek przechorował cały czas tej, z początku smutnej, a w końcu świetnej i zwycięskiej wojny — potem, gdy zawarto pokój, kosztem Warszawy oddany został do szkół i z czasem wyrósł na zacnego i zdolnego obywatela kraju, dając z siebie przykład energii, odwagi i poświęcenia.

KONIEC.